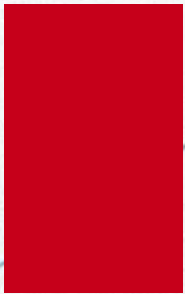


WOLNA
SOBOTA

Weź plakat
i spotkajmy się
na marszu w niedzielę
w samo południe



WYSOKIE OBCASY
**Małgorzata
Rozenek**
Walczę o in vitro,
idę na wybory



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



80. urodziny
Lecha
Wałęsy

Musimy wymyślić nasz świat na nowo

FOT. MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Pętla Górskiego
Karabachu.** Jeszcze 80 lat
temu Ormianie i Azerowie
żyli tam w zgodzie



HiT Putina
Nowy rosyjski podręcznik
to element specjalnej
operacji wojskowej

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Twój głos się liczy

Dlaczego młode kobiety nie głosują? Trzy powody i jedno rozwiązanie

Od dzieciństwa po szczyty korporacji tresujemy Polki do siedzenia cicho. Tuż przed wyborami zaczynamy oczekiwać, żeby raptem na chwilę o tej tresurze zapomniały

Sobczak



Prawie połowa młodych Polek nie jest pewna, czy pójdzie na wybory – wynika z badania Ipsos. Jednocześnie to grupa o najbardziej progresywnych poglądach. Jeśli uda się ją zmobilizować, Polska może zapomnieć o grozie autorytaryzmu. Tylko dlaczego to takie trudne?

Gdy badacze zapytali Polki o przyczyny niechęci do głosowania, te najczęściej odpowiadały, że nie pasuje im program żadnej partii, że mają problem z dojazdem lub nie interesują się polityką. Według mnie to powody zastępcze lub inaczej – powody, które łatwo zwerbalizować i zakończyć rozmowę bez wdawania się w dyskusję. Prawdziwe przyczyny leżą głębiej, a ich uświadomienie może być bolesne dla obu płci. Wymieniam trzy, choć na pewno jest ich więcej.

1. Katolicyzm. Skromna, cicha, stworzona do ról opiekuńczych, kontrolowana przez mężczyzn, niedopuszczana do najwyższych stanowisk – taka jest rola kobiety promowa-

na przez dominującą w Polsce religię. Gdzie tu jest miejsce na sprawczość, interesowanie się polityką i decydowanie o sobie? Kościół miał duży wpływ na wychowanie większości Polaków i nawet osoby, które w dorosłości odrzuciły część katolickich teorii, są nimi dogłębnie prześiknięte. Wychodzenie poza schematy wtłoczone w dzieciństwie może wywoływać lęk i poczucie winy. Ponadprzeciętnie często na wybory chodzą kobiety dojrzałe i aktywne religijnie. Głosują tak, jak każe ksiądz, czyli na partię gwarantującą utrzymanie młodych kobiet pod butem.

2. Grzeczność. Formatowanie do siedzenia cicho i tłumienia negatywnych emocji odbywa się także w szkole i dużej części domów, w których chłopcom pozwala się na bycie głośnym i namolnym, a od dziewczynek oczekuje grzeczności. Część rodziców uznaje, że w walce o swoje prawa chłopak może nawet użyć siły. Dziewczynki mają się dostosować do otoczenia, być empatyczne i pomocne. Od chłopców oczekuje się pewności siebie i aktywności. Efekty widać na listach wyborczych, gdzie kandydatek jest po prostu mniej i zajmują niższe pozycje. W dorosłym życiu kobiety otwarcie wyrażające poglądy są traktowane jako bezczelne i aroganckie. Dzieje się tak nawet w środowiskach progresywnych, np. wśród prenumeratorów „Wyborczej” komentujących opinie ko-

biet na forum Wysokich Obcasów. Dla części panów irytujący jest sam fakt, że kobiety piszą o sprawach dla nich ważnych. Krytyka pracy kobiet oprócz elementów merytorycznych zawiera często ocenę wyglądu i emocji.

3. Uciszenie. Istnieje stereotyp, że kobiety są gadatliwe. Można próbować go uzasadnić obserwacjami niektórych relacji przyjacielskich. Jednak badania spotkań publicznych i zawodowych pokazują, że mężczyźni dominują w dyskusjach o 75 proc. częściej od kobiet. A gdy już paniom uda się dorwać do głosu, mężczyźni przerywają im o 23 proc. częściej.

Wiele razy zwracałam uwagę mężczyznom, którzy robią to szczególnie często. Zawsze byli zdziwieni, bo nie zauważali swojego zachowania, robili to odruchowo. Tak samo odruchowo dla większości kobiet stało się siedzenie cicho. Bo gdy przerwa ci sto razy, to za sto pierwszym zwyczajnie nie masz już siły.

Z analizy przygotowanej przez SWPS wynika, że duże zaangażowanie młodych kobiet w opiekę nad rodziną powoduje, że na zajmowanie się polityką brakuje im czasu. Można im pomóc, podając proste informacje o programach partii. Bardzo podobają mi się kampanie organizacji wspierających równość i demokrację, bo ich twórczyń podchodzą do kobiet z empatią i stosują metody sprawdzone na-

ukowo. Z dużego badania przeprowadzonego niedawno przez fundację SPS wynika, że największym problemem dla Polek jest przemoc. W rozmowie przeciwieństwem przemocy jest szacunek.

Boję się natomiast o wyniki nieformalnej kampanii frekwencyjnej, która będzie się toczyć przy rodzinnych stołach i w relacjach towarzyskich. Sporo już słyszałam wykładów wygłaszanych nad głowami młodych kobiet, pouczania, niechcianych porad, a nawet przepytывania z historii i polityki: „Czy ty wiesz, co PiS robi z aborcją? Nie obchodzi cię to?”. Taka rozmowa powtarza schemat, który wpędził kobiety w bierność.

Żeby skutecznie przekonywać osoby zastraszone i niepewne siebie, trzeba zrezygnować z protekcyjnego tonu i obwiniania. Nawet jeśli stwierdzenia typu „nie interesuję się polityką” wywołują w nas złość. Całą tę metodę można podsumować jednym słowem: szacunek. Mniej mówimy, więcej słuchamy, nawet jeśli druga strona nie strzela słowami jak z karabinu. Pamiętajmy, że trudność w otwartym mówieniu to efekt długiej pracy całego społeczeństwa, które nauczyło kobiety tłumienia poglądów i emocji. Życie w takim stłamszeniu przyzwyczajają do przekonania, że od nas nic nie zależy, a nasz głos się nie liczy. ●

Aleksandra Sobczak

Andrzej rysuje



W poniedziałek „Duży Format”

Zrobieni na szkodę

– Zawalił mi się świat, bo jak roślinka leżałam. – wspomina Olga. Rękę wyciągnął do niej agent kancelarii specjalizującej się w pozyskiwaniu odszkodowań. Wywalczyli dla Olgi 25 tys. zł. Tyle tylko, że nie trafili na jej konto. Razem z nią na odszkodowanie czeka 2 tys. klientów.



Kod dostępu do Wyborcza.pl



Opowieści z Hollywood Niezapomniana Mammy

Hattie McDaniel była pierwszą czarną osobą, która zdobyła aktorskiego Oscara. Wyróżniono ją za drugoplanową rolę w „Przemieństwo z wiatrem”, gdzie wcieliła się w Mammy, nianię, a jednocześnie najbliższą osobą dla głównej bohaterki Scarlett O'Hary.

Na ceremonii, która odbyła się zimą 1940 roku w Hollywood, McDaniel siedziała przy stoliku w odległym kącie sali, bo hotel, w którym wręczano Oscary, stosował zasady segregacji rasowej.

Odbierając nagrodę, powiedziała, że ma „szczepną nadzieję, że zawsze będę przynosić uznanie mojej rasie i przemysłowi filmowemu”.

Zagrała prawie sto ról, ale najlepiej pamiętana jest z tej w „Przemieństwo z wiatrem” (z niezapomnianą sceną, gdy szeleści czerwoną halką). Gdy zmarła na raka piersi w 1952 roku, w wieku 59 lat, w testamentie przekazała swoją nagrodę Howard University – studentci tej uczelni podjęli ją uroczystym lunchem po zwycięstwie. To była plakietka, nie statuetka, bo w latach 1936-42 tak właśnie nagradzano aktorów drugoplanowych.

Ten tradycyjnie czarny uniwersytet, który przyjmował i kobiety,



FOT. AP

i mężczyzn wszystkich ras, eksponował plakietkę w gablocie na wydziale aktorskim do końca lat 60. Później nagroda zaginęła.

Teraz, 1 października, utworzona nagroda wróci na uniwersytet, już do College of Fine Arts. Uczelnia nosi imię Chadwicka Bosemana, aktora znanego z roli Czarnej Pantery, który zmarł przedwcześnie w 2020 roku. Uroczystość zatytułowano „Hattie wraca do domu”.

Na kolejnego Oscara dla czarnej aktorki musieliśmy czekać 51 lat. Whoopi Goldberg zdobyła go w 1991 roku za drugoplanową rolę w filmie „Uwierz w ducha”.

Maja Staniszevska

Podsumowujemy tydzień kampanii

Opozycjo, pochwal się

Zdecydują niezdecydowani. Którzy nie chcą ani PiS, ani KO, ale PiS nie chcą bardziej

Wielowieyska



Sondaże przewidują, że PiS zdobędzie najwięcej głosów, ale według ostatnich badań opozycja mimo to może mieć nieznaczną większość w Sejmie. Ipsos zbadał grupę, która chce wziąć udział w wyborach, ale nie wie, na kogo głosować. Większość deklaruje, że na pewno nie zagłosuje na PiS. Gdy pytał o to CBOS, większość niezdecydowanych mówiła, że nie chce ani PiS, ani opozycji, ale więcej wyborców wskazywało opozycję niż partię rządzącą. Przy czym z oceną badań CBOS trzeba być ostrożnym, bo przewidywana frekwencja wynosi ponad 80 proc., co jest nieprawdopodobne. Tymczasem w Ipsos udział deklaruje 68 proc. ankietowanych. Taka prognoza jest bliższa realiiów.

Ostatnie dwa tygodnie będą decydujące. KO zakłada, że marsz 1 października poniesie jej notowania. Ale to, kto będzie miał większość w Sejmie, może rozstrzygnąć się w poszczególnych okręgach. Dlatego obie strony precyzyjnie dobierają miejsca wieców. Tusk pojawia się tam, gdzie stosunkowo niewielka liczba głosów może przesądzić o dodatkowym mandacie. Rafał Trzaskowski obstawia te miejscowości, gdzie jego wynik był lepszy niż standardowy wynik PO – prezydent Warszawy ma zmobilizować tę nadwyżkę do poparcia opozycji. PiS też szuka miejsc, gdzie mógłby urwać dodatkowy mandat. Dlatego sondaże sondażami, lecz wszystko zależy od mobilizacji wyborców jednej i drugiej strony: na ile zdecydowani będą w stanie namówić otoczenie do głosowania.

Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz nie chcą się pojawić na marszu 1 października. Wierzą, że dystansując się od Tuska, przyciągną wyborców krytycznych wobec KO. Strategia z pozoru słuszna, są tacy, którzy nie chcą PiS ani Konfederacji, ale za PO też nie padają. Jest tylko jedno „ale”: Kosiniak-Kamysz był w rządzie Tuska, więc jego szanse na zdystansowanie się od rządu PO-PSL są niewielkie.

PiS tymczasem brnie w retorykę antyukraińską, bo wierzy, że tym zatopi Konfederację, i sufluje, że prezydent Zelenski zmienił kurs i atakuje Polskę. Bo mu Francja i Niemcy obiecały, że gdy we trójkę przyczynią się do zmiany władzy w Polsce, to Ukraina szybciej wejdzie do Unii. To usprawiedliwienie dla kampanii antyukraińskiej jest kompletnie nielogiczne: ataki Zełenskigo wcale nie osłabiają PiS, tylko pozwalają mu odebrać elektorat Konfederacji. Tak więc władze Ukrainy, nakręcając konflikt, raczej pomagają PiS w kampanii i zwiększają jego szansę na wygraną. Nikt nie ma wątpliwości, że dzięki konfliktowi z Ukrainą Kaczyński odciągnął część wyborców od Mentzena i Bosaka.

szają jego szansę na wygraną. Nikt nie ma wątpliwości, że dzięki konfliktowi z Ukrainą Kaczyński odciągnął część wyborców od Mentzena i Bosaka.

Innym ważnym elementem jest afera wizowa. Rząd stara się pomniejszyć jej znaczenie i jest oczywiste, że prokuratura będzie ukrywać jej rozmiary. Nasi sąsiedzi są zirytowani, bo Polska wydaje tysiące wiz, wpuszcza do UE tłumy imigrantów i musimy liczyć się z tym, że będą masowo odsyłani do Polski. To efekt polityki rządu PiS. Olaf Scholz powiedział: „Skandal wizowy wymaga wyjaśnień. Nie chcę, żeby Polska po prostu przepuszczała migrantów dalej, a my będziemy następnie dyskutować o naszej polityce azylowej. Ci, którzy przybywają do Polski, muszą zostać tam zarejestrowani i przejść procedurę azylową”. Czy tak twarde stanowisko kanclerza mobilizuje wyborców PiS, podbijając antyniemiecką retorykę prawicy? Nie jestem pewna: wystąpienie Scholza jest w gruncie rzeczy antyimigranckie i pokazuje, że PiS jest współautorem kryzysu migracyjnego. A przy czym stanowiska Scholza jest stricte wewnętrzna: rośnie mu pod bokiem antyimigrancka Alternatywa dla Niemiec.

Nie dziwi, że opozycja eksploatuje aferę wizową, by zneutralizować przekaz PiS. Partia rządząca głosi, że jak opozycja przejmie władzę, to „obcy” napłyną wielką falą. Nie, oni już napłynęli dzięki polityce PiS i badania opinii publicznej pokazują, że ludzie zdają sobie sprawę, kto jest za to odpowiedzialny – rząd.

Strategia PiS – straszyć wszystkim, czym się da, i nakręcać niechęć do wszystkich sąsiadów – może zwiększyć poparcie dla tej partii. Tylko czy opozycja nie będzie bardziej skuteczna, jeśli skoncentruje się na reklamowaniu własnych postulatów? Bo afery i krytyka PiS już nie działają na wyborców mniej zmotywowanych. Natomiast może ich przekonać program, dzięki któremu coś zyskają.

KO ogłosiła 100 konkretów programowych, pytanie jednak, czy wyborcy te konkrety znają – choćby drobni przedsiębiorcy, którym Tusk wiele oferuje. Wystarczy spojrzeć, ile PiS włożył wysiłku w nagłaśnianie swoich pomysłów, od 800+ poczynając. Propozycje KO nie były dostatecznie reklamowane w mediach społecznościowych i nie dotarły do niezdecydowanych wyborców, którzy w mniejszym stopniu śledzą politykę, nie czytają w prasie wszystkich relacji z partyjnych konwencji i o wielu pomysłach po prostu nie wiedzą.

A na koniec wisienka na torcie: prezydent Andrzej Duda ogłosił, że Polska będzie się starać o organizację igrzysk olimpijskich. Chyba bez pieniędzy unijnych, które PiS przecież zablokował. Internet na to: OK, ale pod warunkiem że igrzyska będzie organizował Jacek Sasin. ●

Dominika Wielowieyska

Nike

Gazeta Wyborcza & Fundacja Agory
Nagroda Literacka

Kto zdobędzie Nagrodę Literacką „Nike” 2023?

UROCZYSTA GALA

na: wyborcza.pl

NIEDZIELA

1 października, godz. 20



TEGOROCZNI NOMINOWANI

Wiktoria Biezuńska

Anna Bikont

Mateusz Górniak

Grzegorz Piątek

Zyta Rudzka

Piotr Sommer

Ilona Wiśniewska

80 LAT LECHA WAŁĘSY

Polska ma teraz niewyczerpywalne
zasoby chętnych miernot do plucia
na Lecha Wałęsę

JAROSŁAW KURSKI

Lech kończy 80 lat. Czterdzieści lat temu dostał Nagrodę Nobla, a gdy stał na bramie nr 2 Stoczni Gdańskiej i triumfalnie obwieszczał, że oto „mamy swoje niezależne samorządne związki zawodowe” – miał lat ledwie 37. Był idolem. Ikona nie tylko zbuntowanego pokolenia młodych gdańszczan. Był idolem globalnym.

O człowieku, o którym kilka tygodni wcześniej mało kto słyszał (Lech był szefem grupy kolporterskiej w niewielkiej opozycyjnej organizacji Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża, chłopakiem spod Lipna na Pomorzu), teraz mówiły wszystkie media świata. Krzyczały nagłówki gazet, a portret mężczyzny z wąsami zdobił pierwsze strony światowych tygodników. Oto polski robotnik, młody elektryk ze Stoczni Gdańskiej rzucił rękawicę Związkowi Radzieckiemu.

Trudno nie dostać zawrotu głowy, zwłaszcza gdy wszyscy mówią, że jesteś półbogiem, a tę „oczywistość” potwierdzają media wolnego świata.

Nie można się takiemu objawieniu oprzeć i nie ma zresztą powodu się opierać. Lech w każdym razie się nie oparł – co niosło za sobą dobre i złe konsekwencje.

Dobre, bo zawsze bezwzględnie zawierzał swej intuicji i miał bezwzględną pewność słuszności swych decyzji. Nie miał więc powodu kogokolwiek słuchać. Słuchał tylko siebie. To znaczy owszem – wysłuchiwał doradców, brał od nich te elementy argumentacji, które podzielał i które „mu pasowały”, ale robił swoje.

Gorzej, gdy się zasadniczo mylił. Wówczas zaleta zmieniała się w wadę. Ślepo wierzył w swą nieomyślność nawet wtedy, gdy jego upór niszczył jego samego. Często powtarzaliśmy w gronie przyjaciół, że trzeba „ratować Lecha przed nim samym”, gdy głupio się upierał i groteskowo powtarzał: „Gdybyście mnie tylko posłuchali”, „Trzeba było słuchać Wałęsę” itd.

W tym znaczeniu Lech nigdy nie dawał się osaczyć, zamknąć w żadnym układzie, bo zawsze z tego układu wyskakiwał.

Nie potrafię o Wodzu, moim byłym szefie, dla którego pracowałem jako rzecznik prasowy w dość parzywym czasie wojny na górze i podziału obozu „Solidarności”, napisać okolicznościowej laurki. Znam go zbyt dobrze, wszystkie jego zalety i wady. Poza tym czyż już wszystkiego o nim nie napisano?

Cóż, w takim dniu właśnie mam do Lecha zwykłą ludzką czułość. Nie zamierzam sięgać więc do dawnych tekstów, książek i notatek. Piszę o Lechu z serca, tak jak go teraz widzę i czuję. Jak o człowieku, któremu należą się nasze wdzięczność i szacunek.

Publiczne zaangażowanie odmieniło jego życie. Ale czy mamy pewność, że na lepsze? Za nasz polski sukces, za sukces naszego kraju zapłacił życiem rodzinnym, zdrowiem, a na późne lata zgorzknieniem. Człowiek, który się wychyla, a Lech wychylał się całe życie, nie może liczyć na taryfę ulgową od losu. Wyjątkowość, nieprzeciętność to cechy szczególnie w Polsce domagające się kary i publicznej chłosty. Wymierzają ją teraz ludzie, którzy sami chcieliby być Wałęsą, ale mogli co najwyżej wisieć u jego klamki.

Przywołam tu własne wspomnienie.

Zostałem rzecznikiem Lecha w najgorszym politycznym czasie transformacji ustrojowej, w czasie wojny na górze, którą Lech wywołał, i na początku jego marszu ku prezydenturze. Czas fatalny dla idealistycznych młodzieńców, na tyle jeszcze niemądrych, by zostać rzecznikiem Lecha Wałęsę. Był październik 1989 roku.

Tak jak każdego ranka chciałem wejść do gabinetu Lecha z prasówką – krótkim omówieniem najważniejszych tekstów i wydarzeń poprzedniego dnia. Naciskam klamkę, ale klamka – ku memu zaskoczeniu – ani drgnie, tak jakby ktoś trzymał ją z drugiej strony. Naciskam więc mocniej, drzwi z trudem się uchylają. W szparze dostrzegam syl-

wetkę Lecha Kaczyńskiego. Dobrze znałem Leszka z czasów stanu wojennego i podziemia. Nie znalazłem natomiast Jarosława: „Leszek, puść, zwariowałeś? Idę do Lecha z prasówką...”. Odpowiada mi stalo-we spojrzanie. Pada krótkie: „Później przyjdiesz!”. W tej samej chwili: trach! Drzwi bezceremonialnie się zatraskują.

– Co się dzieje, czy Leszek zwariował? – pytam asystentek Wałęsę.

– To nie Leszek – odpowiadają. – To Jarek.

W taki oto sposób miałem nieprzyjemność poznać Jarosława Kaczyńskiego, który wycierał przedpokój Lecha, zabiegał o dostęp do jego ucha, uważał za sojusznika w walce z rządem Mazowieckiego, jajogłowymi i warszawką. Chciał przejęcia Komitetów Obywatelskich, co się zresztą po przynębiających awanturach spełniło. Opisałem to w książce „Wódz”. Już wówczas Kaczyński chciał władzy, a za taran służył mu Lech.

To Kaczyński wymyślił „przyspieszenie”, upowszechniał spiskowe brednie o rzekomych monopolistycznych zapędach, jak mawiano, „lewicy laickiej”, która miała przejąć „Solidarność” i razem z komunistami stworzyć monopartię.

Lech dał więc Kaczyńskiemu sprawczość polityczną i społeczną legitymację. Kaczyński odwdziaczył się ideologiczną nadbudową, czyli politycznym uzasadnieniem wojny na górze. Obsesyjny, podszyty kompleksami sposób myślenia Kaczyńskiego o sprawach publicznych zainfekował polską politykę na dekady.

Niestety, na własną szkodę Wałęsa dopomógł w tym Kaczyńskiemu. Sromotnie zawiodła go intuicja, a przekonanie o swej nieomyślności zwróciło się przeciw niemu.

Koledzy z redakcji zaproponowali mi, bym napisał o Lechu wedle szynelu „Gdyby nie Lech, to...”. Piszę tekst inaczej, ale niestety, gdyby nie Lech, to Jarosław Kaczyński nigdy by tak nie urósł i nie stałby się nieszczęściem dla demokratycznej Polski.



Prowadzę ten wywód do najboleśniejszej rany Lecha, do sprawy tzw. Bolka. O „Bolku” Kaczyński wiedział już, na długo zanim zaczął z Lechem współpracę. Wszyscy zresztą w Gdańsku wiedzieli. Uważał to za epizod bez politycznego znaczenia.

Sprawa wyglądała tak, jak pokazał ją Andrzej Wajda w filmie „Wałęsa”, od uwikłania się młodego, przestraszonego robotnika na przesłuchaniu w komisariacie podczas krwawej grudniowej rozprawy z buntem stoczniowców, poprzez naiwne „a zrobię bezpieczkę w konia”, aż po samodzielne wywikłanie się z tej zależności. Tyle o sobie wiemy, na ile nas sprawdzono.

Dopóki więc Kaczyńscy współpracowali z Lechem, dopóty sprawy nie było. Zrobiła się, gdy bracia wyłecili z kancelarii prezydenta Lecha Wałęsę, gdy do przedpokoju Lecha wszedł sprawniejszy lizus i intrygant Mieczysław Wachowski i wygryzł Kaczyńskich. Wtedy narodził się „Bolek” – zemsta pokonanego frustrata.

Polska ma teraz niewyczerpywalne zasoby chętnych do plucia na Wałęsę. Zastępy miernot, które uważają, że nie ma takiej historii, której nie da się zakłamać, odwrócić znaków, opowiedzieć, że Wałęsa stał tam, gdzie stało ZOMO, i że na czele „S” to nie Wałęsa stał, ale może Lech Kaczyński. Najlepiej pod tę opowieśćkę podprowadzą zastępy czynowników od historycznej propagandy, którzy z Lecha robią wyłącznie „Bolka”. Nawet jeśli miałoby to prowadzić do wniosku ad absurdum, że oto na czele antykomunistycznej wolnościowej rewolucji w Polsce stanął agent komunistycznej bezpieki. To zresztą ten sam rodzaj kontrfaktycznego obrzydliwego cynizmu, który z Donalda Tuska robi wnuka dziadka z Wehrmachtu, agenta Moskwy i Berlina.

Blotem obrzucała Lecha komunistyczna propaganda. Słynna zmanipulowana przez TVP czasów Jaruzelskiego podsłuchana rozmowa z bratem, Urbanow „obywatel Wałęsa” – to wszystko była kaszka z mleczkiem wobec wieloletniego seansu nienawi-

80 LAT LECHA WAŁĘSY

FOT. ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Oto polski
robotnik,
młody elektryk
ze Stoczni
Gdańskiej
rzucił rękawicę
Związkowi
Radzieckiemu

ści i bluzgu, jaki mu zgotowali w wolnej Polsce ludzie, z którymi kiedyś na swą zgubę się zadał.

Jeszcze jeden przykry wątek. Powiem wam stare przysłowie niedźwiedzie, prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Wałęsa nieraz bez sentymentów zmieniał sojuszników, można by powiedzieć, że „zdradzał”, choć wiadomo skądinąd, że polityk nie zna takiego słowa. Jednej lojalności był wierny jak pies. Chodząc z Matką Boską w kłapie, zawsze mówił o sobie, że „jest wiernym synem Kościoła katolickiego”. Biskupi i w ogóle szeroko rozumiany kler zawsze przy Lechu się kręcili, dopóki był człowiekiem wpływowym, Przewodniczącym „S”, architektem porozumień Okrągłego Stołu, prezydentem. Kościół katolicki przez dekady korzystał ze swego wielkiego syna w każdym wymiarze, brał, ile wlezie – od prestiżu, po wymiar finansowy. Zapytam więc, gdzie byliście biskupi i księża, gdy na waszego wiernego syna lały się kubły pomny, gdy był chory i zaszczuwany? Milczeliście, bo Wałęsa nie był już wygodny, a zwłaszcza już do niczego potrzebny.

Opisuję te wątki obszernie, bo zwłaszcza dziś Lech zasługuje na uznanie, pamięć i szacunek. Kończy wszak 80 lat.

Mieliśmy z nim w „Gazecie Wyborczej” zasadnicze spory o linię programową. Dlatego Komisja Krajowa odebrała nam znaczek „Solidarności”, za co do dziś jesteśmy wdzięczni. Lech próbował zresztą odwołać z funkcji redaktora naczelnego Adama Michnika, faksem, który – o paradoksie – jako ówczesny rzecznik Lecha wysyłałem osobiście...

Potem spieraliśmy się o sposób sprawowania urzędu prezydenta. Pisał Adam do Lecha, przestrzegając przed niszczeniem demokracji: „Lechu, stajesz się z wolna cesarzem”. Lech rzeczywiście się frustrował, że krępuje go konstytucja. „Jestem prezydentem, a nic nie mogę”. Puszczal oko do generałów podczas obiadu drawskiego. Chciał bezwzględnie poddać armii jego zwierzchnictwu, chciał mieć wpływ na

rząd, na obsadę ministerstw, „falandyzował prawo”, rozpychał granice swej władzy... Wszystko to znamy i pamiętamy.

Dziś widać, że były to piknikowe igraszki na świeżej trawie polskiej demokracji w porównaniu z buldożerem PiS, który dokonał destrukcji w każdej niemal dziedzinie naszej państwowości.

Dziś Lech nieustannie nosi koszulki z napisem „Konstytucja”. Już 40 lat temu żartowaliśmy, że Lech znakomicie rozwiązuje problemy, które wcześniej sam stworzył. Tak zostało do dzisiaj. I oby mu się udało! Oby nam się udało!

Spieraliśmy się z Lechem o zasady, ale zawsze będziemy Lecha bronić, gdy ktoś będzie chciał go zniszczyć, zniesławić, wygumkować z podręczników historii.

Powiadają niektórzy, że Lech jest produktem historii, bo tak się ułożyły losy, że było zapotrzebowanie na robotniczego przywódcę, który rzuci wyzwanie robotniczej rzekomo władzy sprawowanej w imieniu proletariatu.

Można też dopowiedzieć, że nie byłoby Sierpnia, gdyby nie: Bogdan Borusewicz, gdyby nie Jerzy Borowczak, Bogdan Felski i Ludwik Prądzyński, kpt. Adam Hodysz, Anna Walentynowicz, Henryka Krzywonos, Andrzej Gwiazda, Alina Pienkowska i wielu innych – ale z jakichś powodów, żadna z tych znamienitych tu osób Wałęsą się nie stała. Ludzie w stoczni by jej nie posłuchali. Nie czuliby tej siły przywództwa, by zaryzykować własny los i los swoich rodzin. Ten dar mowy prostej, robociarskiej, sklejającej się ze zbiorowym psyche, charyzmę i autorytet, to „coś” – miał tylko Lech.

Każdy, kto choć trochę zna Lecha, nie może odmówić mu jego wielkich chwil. Było ich wiele, wymienię dla mnie najważniejsze, najwspanialsze.

Grudzień '70. Rozruchy, krew na ulicach Gdańska. Władza strzela do ludzi. Lech, członek Komitetu Strajkowego, wdaje się w negocjacje z komendan-

tem milicji, próbuje uniknąć masakry. „Nie strzelajcie, a ludzie się rozejdą”.

Grudzień '79. W rocznicę wydarzeń, pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej wygłasza prorocze przemówienie: „Za rok stanie tu wielki pomnik Poległych Stoczniovców, a każdy z nas przyniesie kamień”.

Sierpień '80. Jest niekwestionowanym przywódcą. Tak kieruje strajkiem, by nie popaść ani w łatwe ustępstwa, ani w zgubny radykalizm. Rozszerza bazę poparcia, działa inkluzywnie. Do stoczni zjeżdżają przedstawiciele Episkopatu. Przyjeżdżają Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek z listem poparcia polskiej inteligencji. Lech mimo oporów („Po co nam tu takie mądrale?”) czyni ich doradcami Komitetu Strajkowego.

Internowanie w Arłamowie. Osamotniony, bez doradców, poddawany rozmaitej psychicznej i politycznej presji, odcięty od informacji, nie robi żadnego fałszywego kroku, niczego, co by zaszkodziło „Solidarności”. Wychodzi jako zwycięzca.

Potem jest ostre starcie z premierem Mieczysławem Rakowskim w Stoczni Gdańskiej, zmontowane i zmanipulowane według najlepszej i ciągle obowiązującej szkoły TVP. I strajki: majowy i sierpniowy w roku 1988, i ich zwycięskie porażki. Zwycięskie, bo otwierały drogę do rozmów Okrągłego Stołu. Lech zaryzykował i miał rację, choć wiele światłych umysłów epoki mówiło, że to błąd i zdrada. I znów do TVP, sam do paszczy lwa na debatę z Alfredem Miodowiczem. I znów nadzieja na zwycięstwo.

Wybory 4 czerwca 1989, poparcie dla rządu Tadeusza Mazowieckiego, reformy Leszka Balcerowicza wydobywające Polskę z ekonomicznego dna.

I na tym koniec. Potem polityczna stolica Polski przenosi się z Gdańska do Warszawy, a Lech zostaje jak ryba na piasku. Sfrustrowany, pominięty, nie dość zauważany – może z wyjątkiem Bronisława Geremka. Widziałem to jako jego rzecznik. W tę pustkę natychmiast wskoczył Kaczyński, blokując od środka klamkę w jego gabinecie. Trudno, stało się.

Zawsze myślałem, że Lech nie jest zdolny do przyjaźni, bo jest zwierzęciem politycznym, a w polityce przyjaźni być nie może. Mylilem się w dwóch przynajmniej przypadkach.

Przypadek pierwszy: Bronisław Geremek. To w Stoczni nastąpiło jego zauroczenie Lechem. Zadzierzgnęła się przyjaźń intelektualisty z robotnikiem, o tym, że robotnika z intelektualistą, miało się dopiero okazać po tragicznej śmierci prof. Geremka w lipcu 2008 r. Dodzwoniłem się wtedy do Lecha bodaj jako jeden z pierwszych dziennikarzy. Wałęsa był rozdygotany, miałem wrażenie, że płakał: – Mógł być premierem, prezydentem, tylko że ja w sprawie Geremka nie mogłem się z tymi prawdziwymi Polakami porozumieć. Jestem dumny, że był moim przyjacielem – zakończył.

Dla inteligentów, takich jak Bronisław Geremek, uosabiał ów niespełniony nigdy w polskich dziejach sen Zygmunta Krasińskiego: „Jeden tylko, jeden cud. Z szlachtą polską – polski lud”. Taka jawiła się mu po wielu nieudanych powstaniach „Solidarność”. Jako cud właśnie.

Przypadek drugi: prof. Joanna Penson, zmarła w tym roku więźniarka Ravensbrück, znana nefrolog, wdowa po Jakubie Pensonie, lekarzu warszawskiego getta, a później rektorze gdańskiej Akademii Medycznej. Dla Joanny Penson Lech był drugą miłością jej życia. Służyła mu, nie oczekując niczego w zamian, póki starczało jej sił.

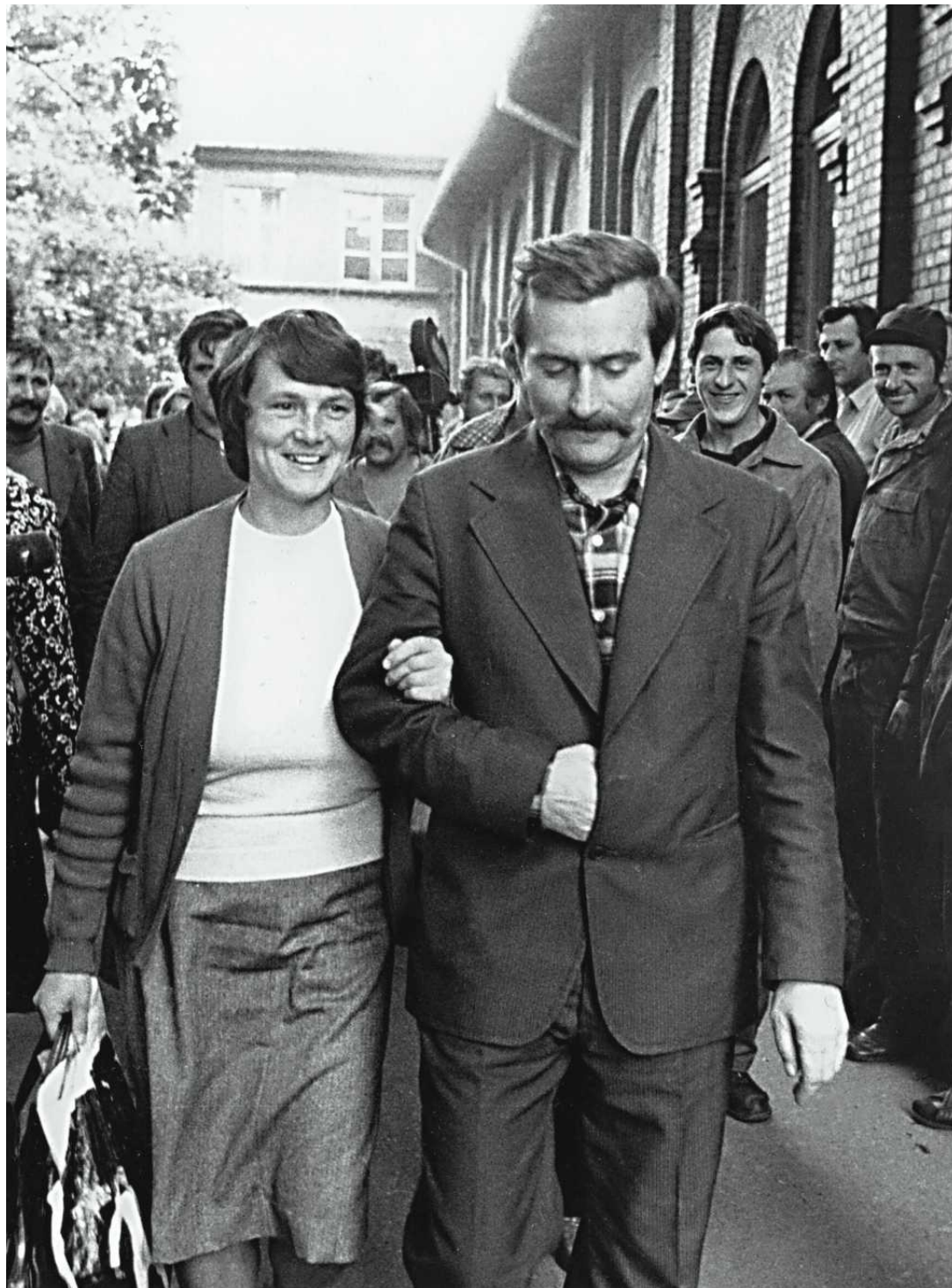
Co łączyło Bronisława Geremka z Joanną Penson? Obok marzeń Krasińskiego (notabene antysemita, przeczytajcie, co śpiewa chór przechrztów w „Nie-Boskiej komedii” – lekturze szkolnej) o zespolonej z polskim ludem polskiej szlachcie oboje chcieli wierzyć w drugą utopię. Tuwimowską utopię z „Modlitwy” z „Kwiatów polskich”. Utopię o ruchu „Solidarności”, w którym „Nie masz Greczyna ani Żyda” i że nie krew jest ważna ani to, skąd przychodzimy, ale to, jacy jesteśmy. Tę utopię uosabiał właśnie Lech.

Dął więc Lechu w złoty róg, z przekrzywioną na głowie czapką z piór. Szybko jednak i w „Solidarności” otwarło się polskie piekło, Polacy lepsi i gorsi, „prawdziwi Polacy” i wiadomo – oni, Żydzi.

Joanna Penson i Bronisław Geremek wytrwali przy Lechu do końca, trzymając się tej tuwimowskiej nadziei, bez której w Polsce nie daje się żyć.

Lechu drogi, różnie między nami bywało, jak to między przyjaciółmi. Całą redakcją składamy Ci dziś najlepsze życzenia demokratycznej Polski! ●

80 LAT LECHA WAŁĘSY

KACZYŃSKI
NAS DOPINGUJE

FOT. WOJTEK ŁASKI / EAST NEWS

Jako „Solidarność” popełniłmy błąd – elity poszły do góry, a zostawiliśmy społeczeństwo. Można ich było nabrać na demagogię.

Z **LECHEM WAŁĘSĄ**, BYŁYM PREZYDENTEM RP, ROZMAWIA **MACIEJ DRZEWICKI** I **GRZEGORZ KUBICKI**

– Dawajcie pytania. Im ostrzejsze, tym lepiej, to się rozkręci.

Chcieliśmy zacząć od zdrowia...
– Mojego? A to nie warto. Kogo to interesuje?

Nas bardzo.
– Zdrowie było i nie ma. 80 lat ma swoje prawa. Szarżowałem w życiu maksymalnie, więc teraz płacę rachunki.

Ludzie martwią się, gdy co kilka miesięcy widzą w internecie pana zdjęcia ze szpitalnego łóżka.
– Wszystko, co robię, robię publicznie.

Serce ciągle dokucza?
– Mam rozrusznik. No i cukrzycę, to najważniejsze choroby. Ale to nie ważne...

Przed dwoma laty gruchnęła wieść, że grozi panu amputacja nogi. Pana syn – Jarosław – napisał o tym w internecie.
– Nogi na razie mam, ale amputacja grozi mi w każdej chwili. Cukrzyca każdego gdzieś atakuje, mnie padło na nogi. Jeszcze się trzymam, ale coraz bardziej widać, że w końcu będą ciąć. I tak kawałek po kawałku, aż dojdą do głowy (*śmiech*). Pozytywne, że chociaż z samego dołu cukrzyca zaczęła. Ale o chorobach nie rozmawiamy. Po co to...

To zapytamy o politykę. Jak opozycja ma wygrać wybory?
– Ja się radzę zastanowić, po co chce się wygrać... Od tego trzeba

zacząć. Ja już od 40 lat powtarzam, że naszemu pokoleniu przyszło żyć w momencie zmiany epok. Wszystko przez rozwój technologiczny. Zawsze tak się dzieje. Jak nasi pradziadkowie wymyślili rower, świat w następnych latach też się zmienił nie do poznania. A ostatnie pokolenia narobiły tyle bajerów – dobrych i złych – że głowa mała. Kończy się czas państw i państwewek, zaczęła się globalizacja. I wszystko, co teraz mamy – także partie polityczne, organizacje – nie pasuje do dzisiejszych czasów. Wszystko trzeba na nowo definiować – lewicę, prawicę, partie chrześcijańskie. Krzyżą „partia chrześcijańska!”, a tam nie ma ani jednego wierzącego... Ludzie, no co to jest...

Pan prezydent filozofuje, a tu wybory za pasem, które po prostu trzeba wygrać.

– Już dawno zdefiniowałem trzy problemy. Pierwszy: jaki fundament ma łączyć ludzi w Europie? Połowa chce budować tylko na wolnościach, wolnym rynku, a druga mówi – nie, nie. Najpierw uzgodnijmy wartości, jakimi się będziemy kierować. Jedni się uparli i drudzy. I nie możemy pójść dalej. Drugi problem: a jaki system ekonomiczny? Kapitalizm był dobry w poprzedniej epoce, która właśnie mija. Ale i on miał ciemne strony – wyścig szczurów, rywalizację, często nieuczciwą. Masa ludzi odpadała na bezrobocie, a teraz może można trwale rozwiązać i ten problem? Oczywiście – opłacalnie, mądrze. I trzeci problem, który zdefiniowałem: jak sobie poradzić z demagogią, populizmem i oszustwami polityków?

No to chyba doszliśmy do najbardziej palącego problemu...

Jak ich zatrzymać? Gdybym to wiedział, to miałbym następnego Nobla

– Zaraz, zaraz. Pan coś porusza, ale w praktyce nie rozumie. Nasze pokolenie miało dwa zadania: rozwalić stary porządek – i to się udało, ale po to, żeby zbudować nowy. Tylko że w nowym – po starej, brudnej epoce, w której ciągle się oszukiwali – nikt nikomu nie wierzy. I ten czas musimy przetrwać, wszystko przedyskutować. A potem zacznie się budowanie. Jesteśmy w momencie przekonywania. To nie może inaczej wyglądać. Z tego punktu widzenia to nawet dobrze, że jest Kaczyński. On nas zmusza do dyskusji, dopinguje.

A nie boi się pan, że jak on wygra i tym razem, następnych wolnych wyborów już nie będzie? Podczas gali Medalu Wolności Słowa w ECS sam pan nawoływał: „Ratujcie Polskę, bo ona jest jeszcze do uratowania. Jeśli nie posłuchacie starego Wałęsy, to wszyscy źle skończycie, ze mną włącznie”.

– Aż tak to nie. Ale będą niepotrzebne guzy. Zobaczcie, jakich ludzi Kaczyński sobie podobał. Nawet Cenciewiczza wziął na przewodniczącego komisji ds. rosyjskich wpływów. Przecież to jest człowiek, który łamie wszelkie zasady. Nie tylko w stosunku do mnie. Horror.

To jak ich zatrzymać?

80 LAT LECHA WAŁĘSY

– Panie, gdybym to wiedział, to miałbym następnego Nobla. Wierzę, że uda nam się to zrobić poprzez dyskusję, przekonywanie. Tylko to przyspieszy rozwiązania.

My jako „Solidarność” popełniliśmy jeden błąd. Elity poszły do góry, rozumiały wszystkie te bajery, a zostawiliśmy społeczeństwo. Można je było nabrać na demagogię, populizm itd.

Wy daliście wędkę, ta władza daje ryby.

– Daliśmy im wędkę, tylko że ludzie nie potrafią łowić. A trzeba ich było szkolić. To najważniejsza rzecz. Tłumaczyć im, czym jest Unia Europejska. Ale oni zostali w starej epoce. Z przykrością to stwierdzam.

Dlatego czasów, w których dzisiaj żyjemy, po prostu się nie przeskokczy. Ja nie mówię, że to dobrze. Ale po prostu tak musi być.

Nawet gdy oznacza to koniec demokracji?

– A byłby to pierwszy raz? Wszystko już było i tylko co jakiś czas się powtarza. Wielkie cywilizacje upadały, długo nie było niczego, a potem znów zaczynał się ruch i powstawały kolejne.

Ten fatalizm trochę nas prze-raża.

– Panie... Nie było nas – był las, nie będzie nas – będzie las. To nie tak, wielkość przed nami.

Musicie zrozumieć – to są normalne objawy tych czasów, przełomu epok. Stara się skończyła, pojawiła nowa, my jesteśmy pośrodku. Dziś jest epoka słowa, czas dyskusji – tak to nazwałem. Dyskutujemy maksymalnie, bierzmy dobre rozwiązania, złe odrzucamy. Z tego coś powstanie. Ale musimy wymyślić nasz świat na nowo. Bo przecież to wiadomo, że wiele trzeba zmienić. Jak doprowadziliśmy do tego, że można było bezkarnie łamać konstytucję? Co zrobić, by w przyszłości to już nie było możliwe? Na te pytania też trzeba znaleźć odpowiedzi. Jak? W dyskusji ze społeczeństwem.

Kiedy jeździ pan po świecie, nie jest panu – tak po ludzku – wstyd, kiedy musi pan tłumaczyć, co się u nas dzieje, że nie chcemy być w Europie?

– Tłumaczę to tak jak wam. Jest zmiana epok i wszystkie oprzyrządowania, które mamy, nie pasują już do tej nowej. Świat wygląda dziś tak, jakbyśmy zdjęli znaki z ulic, jakby przestały obowiązywać przepisy o ruchu drogowym. Albo inaczej – stare znaki nie pasują, a nowych nie ma.

Do końca XX wieku dawaliśmy prawa bez obowiązków. Taki był świat. Daliśmy wolność bez odpowiedzialności. Trzeba to skorygować w nowych czasach. Masz wolność, ale masz też odpowiedzialność. Nie pójdziesz na wybory? To potem nie protestuj. Nie włączyłeś się, to teraz jest twoja wina!

Panie prezydencie, 15 października na kogo będzie pan głosował?

– Nie mam wyboru. Tusk jest moim bohaterem i nie ma lepszego na dzisiaj. Jest lepszy nawet ode mnie.

Mocna deklaracja.

– Tak. Zrozumiałem to na czerwonym marszu w Warszawie, na którym też byłem.

Co konkretnie?

– Że on zrozumiał nowe pokolenia, wie, jak do nich mówić, żeby ludzie chcieli go słuchać. Bo trzeba mówić inaczej niż kiedyś. To pokolenie już nie jest obciążone przeszłością.

Tusk jednak startuje w Warszawie, a pan głosuje w Gdańsku. To chyba oczywiste, na kogo?

– Oczywiście [Jarosław Wałęsa startuje z ostatniego miejsca listy KO].

Rozmawiacie z synem czasami o polityce?

– Teraz już nie. Już na tyle się znamy, że to niepotrzebne. Jarek też jest już z nowego pokolenia, on myśli o skutkach, mniej o przyczynach. A ja oglądam się zawsze do tyłu. Dziś nie można dobrze grać, bez przerwy oglądając się za siebie. A oni się nie oglądają, oni idą do przodu.

Jest pan człowiekiem głęboko wierzącym. Nie denerwuje pana dziś polski Kościół?

– Źle myślicie. Wy myślicie teoretycznie, a powinniście praktycznie! Do końca XX wieku Kościół miał na głowie cholerne zagrożenia – komunizm, inne dyktatury. Wszyscy tylko czekali, żeby mu przypieprzyć. To co robił Kościół? Ukrywał różne brudy, żeby inni nie mogli tego przeciw niemu wykorzystać. Tak to rozegrał nasz papież. On przecież o tych brudach wiedział, ale co miał wtedy zrobić? Kościół był otoczony przez wrogów, musiał się bronić. Papież kalkulował tak: przetrzymamy, wygramy, a potem przyjdzie czas rozliczeń i innych spraw.

Mamy wrażenie, że mówi pan prezydent o sprawach obyczajowych, a my o wpływie na bieżącą politykę. Tak czy owak – w Polsce ten czas rozliczeń jakoś nie nadszedł. Wręcz przeciwnie, dopiero teraz Kościół zamknął się w swojej twierdzy.

– Duch Święty daje papieży na miarę wyzwań. Dał papieża, który pomógł nam skończyć z komunizmem. A teraz dał takiego, który próbuje Kościół oczyścić.

A jak pan słucha papieża Franciszka, gdy mówi o wojnie w Ukrainie, to też myśli, że mu to wszystko Duch Święty podpowiada?

– (*westchnienie*) Rozmawiałem z nim ze dwa razy. On jest z innego miejsca na świecie, inaczej wychowany. Tak jest ułożony i nie ma na to rady. Ale jako wierzący zastanawiam się: skoro Duch Święty dał nam jego, to co ten Duch Święty kombinuje? Jak zrozumieć błędy, jakie papież robi?

No właśnie: jak?

– Prawdopodobnie są potrzebne właśnie do oczyszczania. Do klótni wewnętrznej – nawet w Kościele, między hierarchami. Żeby zdynamizować oczyszczenie. Może dlatego? Ale jeszcze tego do końca nie prze-myślałem.

Zostawmy papieża Franciszka. A jak pan słyszy arcybiskupa Jędraszewskiego mówiącego o tęczyowej zarazie, to co pan myśli?

– Że to praktykujący niewierzący... Ale powtarzam: to jest czas oczyszczania Kościoła. A jeśli Kościół mówi ludziom rzeczy, które są nieprawdziwe, to takie ruchy powodują zdy-namizowanie oczyszczania.

W każdą niedzielę jest pan na mszy...

– Nigdy nie odpuściłem! Ja chodzę do Pana Boga, a nie do Kościoła.

Ale kazań pan słucha, chcąc nie chcąc.

– Jak mi się coś nie podoba, to biorę książeczkę do nabożeństwa i sobie czytam. I przeczekuję. No chyba że już naprawdę nie mogę wytrzymać. Zdarzyło mi się wstać i demonstracyjnie wyjść – przez środek kościoła, żeby wszyscy widzieli.

Wiele osób nie robi tak jak pan. Słucha, co księża mówią o polityce.

– Dlatego musimy wymuszać na duchowieństwie reformy, musimy się o to modlić.

Jak to wymusić?

– Potrzebujemy czasu, to nie może inaczej wyglądać. Wychodzimy z epoki brudnej dla Kościoła, oczyszczenie będzie trochę trwało. To nie jest proste, musi potrwać.

W jakim kraju chciałby się pan obudzić 30 września, dzień po 80. urodzinach? Choć może bardziej powinniśmy zapytać o 16 października, dzień po wyborach...

– Na pewno chciałbym się obudzić w Gdańsku. To moje miasto, z wyboru, nie zamieniłbym go na żadne inne na świecie.

A wiecie, że na początku nie polubiłem Gdańska? Jak jechałem tu na wycieczkę w szkole podstawowej, to już od Tczewa niósł się taki straszny smród ryb. Już od Tczewa.

No ale potem już Gdańsk pokochałem. Spotkałem się kiedyś z Guenterem Grassem, pisarzem. Wymieniliśmy się książkami. Napisałem mu dedykację: „Gdańszczaninowi z urodzenia, gdańszczanin z wyboru”.

To moje miasto. Cieszę się z jego rozwoju, jak wypiękniało w ostatnich latach... Chociaż kiedyś nie było tu tak ciasno, nie było tylu korków. Wszystko się rozrosło. Dziś wieczorem boję się wyjść z domu, bo mogę z powrotem nie trafić (*śmiech*). Tak mi to wszystko rozbudowali i pozmieniali. To się nie mieści w głowie, co zrobiliśmy przez te ostatnie 20 lat. Zresztą nie tylko w Gdańsku, w całej Polsce.

Ale znowu się zastanawiam – czy to dobrze, czy może jednak nie do końca?

Bardzo dobrze.

– No dobrze, ale kiedyś wszystko było takie bardziej swojskie – nawet te ruiny gdzieś tam. A teraz wszystko jest takie ładne, wypacykowane.

Jak wygląda teraz pana zwykły dzień?

– Codziennie wstaję o 5, tak już z przyzwyczajenia. Jem śniadanie, wszystko sobie porządkuję i zastanawiam się, co będę dzisiaj robił. Teraz spotykam się z wami [rozmawiamy w biurze prezydenta w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku], potem jadę do Warszawy, na spotkanie... No właśnie, po co my dziś

jedziemy do Warszawy? [Lech Wałęsa pyta dyrektora swojego biura Marka Kaczmarę].

Marek Kaczmar: Spotkanie z zarządem dużej międzynarodowej korporacji. Przemówienie motywacyjne, bo kto może lepiej motywować niż szef.

No widzicie, takie mi teraz dają zadania. Ale powiem im wieczorem mniej więcej to, co mówię teraz wam.

A na zagraniczne wykłady nadal pan jeździ?

– Tak, za chwilę jadę do Stanów. A potem do Niemiec.

Czyli już nie musi pan szukać pracy przez internet jak w pandemii?

– Ja wszystko robię szczerze. Taką była sytuacja, moment kryzysu – przestałem być zapraszany na wykłady, spotkania, odczyty. I dlatego szukałem rozwiązań. Rodzinę mam dużą, a poza tym przyzwyczaiłem się już do pewnego, lżejszego życia. A tu patrzę – portfel pusty. Musiałem się ratować.

W ogłoszeniu podał pan swoje oczekiwania finansowe – za godzinne spotkanie z panem trzeba było zapłacić minimum 20 tys. zł. Ktoś się zgłosił?

– Były ze dwie, trzy propozycje, ale później już nie było takiej potrzeby, bo wróciły zaproszenia na wyjazdy, wystąpienia.

Znajduje pan jeszcze czas na swoją pasję, czyli wędkarstwo?

– Wiecie, jak jest – gdyby w wodzie były ryby, to wędkarstwo straciłoby smak. Mam wielki szacunek do ryb. Po wojnie, gdy trzeba było głodować, przeżyliśmy dzięki rybom. W bajorkach było wtedy ich tyle, że mogliśmy je niemal łapać rękami.

Teraz, jak mam ochotę i czas, też czasami łowię.

I wrzuca pan złowione ryby z powrotem do wody?

– A dlaczego? Łowię tylko tyle, ile potrzebuję dla siebie. Potem sam je przyrządzam, oskrobuję. Wszystko robię sam.

Internet cały czas jest pana pasją?

– Już mnie to tak nie bawi jak kiedyś. A poza tym oczy mam słabe. Internet wykorzystuję, kiedy czuję, że muszę coś powiedzieć.

A jak wychodzi panu nadrabianie zaległości w relacjach z rodziną, z dziećmi? Często pan powtarza, że rodzina najbardziej straciła na pana działalności politycznej.

– Już nie da rady. Zbyt długa była przerwa w naszych relacjach. Każdy wiek ma swoje prawa. Kiedy dzieci były małe, gdy buduje się więzi rodzinne, mnie nie było. Teraz jestem, ale jest już za późno. Tamten czas uciekł bezpowrotnie, nie da się nic zrobić. Wszystko trzeba płynnie budować, z doskoku się nie da.

Ale spotykacie się czasem całą rodziną?

– Tylko w święta, niestety. A tak to każdy ma swoje sprawy, swoje obowiązki.

A wnuki?

– Jak nie ma dzieci, to i wnuków nie ma. Same nie przyjdą. No, może czasami zajdą, bo wiedzą, że dziadek coś tam jeszcze w kieszonce ma. Rozumiem to. Mam, to dam, nie mam, to nie dam.

A żona nadal pana pilnuje?

– Przejęła władzę w domu. I nie chce jej oddać, przyzwyczaiła się. W naszym domu ja panuję, ale nie rządzę.

Czym taka władza małżonki się objawia?

– Różnie, sami wiecie, wszystkie żony są podobne. O wszystkim chce wiedzieć, decydować, o wszystko muszę się pytać. Bo jak nie spytam, to potem są nieporozumienia. Ale spokojnie, jakoś to przeżyjemy.

Sześć lat temu spotkała was wielka tragedia – śmierć syna Przemysława. Nigdy nie chciał pan o tym mówić. Nie dziwimy się. Jest takie powiedzenie, że rodzic nie powinien grzebać swoich dzieci...

– To prawda. Dlatego do dzisiaj zastanawiam się, czy można było zrobić coś inaczej, czego nie dopilnowałem. Ale w tych trudnych chwilach pomaga mi wiara. Ktoś musi odejść wcześniej, ktoś później, ale „w domu Ojca mego mieszkań jest wiele”.

Pana syn Jarosław w jednym z wywiadów przyznał, że to właśnie Przemek był najbliższym pana, że stracił pan ukochanego syna.

– Wszystkie dzieci traktuję jednakowo, choć każdy jest oczywiście trochę inny. Przemek był sprytny do pracy, taka złota rączka. Poszedł we mnie, dlatego tak mi go brakuje.

Podobno mocno przeżywał wszelkie ataki na pana.

– Wszystkie dzieci przeżywają. Ale koniec już o tym.

Wróćmy do wiary. O co się pan prezydent modli?

– Już tylko o szczęśliwe przejście do wieczności. I o sprawiedliwy wymiar kary.

Często pan myśli o sprawach ostatecznych?

– Oczywiście. Jestem strasznie ciekaw, jak tam będzie, jakie miejsce dostanę.

Trochę się martwię, że za te moje zasługi czeka na mnie jakiś pałac. Tylko że widzicie – przecież tam nie ma pomocy domowej i będę musiał w tym pałacu całe dnie ze szmatką chodzić i sprzątać.

Śmiejecie się? Można się z tego śmiać, ale można też brać na poważnie.

Czeka pan na spotkanie z ludźmi, których już z nami nie ma? Na kogo czeka pan najbardziej?

– Nad tym nie myślałem. Ale tak, będzie czas na rozmowy. To wielka nagroda. Piekło wyobrażam sobie właśnie jako wieczne pragnienie spotkania kogoś. Pragnienie, które nie może się ziszczyć.

Ale jestem pewien, że po tamtej stronie jest dobrze. Dużo lepiej niż tutaj. Nie może być inaczej, przecież nikt jeszcze stamtąd nie wrócił. ●

Strajk kobiet

Wczytaj się i nie daj sobą manipulować.
Subskrybuj Wyborcza.pl



Iwona Görke

Maria, 19 lat: Wydaje mi się, że na wybory to ja chcę iść dzięki mamie, której dużo zawdzięczam. Ona zawsze mówiła mi, że miłość, jeżeli nikogo nie krzywdzi, jest zawsze dobra i piękna.

Maja, 18 lat: Nie znam młodego człowieka, który powiedziałby, że nie idzie na wybory, bo nie ma to sensu.

Kornelia, 19 lat: Patrzę na taką partię, z którą mam najwięcej wspólnego. Wiadomo, że nie ze wszystkim, co mówią czy co oferują w danym ugrupowaniu, muszę się zgadzać, ale nie można w Polsce powiedzieć, że nie zagłosuję, bo nie ma dla mnie partii.

Ola, 18 lat: Z tego, co przeczytałam, co wiem, Konfederacja ma dobry plan gospodarczy. Ale nigdy w życiu na nich nie zagłosuję ze względów światopoglądowych.

Zuza, 18 lat: Mentzen mówił o jakichś bonach zdrowotnych, pakietach na ubezpieczenie, które miałyby się wykupować, jakby przewidując, co nam się może stać, na co możemy zachorować. A jak w tym pakiecie, który wykupimy, nie będzie choroby, na którą zapadniemy, to co wtedy?

Aleksandra, 19 lat: Niektórzy moi znajomi, chłopacy, chcą głosować na Konfederację, bo podoba im się obietnica niskich podatków i plan gospodarczy, ale nie sądzę, że się z nim rzeczywiście zapoznali.

Magda, 19 lat: Osoby politycznie nieobyte zastanawiają się, czy głosować.

Aneta, 19 lat: Każdy głos jest ważny, bez względu na nasz wiek. Może mam mniejszą wiedzę na niektóre tematy, ale nie uważam, żebym była głupsza od osób starszych ode mnie.

BABCIA NIE NA SPRZEDAŻ

Maria pochodzi z liczącej niewiele ponad 400 mieszkańców wsi w powiecie olsztyńskim, większość czasu spędza w stolicy regionu – tu mieszkają jej babcia, starsza siostra, w wakacje tu pracowała: codziennie od 6 do 12 sprzątała w jednej z drogerii w galerii handlowej, a raz w tygodniu rozładowywała towar w lumpeksie, a we wrześniu rozpoczęła naukę w ostatniej klasie ogólniaka. Licealistka cieszy się na możliwość rozmowy, bo starsi nie traktują młodych poważnie, nie liczą się nimi ani z tym, co myślą. – Jakbyśmy nie mogli mieć swojego zdania – tłumaczy. Naszą rozmowę traktuje jako szansę. – Nieważne, że osoby, które to przeczytają, mnie nie znają.

15 października Maria pierwszy raz w swoim 19-letnim życiu weźmie udział w wyborach. – Wydaje mi się, że na wybory to ja chcę iść dzięki mamie, której dużo zawdzięczam. Ona zawsze mówiła mi, że miłość, jeżeli nikogo nie krzywdzi, jest zawsze dobra i piękna – mówi. Dodaje: – Gdybym tego nie zrobiła, a później coś by mi nie pasowało, to czułabym, że nie mam prawa narzekać, bo nie zrobiłam nic, żeby było inaczej.

– To teraz, mimo tego, że nie miałś wpływu na to, kto rządzi, nie narzekasz wcale?

– Nie należę do osób narzekających, a na polityków też nieszczególnie. Nie jestem za bardzo w tematach politycznych. Częściej słyszę, jak narzekają inni – moja mama czy babcia. W dużej mierze to, co myślę, jest ukształtowane przez moją rodzinę. Gdy wygrał PiS, moja babcia, bardzo wrażliwa osoba, płakała – wspomina nastolatka.

Babcine łzy nie były łzami szczęścia. Co prawda babcia mówi, że niedługo może umrzeć, więc może nie powinno jej aż tak dotyczyć to, kto rządzi, ale nie umie się pogodzić z pisowską Polską. – Bo ma wnuczki – tłumaczy Maria. Seniorki nie

Pierwsza miłość,
pierwsza praca.
I pierwsze wybory.
Czy pójdą?

przekonują trzynastka i czternastka. – Babcia uważa, ja się z tym zgadzam, że pieniędzy nie można od tak rozdawać, drukować, ile wlezie. No i ona wie, że PiS próbuje ludzi w jej wieku przekupić, ale ona się kupić nie da.

Uczennica nie ma rozeznania w polityce, ale wie, że ta wpływa na jej życie, wie, co jej przeszkadza. Chociażby w szkole, w której brakuje jej wychowania seksualnego, przedmiotu, na którym młodzież miałaby szansę uzyskać pewną, nieinternetową wiedzę. Bardzo pozytywnie wspomina wizytę amazoнок w szkole. Kobiety pokazywały, jak badać piersi.

– Nie było w tym nic gorszącego, tylko bardzo przydatne informacje dotyczące naszego zdrowia. O takich sprawach powinno się mówić. Tymczasem na WdZ-ecie mówią, by nie klócić się z rodzicami albo by używać innego ręcznika do ciała, a innego do rąk i twarzy. Mało jest życiowych treści, takich o okresie na przykład. To skutkuje tym, że 15-latki boją się powiedzieć mamie, że chcą iść do ginekologa. A przecież taka wizyta nie jest związana tylko z chęcią uprawiania seksu, przecież można mieć jakiś problem zdrowotny!

Maria mówi o społeczności osób LGBTQ+. – Chcieliby takich praw, jakie mają za granicą, na przykład wziąć ślub. Moje starsze koleżanki pojechały za granicę, by się pobrać. A chciałyby zrobić to w Polsce. Niby wyjechały na jakiś czas, ale nie wiem, czy wrócą. Chociaż teraz jest lepiej, ale słyszałam historię dziewczyn, które zostały wybuczane, bo się trzymały za ręce. Ale lesbijkom i tak jest łatwiej niż gejom. Mojej koleżanki znajomy został pobity.

– Mam u siebie na wsi taką sąsiadkę, która na wybory nie pójdzie, bo uważa, że jej głos nic nie da. A przecież każdy głos – tak jak kiedy zbiera się pieniądze – każdy grosz – się liczy. Na ostatnich wyborach też nie była. Teraz narzeka – opowiada Maria, dla której możliwość zagłosowania to szansa na to, by jej głos był słyszalny. – Mogę się wypowiedzieć, nie muszę nikogo pytać o zgodę.

– Pójście na wybory jest obywatelskim obowiązkiem?

– Nie wiem, czy tak bym to nazwała. Uważam, że skoro możemy, to warto iść i zagłosować, ale nie będę krytykowała tych, którzy na wybory nie pójdą – przyznaje. W tej wsi Marii, oprócz sąsiadki, która nie głosuje, ale narzeka, jest też wie-

lu młodych ludzi przekonanych, że Polska powinna wyglądać inaczej. – Raczej pójdą na wybory. Z tego, co wiem, nie będą głosować na PiS – ocenia.

– Na Konfederację?

– Chcą głosować na ugrupowanie, które będzie miało szansę wygrać z PiS-em, a taką szansę to ma chyba tylko PO. Jak ktoś mówi, że głosuje na Konfederację, to jakby opowiedział żart. To moje wrażenie i moich znajomych, bo ci politycy mówią o takich rzeczach, które są nie do pomyślenia. Ale może jestem w bańce? – zastanawia się nastolatka, po czym dodaje, że trzyma się głównie z dziewczynami.

– Ale chłopcy, których znam, też nie są za Konfederacją czy PiS-em.

NISKIE PODATKI
WAŻNIEJSZE
OD AKCEPTACJI
MNIEJSZOŚCI

Maja mieszka w Olsztynie. W maju pisała maturę, w październiku rozpocznie studia na kierunku zootechnika na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. W tym roku skończyła 18 lat, przed miesiącem dowiedziała się o wyborach.

Przyznaje wprost: polityką się nie interesuje. – Nie wiem, na kogo zagłosuję. Przed wyborami chyba po prostu włączę debatę – przyznaje nastolatka. Telewizji na co dzień nie ogląda, ale do debaty zasiądzie z rodzicami. Pewnie obejrzą ją w TVN-ie.

– Będę samolubna – zapowiada. – Nie interesują mnie kwestie socjalne, jakieś dodatki czy szybsza emerytura. Teraz mnie to nie dotyczy, a jak kiedykolwiek będzie, to wiem, że to się jeszcze będzie zmieniało. Ważne są dla mnie niskie podatki.

– A prawa kobiet? Dostęp do aborcji? – dopytuje, a Maja potwierdza: tak, to jest dla niej istotne. Nie oczekuje od polityków dekla-



DEBUT



AMU T K

ILUSTRACJE NATALIA MICHALSKA

racji dotyczących praw osób LGBTQ+, takie jak zawarcie związku partnerskiego czy małżeńskiego. – I to mimo tego, że ja do tej społeczności należę – dodaje.

– Mogłabyś zagłosować na partię, która obiecuje młodym niskie podatki, ale nie toleruje osób homoseksualnych?

– Tak – przyznaje 18-latka. – Robiłam mały research i chyba nie mam innej opcji, bo nie ma partii otwartej na te tematy. Póki nie ma otwartej nienawiści czy zakazu, to jest to dla mnie w porządku.

– Nie słyszałaś, jak prezydent mówił: „LGBT to ideologia, a nie ludzie”?

– Słyszałam. To właśnie partie, które głoszą jawną nienawiść, przodują w sondażach. I czuję, że tak przed wyborami będzie, że te dwie partie taki przekaz podkreślą.

– Masz na myśli PiS i Konfederację?

– Tak. I jest jeszcze ta trzecia partia, zapomniałam jej nazwy...

Wspominam o Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Dro-
dze Hołowni i Kosiniaka-

Kamysza, Lewicy. Ma-
ja o Lewicy mówi jako

o tej bardziej otwar-
tej, ale jednocze-

śnie nieposia-
dającej dobre-
go, przekonują-

cego ją programu
gospodarczego.

– Na sam przód wy-
suwają rzeczy, które są

dla mnie mniej ważne, tę
pomoc socjalną – tłumaczy.

Młoda kobieta przyznaje, że po-
lityka przewija się w jej rozmowach

z przyjaciółmi, ale nie „traktują jej zbyt
poważnie”. – Bo wiemy, że jako queery

będziemy w tym kraju zawsze mniej-
szością, więc nasz głos nie jest aż tak

słyszalny w debatach itp.

O ile Maja i jej znajomi uważa-
ją, że ich głos podczas debat może być

mniej zauważalny, to nie mają takiego po-
czucia, jeżeli chodzi o wybory. – Nie znam

młodego człowieka, który powiedziałby,
że nie idzie na wybory, bo nie ma to sensu

– zapewnia. – Nie możemy tylko siedzieć na
tylku i narzekać: „Ale nam jest źle”. Uczest-

nictwo w wyborach jest obowiązkiem ka-
dego z nas. Zresztą takie przekonanie wy-

niosłam z domu. U mnie zawsze chodziło
się na wybory, ale nigdy nie było ciśnienia,

by głosować na konkretnych kandydatów.
Gdybym zagłosowała inaczej niż moi rodzi-

ce, to nie byłoby z tego powodu kłótni.

– A jeżeli wygra partia, której nie chcesz
widzieć u władzy, będziesz rozczarowana?

Zniechęci to cię do głosowania w kolejnych
wyborach?

– Rozczarowana pewnie będę, ale nie
będę płakać nad rozlanym mlekiem, bo

skoro pójdę na wybory, wypełnię ten obo-
wiązek, to w danym momencie zrobię to,

co mogę. I nie, nie zniechęci mnie to do te-
go, by zagłosować w przyszłości.

NASTOLATKA REEDUKUJE RODZICÓW

Kornelię spotykam na Campusie Polska Przyszłości w Kortowie. Jest absolwentką technikum plastycznego w Dąbrowie Górniczej, a od października będzie studiowała animację na łódzkiej Filmówce. Przyjechała ze swoim chłopakiem. W tym roku po raz pierwszy będzie mogła głosować. Ma 19 lat. – Czuję pewną sprawczość – przyznaje.

Mniej więcej trzy lata temu, czyli w czasie Strajków Kobiet, a później pandemii, zaczęła się interesować sytuacją społeczno-polityczną kraju. Wiedziała, że chce coś zmienić. Podobnie jak jej znajomi. – Otaczam się ludźmi, którym zależy na uczestniczeniu w życiu społecznym – ocenia Kornelia. Bliskie są im tematy dotyczące nie tylko kultury, ale też polityki.

Nastolatka uważa, że społeczeństwo polskie jest bardzo podzielone, że dzieje się dużo złych rzeczy. Najbardziej by chciała, żeby ludzie „mogli sobie po prostu usiąść, porozmawiać i dojść do jakiegoś wspólnego konsensusu”. – Tak by było wszystkim lepiej. Najlepszym sposobem na to jest to, gdy człowiek stara się zrozumieć kogoś innego. Trzeba współpracować. Trzymać się razem – uważa.

Jeszcze nie wie, przy czym nazwisku postawi krzyżyk. Skłania się ku lewicowemu kandydatowi. Albo kandydatce. – Patrzę na taką partię, z którą mam najwięcej wspólnego. Wiadomo, że nie ze wszystkim, co mówią czy co oferują w danym ugrupowaniu, muszę się zgadzać, ale nie można w Polsce powiedzieć, że nie zagłosuję, bo nie ma dla mnie partii. Żadna partia nie będzie nam odpowiadała w 100 procentach. Trzeba iść na kompromis – uważa nastolatka. Innego zdania, jak przyznaje Kornelia, są jej rodzice. – Są, że tak powiem, przykładem niskiej kultury politycznej. Żadna partia polityczna im nie pasuje, więc nie głosują. Mają dość wojenek politycznych, nie chcą się angażować. Rozumiem to, że można mieć dość. Jednak takie osoby często narzekają na to, jak jest, ale nie korzystają z możliwości, jakie mają. Wydaje mi się, że lepiej iść na wybory i oddać nieważny głos, niż zostać w domu. Jak ktoś odda nieważny głos, to chociaż pokaże swoje niezadowolenie.

Kornelia będzie namawiać rodziców, by na tegoroczne wybory jednak poszli. – Nie powiem im, na kogo głosować, ale postaram się przekonać ich do udziału. Choć łatwo nie będzie, bo oni nawet nie mają chęci, żeby zainteresować się kandydatami, bo jest ich bardzo dużo. I wiem, że są osoby, które mają podobny problem. Moja rada jest taka, żeby zainteresować się tym, do jakiej partii nam najbliższej, i wybrać z jej listy jakieś nazwisko.

MENTZEN WYGRYWA INTERNETY

Ola i Zuza mają po 18 lat i są tegorocznymi maturzystkami, pracują w jednym z olsztyńskich pubów, w którym rozmawiamy. Niedawno zaszło słońce, co chwilę ktoś przychodzi, nastolatki nalewają piwo, robią drinki, nabijają na kasę. Rytm rozmowy wyznaczają klienci. Przy barze siada na chwilę około 40-letni mężczyzna, dziwi się, że rozmawiamy o polityce. – To wywiad jest – tłumaczy mu młody chłopak siedzący obok.

Zuza wyprowadziła się już z domu, a żeby się utrzymać, pracuje w dwóch miejscach. – Dziś będę w pracy 18 godzin – mówi w piątkowy wieczór. Od października dojdzie jej uczelnia.

Ola nie wybiera się na studia: – Nie wykluczam, że w przyszłości na jakieś studia pójdę. Teraz po prostu jeszcze nie ten czas.

Może i nastolatki mają różne plany co do tych październikowych, ale łączy je chęć uczestnictwa w wyborach. – Chciałabym coś w tym kraju zmienić i mam świadomość, że tym moim głosem mogę wpłynąć na rzeczywistość – mówi Zuza.

Mają podobne spostrzeżenia: prawa kobiet są ograniczane, aborcja powinna być

legalna, przyszłość rysuje się raczej w czar-
nych barwach, jest drogo, a zarobki nie są
najlepsze. Dziewczyny chcą się czuć bez-
piecznie, nie muszą się bać chodzić po no-
cy same.

Ola zwraca uwagę na konieczność
zmian w ochronie zdrowia. – Nie powinno
być tak, że płacimy te składki, a jak przyj-
dzie potrzeba, to trzeba do lekarza, na wi-
zytę czy jakiś zabieg iść prywatnie, bo cze-
ka się w kolejce rok – ubolewa. – Nie wiem,
jak powinno to się zmienić, ale powinno.

Drożyzna, niskie pensje i prawo do bez-
piecznej aborcji niemalże same wywołują
Konfederację jako tę polityczną siłę, która
według sondaży przedwyborczych urzekła
tylu Polaków, że może zająć trzecie miej-
sce w Sejmie.

Ola przyznaje, że nie odebrała politycz-
nego wychowania, a jej wiedza opiera się
na tym, co czyta w mediach albo usłyszy
od ludzi wokół siebie. – Z tego, co przeczy-
tałam, co wiem, to Konfederacja ma do-
bry plan gospodarczy. Ale nigdy w życiu na
nich nie zagłosuję ze względów światopo-
glądowych – zapewnia.

– My się zawsze z Konfederacji śmia-
liśmy, bo wypowiadał się Korwin. A te-
raz mają Mentzena, który dobrze wszedł
w media społecznościowe, potrafił się
w nich odnaleźć, ale on ma przecież te sa-
me poglądy co Korwin. Tylko on wie, co
powiedzieć, dlatego go wystawiają na po-
kaz. Zaprasza na te spotkania z piwem, to
taka psychologiczna zagrywka, ma poka-
zać, że nie jest wyżej od nas, jest taki jak
my. Ludzie mają się z nim utożsamiać. To
automatycznie buduje sympatię do niego.
Mądra zagrywka. Ale ja na niego nie zagło-
suję – mówi Zuza. Konfederacja nie będzie
miała głosu Zuzy też przez swoje pomy-
sły na ochronę zdrowia: – Mentzen mówił
o jakichś bonach zdrowotnych, pakietach
na ubezpieczenie, które miałyby się wyku-
pować, jakby przewidując, co nam się mo-
że stać, na co możemy zachorować. A jak
w tym pakiecie, który wykupimy, nie bę-
dzie choroby, na którą zapadniemy, to co
wtedy? – pyta.

– Mówicie o tym programie gospodar-
czym, że jest dobry, ale wiele osób zwraca
uwagę na to, że to są cuda na kiju – mówię.

A Ola kontruje: – Politycy często obie-
cują jedno, a robią coś innego. A to, czy ten
program jest do spełnienia, czy nie, to teraz
trudno stwierdzić. Ale tak, jak mówiłam, ja
się na polityce nie znam.

WYBORY W CIENIU KATASTROFY

Myślę, że i ja nieszczególnie znalazłam się
na polityce, kiedy miałam okazję po raz pierw-
szy wziąć udział w wyborach.

Trzyście lat temu mogłam użyć do-
vodu osobistego nie tylko po to, by kupić
piwo z sokiemi imbirowym w pubie. Mo-
głam głosować. I bardzo się z tego cieszy-
łam. Chociaż jak teraz o tym myślę, nie po-
święcałam polityce wiele czasu, miałam
ważniejsze niż polityka, nastoletnie sprawy
na głowie. Pewnie dlatego, że nie czułam,
by wkraczała na moje życie. Ale wiedzia-
łam, że skoro mogę wreszcie wziąć udział
w wyborach – zrobię to. To była oczywi-
stość. Jak kupno biletu miesięcznego, sko-
ro do szkoły dojeżdżałam autobusem.

Nie miałam ogromnego rozeznania po-
litycznego, ale podskórnie czułam, że te
wybory, w których mogę po raz pierw-
szy zagłosować, są istotne. Przyspieszone
wybory z 2010 roku odbywające się w cie-
niu katastrofy smoleńskiej były jakimś ka-
mieniem milowym w rodzimej polityce,
w tym, jak rozkręcał się kolejny sezon woj-
ny polsko-polskiej.

Nazwiska większości kandydujących
pewnie zatarły się w pamięci obywatelkom
i obywatelom. I chyba trudno się dziwić,
najbardziej pamięta się o kandydatach,
którzy spotkali się w drugiej turze – Jaro-
sławie Kaczyńskim oraz Bronisławie Ko-
morowskim, który pełnił w tamtym czasie
obowiązki prezydenta. Kandydaci jeździ-

li po Polsce. Na Komorowskiego, przema-
wiającego na olsztyńskim Starym Mieście,
nie poszłam, był za wcześniej, miałam lek-
cję. Kaczyński był o dogodniejszej porze.
Lekcje skończone, można było się przejść
na plac Solidarności. Na nim poczułam się
jak w innej rzeczywistości. Przeżyłam zdzi-
wienie. I to zdziwienie w kolejnych latach,
zwłaszcza po tym, jak Zjednoczona Prawi-
ca uzyskała mandat do samodzielnego rzą-
dzenia państwem, nie malało. Teraz myślę,
że już niewiele jest mnie w stanie zadziwić.

SKORO NIE INTERESUJĘ SIĘ POLITYKĄ, TO CZY POWINNAM GŁOSOWAĆ?

Magda skończyła w tym roku liceum. Chcia-
ła zrobić sobie roczną przerwę między szko-
łą a studiami, ale ostatecznie zdecydowała się
iść za ciosem. Niebawem odbierze studenc-
ką legitymację olsztyńskiej uczelni. Jak nie
zrezygnuje ze studiów, będzie logopedką. Ma
poczucie, że uczestnictwo w wyborach jest
bardzo ważne. Chociaż jeszcze niedawno za-
stanawiała się, czy głosować, skoro polityką
się nie interesuje. Zajmowały ją nauka, ma-
tura, sprawy życia codziennego.

Ostatnie miesiące były dla niej przeło-
mowe i stresujące. – Koniec szkoły, matura,
wybór studiów i to, czy w ogóle na nie iść...
– wylicza nastolatka. – To takie wejście
w dorosłość. Podejmę decyzje, które wpły-
wają na mnie i na moje otoczenie. Z uczest-
nictwem w wyborach jest tak samo, bo to,
jak zagłosuję, ma znaczenie. To dla mnie
nowość i duża odpowiedzialność.

Wie, że część jej znajomych tej odpo-
wiedzialności się właśnie boi: – Osoby poli-
tycznie nieobyte zastanawiają się, czy gło-
sować.

W sprawach polityki Magda polega na
wiedzy i doświadczeniu bliskich – przyja-
ciół oraz rodziny. Ale cokolwiek by oni mó-
wili, nastolatka wie, że nie zagłosuje na
Konfederację czy PiS. Bo nie odpowiada jej
to, co mówią o aborcji.

Nie podoba jej się także zaangażowa-
nie Kościoła w politykę. Magda jest oso-
bą wierzącą, ale do kościoła już za bardzo
nie chodzi. – Bo Kościół jest jednopartyjny.
Naoglądałam się ostatnio różnych wywia-
dów, w jednym z nich ksiądz opowiadał, że
kobieta powinna urodzić dziecko, nawet
jak jej życie jest zagrożone. To mnie znie-
chęca. Słyszałam o pomysłe usunięcia reli-
gii ze szkół.

– Lewica chciałaby to zrobić – mówię.
– Może to dobry pomysł, może Kościół
powinien być w kościele – Magda się za-
stanawia. I wspomina, że sama na religię
w liceum chodziła jedynie przez pierwsze
półroczne. Nie podobał jej się przebieg lek-
cji, chociaż już nie jest w stanie przypo-
mnieć sobie, co konkretnie. Według niej
wiarą nie powinna podlegać żadnym na-
ciskom, to indywidualna sprawa. – Nie je-
stem przekonana, czy religia powinna być
przedmiotem w szkole. Jak ocenić czyjaś
wiarę?

Łatwiej ocenić to, co proponują politycy.
Magda jeszcze tego nie wie, ale się dowie.
Do wyborów zostało jeszcze trochę czasu.
– Poczytam, co kto proponuje. I będę roz-
mawiała o tym z bliskimi mi osobami.

POLSKA MARZEŃ: NOWOCZESNA, OTWARTA I ŚWIECKA

Dziewiętnastoletnia Aleksandra ostatnie
miesiące spędziła w Holandii. Pojechała tam
z chłopakiem. Pracowali, by móc się utrzymać
na studiach, które rozpoczną w październi-
ku. W Polsce. Nastolatka zna takich, którzy
tylko czekają, aż skończą liceum albo studia
– to dla nich punkt na życiowej linii czasu, po
którego przekroczeniu emigrują. – Ale są i ta-
cy, którzy oczekują zmian.

Aleksandra mówi o liberalizacji pra-
wa aborcyjnego (dostępna aborcja) czy po-
szanowaniu, także w prawnym porządku,
praw osób LGBTQ+.

– A żeby cokolwiek miało szansę się
zmienić, musimy głosować. Jesteśmy prze-
cież przyszłością tego kraju – mówi trochę
z przekąsem.

W jakiej Polsce chciałaby żyć Aleksan-
dra? – Nowoczesnej, otwartej i świeckiej
– mówi.

Nie podoba jej się zaangażowanie poli-
tyczne Kościoła czy szkoła ministra Czarn-
ka. – Uczymy się wielu nieprzydatnych rze-
czy – ocenia. Wspomina o dziwnych tre-
ściach w podręcznikach szkolnych. – Za-
miast zrozumieć różne subkultury, demo-
nizują np. muzykę rockową. Nie ma tu zro-
zumienia, są opinie.

– Niektórzy moi znajomi, chłopacy, chcą
głosować na Konfederację, bo podoba im
się obietnica niskich podatków i plan go-
spodarczy, ale nie sądzę, że się z nim rze-
czywiście zapoznali – ocenia. Dodaje:

– Zresztą plan gospodarczy to nie wszyst-
ko, są jeszcze inne aspekty. Co z tego, że go-
spodarka będzie rozwinięta, jak kobiety bę-
dą miały mniejsze prawa?

NAJWAŻNIEJSZY W ŻYCIU JEST SZACUNEK

Na Campusie Polska Przyszłości spotykam
też Anetę, 19-letnią absolwentkę warszaw-
skiego prywatnego liceum, która w paździer-

Maja: Będę samolubna. Nie interesują mnie kwestie socjalne, jakieś dodatki czy szybsza emerytura. Ważne są dla mnie niskie podatki

niku rozpocznie studia związane z ekono-
mią. – Ważne jest dla mnie wspieranie ko-
biet w biznesie. Chciałabym pokazać, że ko-
biety głos też jest ważny, widzimy, że w bi-
zesie, firmach, kobietę wciąż nie są tak trak-
towane jak mężczyzn – mówi.

Wie, że ten głos ważny będzie również
15 października.

– To będą moje pierwsze wybory. I uwa-
żam, że patrząc na to, jak spolaryzowane
jest nasze społeczeństwo, bardzo ważne
jest to, kto je wygra – mówi.

Najważniejszą rzeczą w życiu jest dla
niej szacunek dla drugiego człowieka. – Te-
go w polityce nie widać. Z żadnej strony
– ocenia. Ten brak szacunku wiąże z pol-
ską zaściankowością i życiem w starych
czasach, w przeszłości. – Nie jesteśmy go-
towi na zmiany. Młodych ludzi nie dopusz-
cza się często do głosu. Dlatego przyjecha-
łam tutaj. Każdy głos jest ważny, bez wzglę-
du na nasz wiek. Może mam mniejszą wie-
dzę na niektóre tematy, ale nie uważam,
żebym była głupsza od osób starszych ode
mnie – uważa Aneta. Dla niej i jej znajo-
mych ważne jest to, co dzieje się w pań-
stwie, ale wie, że nie dla każdego. Wie, jak
sama przyznaje, że żyje w bańce dużego
miasta i prywatnych szkół.

Głosowania na Konfederację nie rozu-
mie. – Bo jestem kobietą – mówi. Nastolat-
ka uważa, że w jej pokoleniu podziały po-
lityczne będą jeszcze bardziej widoczne.
Młodzi wybierają nie między PiS-em a PO,
ale między skrajnościami – skrajną lewicą
i skrajną prawicą. – Mało jest ludzi środka.
Bardzo mnie to martwi – przyznaje.

Przeraża ją, nie tylko w Polsce, ale także
w innych państwach, popularność ruchów
prawicowych. – Może moje pokolenie już
nie, ale te wcześniejsze żyją wciąż w po-
nazistowskich traumach, więc ta popular-
ność prawicowych ruchów jest straszna.
Jako kobieta nie mogę zrozumieć, że w XXI
wieku ktoś ma takie poglądy. To absurd.

TE PYTANIA NIE BRZMIĄ NEUTRALNIE

Siedemnastego sierpnia, przy poparciu
233 posłanek i posłów, Sejm zdecydował, że
15 października oprócz wyborów do Sejmu
i Senatu odbędzie się też referendum. Pierw-
sze od 2015 roku.

Większość moich rozmówczyń słyszało
o referendum, ale nie interesowało się nim.

– Pytania nie są klarowne. I są... niepre-
czyzyjne – ocenia Aleksandra, kiedy kończy
czytać pytania.

– Nie wiem, jak mam na te pytania od-
powiedzieć, nie rozumiem ich do końca.
Ale mam wrażenie, że nie brzmią neutral-
nie. Kojarzą mi się z manipulacją – mówi
Maria. O braku neutralności mówi również
Aneta. – Pytania są opiniotwórcze. Myślę,
że nie wszyscy to zauważają.

Oli nie podobają się pytania: – Jest
w nich trochę skomplikowanego słownic-
twa, są złożone i nieintuicyjne.

Zuza nie wie, co o nich myśleć.

– Łał, pierwsze i drugie pytanie, powiem
szczerze, nie są w ogóle obiektywne i na-
rzucają od razu, co myśleć, zawierają opi-
nię – dziwi się Maja.

Kornelia rozumie, z czego wynikają py-
tania, ale nie wie, czemu mają służyć. Ma
wątpliwość, czy rzeczywiście kwestie te po-
winny być poddane pod głosowanie. Nad

Inicjacja polityczna nie jest najważniejsza

O tym, co usłyszałam od młodych kobiet, rozmawiam z Mikołajem Cześnikiem, socjologiem i politologiem z SWPS-u, zajmującym się m.in. wyborami politycznymi.

Mówię mu o tym, że każda z moich rozmówczyń, co jak myślę, jest godne pochwały, deklaruje chęć oddania głosu w wyborach, a badacz zwraca uwagę na to, że first time voters, jak określa grupę głosujących po raz pierwszy, nie zawsze stawiają się na wybory. I to nie tylko w Polsce.

– Duńczycy przebadali wiele aspektów aktywności społecznej, także i ten. Ich badania pokazują korelację między stawiennictwem na wyborach a tym, ile czasu minęło od momentu uzyskania praw wyborczych. Osoby młode tym chętniej głosują, im mniej czasu upłynęło od nabycia tych praw. Ich chęć do głosowania spada, jeżeli od osiemnastki minęło pół roku, rok i tak dalej – mówi Cześnik. – Młodszy i ci najstarsi wyborcy głosują względnie mniej chętnie – dodaje.

Na co wpływ może mieć poczucie braku politycznego wyrobienia, niechęć do polityki i polityków, niewiara w to, że ich głos coś zmieni, ale ich absencja na wyborach, o czym przypomina politolog, może być niezawiniona, związana ze stanem zdrowia. Ma to częściej miejsce w przypadku najstarszych wyborczyń i wyborców. Ale nie o nich jest ten tekst. Chociaż trudno o nich nie wspomnieć, wróć do nas później.

Pierwsze wybory w życiu młodego człowieka zazwyczaj pokrywają się z innymi ważnymi wyda-

zeniami w ich życiu – końcem lub rychłym końcem nauki, maturą, pierwszymi miłościami, podejmowaniem decyzji o tym, co robić po skończeniu szkoły. Słowem, w tym czasie w życiu młodych dorosłych dzieje się wiele nowych rzeczy. – Inicjacja polityczna nie musi być najważniejszą z nich – przypomina Cześnik. – Wejście na rynek pracy jest dla młodego człowieka ważniejsze. To, że ktoś nie głosuje, raczej nie jest powodem, dla którego jest mniej atrakcyjny na rynku partnersko-matrymonialnym, ale brak pracy już tak.

WYSUBLIMOWANA ZEMSTA

Nie dokonamy żadnego cudownego odkrycia, gdy powiemy, że szansa na wzięcie udziału w wyborach rośnie, gdy mamy taki przykład w domu. Bo przecież czym skorupka nasiąknie za młodu... Zdarzają się oczywiście wyjątki, gdy tego przykładu nie ma w domu, ale młoda osoba czuje, że uczestnictwo w wyborach jest istotne. Jak w przypadku Kornelii. – Taka osoba musiała mieć przykład z innej strony, może był to nauczyciel, może ktoś z kręgu przyjaciół. Ważne jest to, że jakaś osoba wykonała tę robotę i zaszczerpiła w niej to, że ma to prawo, a nawet obowiązek wobec siebie i czegoś tak abstrakcyjnego jak ojczyzna, kraj, w którym żyje – ocenia Mikołaj Cześnik. I dodaje: – Bardzo możliwe, że jeżeli ktoś nie pójdzie głosować w swoich pierwszych wyborach, to i na kolejne się nie stawia.

Oczywiście zależy to także od tego, jak wyborcy będą mobilizowani przez stronnictwa polityczne i ich propozycje. Jednak niezależnie od pomysłów polityków na to, jak ulepszyć nam życie, u wy-

borcy lub wyborczyni może zadziałać mechanizm: nie byłem na wyborach i nic to nie zmieniło, świat dalej jest, a kolega był i nic nie zmienił. Wybory, w przeciwieństwie do rynku pracy, można zbojkotować.

■
W sprawach polityki Magda polega na wiedzy i doświadczeniu przyjaciół oraz rodziny. Ale cokolwiek by oni mówili, nie zgłasza na Konferencję czy PiS. Bo nie odpowiada jej to, co mówią o aborcji

– Natomiast rynek wyborczy mści się w sposób bardziej wysublimowany i mniej bezpośredni – przypomina Cześnik. – Nasze niebranie udziału w wyborach przekłada się na różnego rodzaju decyzje podejmowane także w naszym imieniu, a na pewno w związku z naszym interesem albo wbrew niemu.

DROŻYZNA I INFLACJA WAŻNIEJSZE NIŻ ABORCJA

A jak mówimy o interesach różnych grup, to inne mają osoby mło-

de, powiedzmy do trzydziestki, a inne po sześćdziesiątce. Jeżeli spojrzymy na dane demograficzne, to się okaże, że tych pierwszych w przypadku kobiet jest ponad dwa razy mniej niż tych drugich. – Widzą to partie polityczne i polityczni marketerzy i łowią tam, gdzie są duże ławice, a nie ławiczki – mówi Cześnik. – Szpitale pediatryczne kontra geriatryczne, jak ja to lubię mówić.

Jak już jesteśmy przy szpitalach, to mówię o aborcji, która okazuje się dla moich rozmówczyń bardzo ważnym tematem. Chcą liberalizacji prawa aborcyjnego. – Dla koalicji rządzącej ten temat także jest istotny, tylko kierunek mają inny niż pani rozmówczyni. Bardzo możliwe zresztą, że gdyby porozmawiać z kobietami, które żyły w czasach realnego socjalizmu, gdy aborcja nie była karana, dziesięć 60- czy 70-latk, to ten ich stosunek do aborcji by nas zaskoczył. On nie jest tak jednoznaczny, jak może nam się wydawać. Ale z naszych badań wynika, że kwestie związane z aborcją są dla kobiet na drugim planie. Na pierwszy wysuwają się inflacja i drożyzna. To uderza szczególnie w mniej zamożne osoby – przypomina Cześnik.

Młode bezdzietne kobiety nie mogą liczyć na 13. i 14. emeryturę, na 500 czy 800 plus. Młodzi, ale tylko ci do 26. roku życia, mają nieoskładkowane umowy. Po tym czasie wysokość ich pensji nierzadko jest dla nich zaskoczeniem.

– Młodemu nikomu do portfela nie dosypuje. A oni są sfrustrowani, bo jeżeli na czymś im zależy, to na usługach publicznych, a te w ostatnich latach bardzo podupadły. Właśnie przez to, że PiS dosypał ludziom do kieszeni. To przelożyło się na prywatyzację usług zdrowotnych i edukacyjnych. To nie załatwia naszych problemów. Państwo nie może być tylko nocnym stróżem ograniczającym się do pilnowania bezpieczeństwa ulic – konkluduje socjolog.

DO PEŁNEJ EMANCYPACJI DALEKA DROGA

Magda, jedna z moich rozmówczyń, przez chwilę powątpiewała, czy powinna w wyborach wziąć udział, skoro polityką się nie interesuje. Mikołaj Cześnik uważa, że takie podejście jest pokłosiem eksperymentów robionych na polskiej szkole. – Pokazuje, że młodej kobiecie, a może i młodemu mężczyźnie, można wmówić, że jeśli się czymś nie interesuje, to zatracą prawo, by zabrać w jakiejś sprawie głos. Tymczasem nasza konstytucja bardzo wyraźnie mówi, że poza osobami, które uznaliśmy za niezdolne do tego, by rozstrząsać własne dobra, ale i dobra kolektywne, to dostajemy prawo głosowania od 18. roku życia. Uznaliśmy, że taka osoba jest zdolna do rozstrząsania dobra własnego i dobra kolektywnego oraz obrania ku temu jak najlepszej drogi – przypomina socjolog.

– Dostrzegam w tym jakąś pedagogikę wstydu, żeby użyć prawniczego języka, w którym kobieta uważa, że ona się na polityce nie zna, może więc lepiej, by została przy lepieniu pierogów. Pobrzmiwają tu lata 30. ubiegłego wieku. W Niemczech jedna z partii bardzo chętnie korzystała z hasła 3K – Kinder, Küche, Kirche (dzieci, kuchnia, kościół). W tych dziedzinach kobiety miały szukać spełnienia. Polityki tam nie było. Ona należała do mężczyzn. Nasza kultura, często w sposób nie do końca uświadomiony, przemycą przekonanie, że polityka jest domeną mężczyzn, bo jest w niej element współzawodnictwa, walki, a to jest kojarzone w naszym kręgu kulturowym, judeochrześcijańskim, z mężczyznami. W patriarchalnym kręgu kulturowym kobiety przez długi czas były praw pozbawione lub miały ich dużo mniej. Niedawno, bo dopiero w XX wieku, doszło do zrównania praw kobiet i mężczyzn, ale nie ma co się oszukiwać: do pełnej emancypacji czy równości to jeszcze daleka droga – ocenia Mikołaj Cześnik. ●

OGŁOSZENIA

Matejko. Malarz i historia



Muzeum Narodowe w Krakowie

23.06.2023–07.01.2024
MNK GMACH GŁÓWNY



Wystawa pod Honorowym Patronatem Wiceprezesa Rady Ministrów, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego
Zadanie „Jan Matejko”. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Mecenas MNK

Partnerzy Strategiczni MNK

Partnerzy Wystawy



Historio, tania z ciebie dziewczka

Dlaczego kobiety garną się do Konfederacji, gdy już się garną? Przecież to jak małżeństwo z facetem, który będzie pił i bił. No, ale...

Kącki

Julia Polakowska, młoda rzeczniczka partii Korwin, wchodzi do studia telewizyjnego, by sprostać zadaniu, po którym, jeśli sprostą, powinna dostać robotę w każdej agencji, która zajmuje się kryzysowym PR-em, choćby miała bronić Harveya Weinsteina jako nauczyciela w żeńskim gimnazjum. Ma bowiem rzeczniczka Korwina wytłumaczyć się w telewizji z samego Janusza Korwin-Mikkego, z jego hajlowania, antysemickich wyskoków, pogardy dla kobiet, dla niepełnosprawnych, z ksenofobii, a to jakoś tylko połowa listy. A jeszcze obok niej, w tym studio, siedzi sam Korwin i rechocze z rzeczniczki Polakowskiej, no i Polakowska się gimnastykuje, że to nie tak, że prezes chce dotrzeć do mediów, że nie trzeba dosłownie rozumieć, że, że, że... A Korwin dalej rechocze. Na drugi dzień Polakowska rzuca się na główkę do internetu, a tam nic, cisza. Czyli sukces. Normalnie każdy polityk marzy, by mówiono o jego występie w telewizji przez kilka dni, ale kobiety u Korwina marzyły właśnie, by było cicho.

Polakowska szybko się poddała i z ulgą zrezygnowała z posady rzeczniczki, a warto dodać, że niechętnie do niej aspirowała, ale sam Korwin-Mikke cisnął, a prezesowi, gdy dzwonił trzeci raz i ciśnie, się nie odmawia.

Lęki kobiet z partii Unia Polityki Realnej, z partii KORWiN, a dzisiaj z partii Nowa Nadzieja, czyli składowej Konfederacji, można by w zasadzie zamknąć na jednym obrazku jak z komiksu: Korwin stoi na scenie i bierze wdech do przemowy, a kobiety partyjne, czyli z reguły dwie, może trzy, zawsze bardzo młode, chowają się pod krzesła i zasłaniają uszy. Bo to nie tak, że wszystkie szły do tych partii, by słuchać, że: powinny być w kuchni, służyć facetom, być lalkami seksualnymi, nosić kawę. Poznałem kilka z nich, jak Agatę, partyjną szefową z Małopolski, która miała poglądy wolnorynkowe, zakochała się w wolnorynkowych felietonach Korwina, a do partii poszła, by Korwina zmienić od środka, i poddała się dopiero po czterech latach, gdy odkryła, że szef ma dwie rodziny i jedną trzyma w ukryciu.

Wiele z tych kobiet idzie tam jeszcze za swoimi facetami, w okresie dorastania, gdy zapatrzone są w pozorne bezpieczeństwo kultu męskości, XIX-wieczne fantazje o wielkiej rodzinie czy siłę słowa Korwina potrafiącego tymi słowami jak nożami wyciąć najbardziej karkołomne frazy, które – choć pozbawione podstaw naukowych – mają potęgę chłopskorozumizmu i trafiają do 17-latków najprostszą drogą – przez uszy, mijając młody jeszcze mózg. A te kobiety rezygnują z partii, jak prześledziłem, gdy świat partii konfrontują z życiem, gdy się okazuje, że wzorzec męskości nie jest wycięty w kształt korwinistycznej muszki. Odchodzą też czasami, by się podleczyć, jak co najmniej siedem działaczek, które przez innego działacza zostały zakażone kiłą, a skargi do

Korwina oczywiście nie tylko nic nie dały, ale wręcz podniosły partyjne notowania towarzyskie działacza, który zostawił ten swój trwały na lata ślad w terenowych strukturach.

Wróćmy jednak do obecnych kobiet Konfederacji, bo kampania wyborcza ledwo wyrabia już na wirażach: oto mamy znów Korwina na scenie, znów się co bardziej rozgarnięte działaczki chowają pod krzesła i znów są to głównie nastoletnie, głodne survivalowej przygody, choć są i starsze, bardziej doświadczone przez życie, ale chyba nawet za bardzo doświadczone, bo jedna mówi coś o jedzeniu psów, a druga, niejaka Żaneta Nochowicz, być może przyszła posłanka z Pabianic, to nawet postanowiła Korwina przebić. Pani Nochowicz uważa bowiem nie tylko, że Ziemia jest płaska, co – przynajmniej – jest już mało kontrowersyjne, ale że wi-fi zabija plemniki, a „Titanic” nie został zatopiony przez lodową górę, ale nie wyjaśnia, o co chodzi z tym „Titanikiem”, być może „Titanic” uderzył w krawędź Ziemi.

18-latków zapytano, na kogo będą głosować: połowa na Konfederację, z czego na Mentzena/Korwina chce głosować jedna trzecia młodych kobiet, a wszyscy jako najważniejsze perspektywy życiowe wskazali rodzinę, bezpieczeństwo i miłość

A to wszystko oznacza, że oprócz Anny Bryłki, specjalistki m.in. od rolnictwa w Ruchu Narodowym i rzeczywiście polityczki – wydaje się – kompetentnej, nie ma w Konfederacji takiej, która mogłaby reprezentować godnie po prostu kobiety. Ma się wrażenie, że zbierano je tam z łapanek, by zapelnąć listy wyborcze, bo największy problem Konfederacji to brak terenowych struktur, ponieważ tymi Korwin zawsze gardził, a nawet tak bardzo, że wysyłało w teren tego działacza z kiłą.

Jest jeszcze jedna koncepcja, i ta mi jakoś pasuje, spiskowa oczywiście, że Korwin i jego chłopcy mentzenowcy specjalnie wystawiają na listy kobiety o poglądach, nazwijmy je delikatnie, splątanych psychologicznie, by udowodnić, zgodnie z koncepcją Korwina, że kobiety stoją niżej z inteligencją, że nie nadają się do polityki. No taki mały autosabotaż, ale w słusznej, bo przecież męskiej sprawie.

No dobra, ale żarty na bok, bo jednak w kampanii wyborczej trzeba uciulać każdy głos, także kobiecy, zwłaszcza że głód władzy u konfederackich chłopców bezbrzeżny jak horyzont płaskiej Ziemi, a przecież po to właśnie Mentzen zrzucił Korwina z tronu, by w końcu pójść po władzę. Poza przejściem partii chodziło też oczywiście o zmianę nazwy partii, bo głupio mówić po każdym wysoku Korwina, że Korwin to nie cała partia, gdy partia nazywa się KORWiN. Odsunięto za-

tem Korwina, wybrano władze Nowej Nadziei i usunięto na bok hasła typu „kobieta w kuchni”, „nie chcemy UE i Żydów”, ale niestety, Korwin ma internet i lubi chodzić na męskie spędy. Poszedł ostatnio na konwencję fundacji Patriarchat założoną przez nieznanego programistę z Krakowa, 30-latka, który lubi robić sobie selfie z nagim torsem i mieszka z królikiem. Na tej konwencji fantazjowano o kobietach, które są częścią męskiego dobytku, rzucane przez Korwina i innych mężczyzn, których naliczyłem 30, dlatego nie używałbym słowa „konwencja”, ale raczej „spotkanie zagniewanych chłopaków w piwnicy”, bo spotkanie było w piwnicy.

I nie wysyłano już rzeczniczki, by się stresowała, bo żadnej rzeczniczki już nie ma, teraz sam Mentzen zabrał głos i kilka dni później powiedział: „Kto to wymyślił, że nasz program jest skierowany przeciwko kobietom?” oraz: „Nasz program jest programem najlepszym dla kobiet”.

I jeśli sądzicie, szanowni, że Mentzen żartował, to badania mówią jednak co innego.

Korwin miał dwie żony, kochankę i żonę obecną, z którą ma dwójkę dzieci, a razem tych dzieci ośmioro i 13 wnucząt. Można powiedzieć, że przeskoczył wszystkie statuty partyjne swoich UPR-ów czy KORWiN-ów, w których zawsze zapisywano chrześcijańskie wartości. Kobiety, zdaje mi się, nie były dla niego fetyszem chrześcijańskim, ale dopełnieniem męskości, bo jak mówił mi jeden z jego przyjaciół – lubił się przeglądać w oczach kobiet, by widzieć w nich swoją męską wielkość. Dominika, młodsza o 40 lat, najnowszą żoną Korwina, też chciała go zmienić, ale zaszła w ciążę, jedną, drugą, i została, rezygnując ze swoich ambicji i życia, a może nawet, jak mi sugerowała, utonęła w miłości do swojego idola i nie zauważyłem, by była niezszcześliwa, wręcz przeciwnie. Z kolei siostra Korwina mówiła mi, że nie raz była świadkiem, jak kobiety, nawet obce mu, lgną do jej brata zauroczone błyskotliwością, inteligencją i łobuzerstwem, i może to kolejna fantazja, która wydaje się nieśmiertelna i odporna na feministyczne rewolucje.

Bo oto, gdy spojrzymy na badanie społeczne „Debiutanci 2023”, w którym 18-latków zapytano, na kogo będą głosować, to zapowiedzieli w połowie, że na Konfederację, z czego na Mentzena/Korwina chce głosować również jedna trzecia młodych kobiet, a wszyscy, i to jest bardzo ważne, jako najważniejsze perspektywy życiowe wskazali rodzinę, bezpieczeństwo i miłość. Bo to pokolenie traumy, sz-

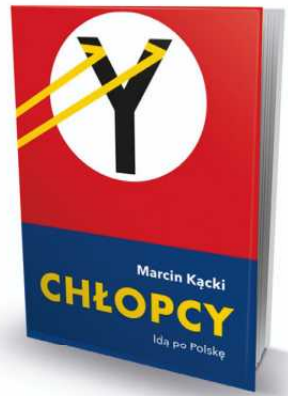
leństw Putina, pandemii, klimatycznych lęków, kryzysów gospodarczych, czarnkowych eksperymentów na szkole i safetyzmu ich rodziców, którzy chcą ustrzec dzieci przed wszelkimi karkołomnościami życia. Dlatego wydaje się, że młodzi wybierają spokój i rodzinę, a Mentzen mówi ze sceny: „Obronimy waszą prawdziwą rodzinę przed lewactwem, damy wam grilla i dwa samochody”. I znów, jak kiedyś Korwin, proste hasła dają obietnicę spełnienia fantazji, tyle że tym razem trafią mocniej, bo wojny męskie, kulturowe i płciowe zdają się bardziej realne niż korwinistyczne majaki.

Mamy zatem nasto- i 20-latki zmęczone męską opresją, które walczą na polach lewicowych haseł i żądają wolności, prawa do decydowania o swoim ciele, emancypacji, wyższych zarobków, szacunku, i te, które chcą spokoju, rodziny i świata bez konfrontacji. Nie wydaje się, by to oznaczało jakiś rewolucyjny rozdział w historii ludzkości, to raczej stare, utarte pytania o życiowy wybór: wolność czy bezpieczeństwo. I choćby Mentzen z Bosakiem wytatuowali sobie słowo „wolność” na czole i szyi, to ich hasła dostępu do broni, obrony rodziny, mariażu z Kościołem, grilla i samochodu właśnie z bezpieczeństwem są związane, a nie z wolnością, a część pokolenia traumy, jak widać w badaniach, wolności ma już chyba po wspomnianej szyć.

A jeśli już nawet tak będzie, jak po wojnie w latach 40. i 50., że pokolenie wojenne chciało domu, kobiety w kuchni, męża w pracy i rodziny wolnej od wszelkich zagrożeń, to pamiętajmy, że po nich przyszło pokolenie chcące seksu, dragów i rock’n’rolla.

Także...
„Historio, historio
Tania z ciebie dziewczka
Miała być Canzona
A jest stara śpiewka...”. ●
Marcin Kącki

Kim są konfederaci, „kuce Korwina” i sieroty po wszechpolakach? Książka Marcina Kąckiego **„Chłopczy. Idą po Polskę”**, wyd. Znak. Litera Nova, już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



PO PRAWDZIE

Ty hitlerowcu, Niemcu i świnió Tuska

Jeśli opozycja wygra, może świętować tylko przez jedną noc.

Agnieszka Kublik

Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego i Otwarta Rzeczpospolita oglądają TVP. Monitoring dotyczył pięciu programów TVP i TVP Info: „Wiadomości”, „Gościa Wiadomości”, „Minęła dwudziesta”, „W tyle wizji” oraz „W kontrze”. Analizowane były pod kątem treści nienawistnych wobec siedmiu wybranych grup mniejszościowych: Żydów, Ukraińców, Niemców, Rosjan, uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki, muzułmanów oraz osób LGBT+.

Monitoring trwał dwa tygodnie, od 5 do 24 września. Poprzedni był prowadzony przez dwa ostatnie tygodnie sierpnia.

Wnioski zatrważają: nienawiść rośnie, a sieją ją przede wszystkim dziennikarze „Wiadomości” TVP. Tak oto PiS wykorzystuje przejęte media do szczucia na innych, by wygrać wybory i rządzić trzecią kadencję.

Najczęściej nienawistne treści dotyczyły uchodźców: byli kojarzeni z zagrożeniem i ze wzrostem przestępczości w krajach Europy Zachodniej. Nazywano ich „nielegalnymi migrantami”. „Zielona granica”, głośny film Agnieszki Holland o tragedii uchodźców na granicy z Białorusią, stała się pretekstem do nowych ataków (na marginesie, sąd właśnie zakazał Ziobrze zestawiać Holland i jej film ze zbrodniczymi reżimami). W dwa tygodnie uchodźców zaatakowano na antenie TVP aż 45 razy!

Kolejna atakowana grupa to Niemcy – 21 razy. W TVP są kojarzeni z nazistami, Trzecią Rzeszą i odpowiedzialnością za zbrodnie II wojny światowej.

W porównaniu z monitoringiem sierpniowym widać, że przybyło nienawistnych treści wobec wszystkich grup. W przypadku ataków na uchodźców widać wzrost z 30 do ponad 50 proc.

Autorami nienawistnych stwierdzeń najczęściej są dziennikarze – 71 przypadków. 45 – to politycy (szczególnie PiS), 13 – komentatorzy.

Ranking programów najczęściej szczujących otwierają „Wiadomości” TVP 1 – 33 przypadki w samym dzienniku i 12 – w „Gościu Wiadomości”. Oraz aż 22 w „Minęła 20” i 21 we „W tyle wizji”.

Tyle rzeczywistość telewizyjna. A rzeczywistość codzienna?

Ukraińcy są zaczepiani na ulicach. Socjologowie już parę miesięcy temu alarmowali, że PiS będzie chciał wykorzystać narastającą od wybuchu wojny niechęć do naszych sąsiadów, by odebrać procenty Konfederacji. Udało się.

Antyniemieckie nastroje też przeniosły się z telewizji na ulice. Jacek Karnowski, prezydent Sopotu, słyszy na ulicy wyzwiska – od Niemców, hitlerowców, faszystów. – Są na porządku dziennym – mówi.

Borys Budka, poseł PO, został wyzwany w katowickiej galerii handlowej od nazistów, Niemców i świni Tuska.

W różnych miastach Polski, oddalonych o setki kilometrów, takie same diabelskie emocje. Takie same jak w PiS i jak w „Wiadomościach” TVP.

Co gorsza, po 15 października te emocje się nie rozplyną, nawet jeśli PiS przegra. Frustracja, wściekłość tych, którzy obcych ludzi na ulicy bez powodu obrzucają łajnem, mogą nawet przybrać na sile.

Wygraną (ewentualną) opozycja może świętować przez jedną noc. A potem musi nas ratować przed falą nienawiści, która wzbierze bez dwóch zdań. ●

Ta ostatnia „Niedziela”

Gejowska orgia księży z Dąbrowy Górniczej może być szansą dla wiernych.

Magdalena Czyż

Czy po gejowskiej orgii w Dąbrowie Górniczej urządzonej przez kilku księży w parafii można jeszcze pisać poważnie o Kościele katolickim?

Czy da się przekonać do inwestycji duchowej w Kościół kogokolwiek po tym, jak ci księża nie chcieli wpuścić ratowników medycznych do pokoju, gdzie mężczyzna, którego wynajęli sobie w charakterze prostytutki, stracił przytomność? Aż musiała interweniować policja!

Nie zazdroszczę dziś innym księżom, ale jeszcze bardziej nie zazdroszczę wiernym. Kompromitacja Kościoła katolickiego w Polsce osiągnęła poziom Mount Everestu. I nie zgadzam się, że problem dotyczy tylko diecezji sosnowieckiej, bo po pierwsze, Episkopat milczy, po drugie, milczy kilka tysięcy innych księży. Żadnego otwartego listu wspólnie podpisanego, żadnej inicjatywy mającej wyjaśnić wiernym tę sytuację. Nic. Cisza. Tylko ks. Kazimierz Sowa i Tomasz Terlikowski mają odwagę zając jakieś stanowisko. Litościwie przemilczam list biskupa Kaszaka, który bardziej się martwi o duchowy ból swoich pozał się Boże kapłanów niż o zdrowie ich ofiary.

Jednak kiedy przeczyta się o księżowskim seksparty i opanuje wybuchy śmiechu po lekturze komentarzy pod tekstem Marcina Pietraszewskiego w „Wyborczej” oraz wszystkich memów na ten temat, dobrze byłoby zastanowić się nad konsekwencjami dla Kościoła spod znaku „Niedzieli” (seksparty miało miejsce w mieszkaniu księdza i dziennikarza tego ultrakonserwatywnego tygodnika) i szansami innej twarzy Kościoła w Polsce.

To twarz Kościoła otwartego na dialog z szeroko pojętą współczesnością, otwartego na potrzeby duchowe mniejszości seksualnych, otwartego na człowieka z wszystkimi jego wadami i otwartego na dialog międzyreligijny.

Skandal w Dąbrowie Górniczej może być szansą na wskazanie wiernym wyboru pomiędzy Kościołem ultrakonserwatywnym prezentującym swoje prawdziwe oblicze i „głęboką wiarę” na gejowskiej orgii i Kościołem spod znaku dialogu z różnorodnością dzisiejszego świata. Pytanie: czy ta druga twarz polskiego Kościoła tę szansę zdola wykorzystać?

Przynajmniej próbuje. Na przykład w październiku Żydzi obchodzą radosne święto

Simchat Tora, Radości Tory. To uroczystość związana z zakończeniem rocznego cyklu czytania Tory, czyli Pięcioksięgu. I z tej okazji za kilka dni Polska Rada Chrześcijan i Żydów organizuje w Warszawie coroczne spotkanie modlitewne, podczas którego Żydzi i chrześcijanie wspólnie komentują Torę, wspólnie się modlą i wspólnie śpiewają psalmy. To spotkanie, podczas którego polski katolik bez żadnej wiedzy na temat tradycji religijnej Żydów może tę wiedzę nabyć w kontakcie bezpośrednim. Bo o to właśnie chodzi w dialogu międzyreligijnym.

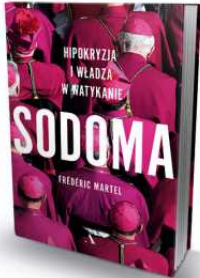
I teraz niech wierni sami wybiorą, czy wolą nadal przychodzić do kościoła, w którym widzą „Niedzielę” wyłożoną do sprzedaży, czy wolą jednak wysilić się raz w tygodniu i nawet pojechać do innego miasta na mszę, podczas której nie będą musieli więcej słuchać o wiecznym potępieniu za grzech homoseksualizmu, a później czytać o gejowskich orgiach w plebanii. ●

WSPÓLNA RADOŚĆ TORY

W niedzielę 8 października o godz. 18 zapraszamy na spotkanie modlitewne chrześcijan i żydów w warszawskim kościele środowisk twórczych przy placu Teatralnym 18. Modlić się, komentować i debatować będą m.in. duszpasterz artystów ks. Grzegorz Michalczyk, współprzewodniczący Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów Katarzyna Kowalska i Stanisław Krajewski, zajmujący się edukacją żydowską dorosłych Witold Jermolowicz oraz teolożka ewangelicka dr Iwona Baraniec. Spotkanie będzie transmitowane na YouTube warszawskiego Duszpasterstwa Środowisk Twórczych.

„Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie”

– świat wielkiej szafy, w której ukrywają się księża geje. Książka śledcza Frédérica Martela dostępna w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



OGŁOSZENIA

Lektura tej książki to jak słuchanie Rickmana rozmawiającego z bliskim przyjacielem

WYDAWNICTWO POZNANSKIE

Przedmowa EMMA THOMPSON

Prawdziwie, do szaleństwa

ALAN RICKMAN

Przełożyła Maria Jaszczerwińska

DZIENNIKI

Niemal każdy gwałcieciel może spać spokojnie – w Polsce umarzanych jest około 70 proc. spraw o gwałt, w Wielkiej Brytanii – 99

Maciej Jarkowiec

W programie Piersa Morgana, jednego z najbardziej szanowanych brytyjskich dziennikarzy, odbywa się dyskusja na ten temat. Morgan chwali materiały „Sunday Timesa” i „Dispatches” za rzetelność i dokładność. Zauważa, że kobiety oskarżające Branda się nie znały. Nikt nie popędzał publikacji i nie szukał sensacji. Morgan pokazuje montaż klipów z ostatnich lat, w których Brand obściskuje kobiety, niespodziewanie je całuje, składa im erotyczne propozycje. Jednocześnie jednak Morgan zastanawia się, czy komik nie jest obiektem medialnego linczu. Choć żaden prokurator nie postawił mu na razie żadnych zarzutów i nie skazał go żaden sąd, to agent artysty zerwał z nim współpracę, jego tournée zostało odwołane, podobnie jak kontrakty wydawnicze, YouTube zablokował mu możliwość zarabiania na kanale, na którym Brand ma sześć milionów subskrypcji.

Publicystka Esther Krakue, jedna z gościń programu, stwierdza, że kobiety oskar-

żają go na żywo ponad siedem milionów Hiszpanek i Hiszpanów, którzy oglądali wydarzenie w telewizji. W pierwszych godzinach komentowano zajście w lekkim tonie, ale wkrótce Rubiales został oskarżony o napaść. Na nagraniu telefonem filmie z autokaru piłkarek Hermoso mówi, że pocałunek jej się nie podobał. „Ale co miałam zrobić?”

W następnych dniach wstawia się za nią coraz więcej autorytetów. Andrés Iniesta, jeden z największych gwiazdorów w historii hiszpańskiej piłki, publikuje post: „Nie możemy tolerować zachowania, które przysłoniło cieniem ten wspaniały triumf. [...] To koniec (Se acabó)”. „Se acabó” staje się hasłami. Kilkadziesiąt piłkarek, w tym wszystkie mistrzynie świata, rozpoczynają strajk. Od dekady mówiły o nieprawidłowościach w federacji, zgłaszały przypadki, kiedy były źle traktowane. Nie będą grać, dopóki Rubiales nie zostanie usunięty, a władze piłkarskie nie zainicjują systemowych zmian, które dadzą kobietom większy wpływ na dyscyplinę.

go najbliżsi współpracownicy i trener Vilda. Pierwszą w historii trenerką kadry zostaje Montserrat Tomé. Z nazwy drużyny znikła słowo „kobiet”. Odtąd obie kadry – męska i damska – nazywają się tak samo: reprezentacja narodowa. Zaczyna się reforma w federacji. Przed meczem ze Szwecją zawodniczki obu drużyn prezentują wspólnie baner z napisem „Se acabó”. Nie zwyciężyłyśmy dla siebie, tylko dla świata – piszą hiszpańskie piłkarki.

DOWCIPY O GWAŁCIE BILLA COSBY'EGO

Rubiales, jego zwolennicy i matka prowadząca strajk głodowy nie zauważyli zmian, jakie się dokonują. Unieważniają one starą kulturę. Nowa dopiero się kształtuje. Jej znakiem jest choćby finałowy mecz, po którym wybuchła awantura. Jeszcze całkiem niedawno piłka nożna kobiet prawie nikogo

OSTATNI POCAŁUNEK

Wygłąda zachwycająco: wysoki, długie włosy, cygańska uroda zmieszana z urokiem George'a Besta, czarne skórzane spodnie, gotycka biżuteria. Jego umysł strzela szybciej niż karabin maszynowy, każdą wypowiedź nabija kwiecistymi słowami, szczegółowymi wyjaśnieniami, odniesieniami do tego, co przeczytał. Tak dziennikarka „Guardiana” opisała kilka lat temu Russella Branda.

„Uwielbiam się pieprzyć” – powiedział jej. „Mam w domu jacuzzi z konkretnych powodów i żaden z nich nie jest duchowy”. W wywiadzie streścił swą znaną od dawna biografię: rozwód rodziców, gdy był niemowlęciem, choroby nowotworowe matki, władczy ojczym, który – gdy Russell miał 16 lat – fundował mu prostytutkę. Wtedy albo wcześniej zaczęły się problemy Branda z heroiną, amfetaminą, seksoholizmem, bulimią, samookaleczeniami, ADHD i chorobą afektywną dwubiegunową.

Pierwszy raz w teatrze szkolnym Brand zagrał w wieku 15 lat. Później zaczął pisać monolog. Na początku XXI wieku zrobił ekspresową karierę komika stand-upami o tytułach, takich jak „Zerotyzowany”, „Teraz lepiej”, „Wstyd”, czy „Kompleks Mesjasza”. Wkrótce był już jednym z najpopularniejszych i najbardziej aktywnych brytyjskich celebrytów – aktorem, pisarzem, youtuberem, prezenterem, filantropem, politycznym aktywistą. Wyskakiwał z każdej łódówki.

W połowie września „Sunday Times” i program telewizyjny „Dispatches” opublikowały wyniki dziennikarskiego śledztwa prowadzonego od 2019 roku. Brand został oskarżony o gwałt i napaści seksualne przez cztery anonimowe kobiety.

żające Branda nie wykazały się odwagą, bo zamiast na policję poszły do mediów i ukryły swoją tożsamość. Nie informując wcześniej o napaści Branda, naraziły inne kobiety na atak z jego strony. Morgan ripostuje, że według najnowszych danych mniej niż 1 proc. gwałtów zgłoszonych na policję kończy się wyrokiem skazującym. Druga komentatorka, dziennikarka polityczna Ava Santina, twierdzi, że nie ma żadnych powodów, aby nie wierzyć oskarżającym Branda kobietom. W odpowiedzi Morgan określa zasadniczy problem wpisany w rewolucyjne zmiany, jakie na naszych oczach zachodzą w kulturze: jeśli automatycznie wierzymy każdej kobiecie, która oskarża mężczyznę, unieważniamy państwo prawa.

POCAŁUNEK RUBIALESA

Rewolucja, której wiatr wymiata Russella Branda z publicznej przestrzeni, rozgrywa się w erze postprawdy. Zabarykadowani w naszych bankach wierzymy tylko w to, w co chcemy uwierzyć. Jeśli coś zagraża naszemu niewzruszonemu pogładowi na świat, uznajemy to za kłamstwo. obrońcy Branda, wśród nich wiele kobiet, przedstawiają go jako ofiarę. Od lat w swoich wystąpieniach walczy z establishmentem – polityczną korupcją, propagandą, militarystką itd. Dla władzy stał się zbyt niebezpieczny. Z pomocą zmanipulowanych kobiet przeprowadzono atak, żeby go ukatrupić. W mediach społecznościowych pojawiają się odniesienia do Donalda Trumpa. Oskarżenia wobec niego, jakie zgłasza kilkanaście kobiet, też są częścią kampanii wrogów prawdy, którą Trump jakoby objawia.

Równolegle w Hiszpanii najważniejszym tematem publicznej debaty od tygodni jest afera w tamtejszej piłce nożnej. W czasie fety po wygranej przez hiszpańskie piłkarki finale mistrzostw świata prezes federacji Luis Rubiales pocałował w usta Jenni Hermoso, jedną z gwiazd kadry. Widzia-



Rubiales początkowo nazywa oskarżycielki i oskarżycieli idiotami. Mówi o fałszywym feminizmie i publicznym linczu. Na wystąpieniu w siedzibie federacji – wysoce, mocny, z ogoloną głową i płonącymi od gniewu oczami – grzmi, że nie ustąpi. Powtarza tę deklarację pięć razy, za każdym razem głośniejsze. „Wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że będę walczył do upadłego” – kończy. Większość działaczy na sali wstaje do owacji, w tym trener kobiecej reprezentacji Jorge Vilda. Działaczki siedzą niewzruszone.

Rubiales i Vilda twierdzą, że padli ofiarą walki o władzę w federacji. Wykorzystano pocałunek, który był efektem wspólnej, niekontrolowanej euforii po wygranej. Matka Rubialesa Ángeles Béjar rozpoczyna strajk głodowy w kościele. Nie weźmie nic do ust, dopóki jej syn nie zostanie oczyszczony z kłamliwych zarzutów. „Nigdy nikomu nie uczynił krzywdy” – zapewnia. „Nie jest do tego zdolny”. Tymczasem prokuratura rozpoczyna śledztwo mające wyjaśnić, czy zachowanie prezesa stanowiło napaść.

Strajk piłkarek trwa, a zbliża się termin meczu ze Szwecją. Interweniuje rząd: Rubiales zostaje odwołany, podobnie jak je-

nie obchodziła. Budziła śmiech i politowanie. Nie było widzów na stadionach, transmisji w telewizorach. Nie było ogólnonarodowej euforii po zwycięstwach. Teraz na stadionie w Sydney finał obejrzało 75 tys. widzów. Na całym świecie w telewizorach – kilkaset milionów. Cały turniej przyciągnął na areny prawie dwa miliony kibiców i prawie dwa miliardy przed ekrany. Tak wygląda tworzący się na nowo świat. Jedną z jego cech jest też wyznaczanie nieznanych wcześniej granic. Coś, co przed chwilą było normalne – pocałunek bez pytania – teraz jest zakazane.

Dopiero oskarżenia wobec Russella Branda zawarte w śledztwie „Sunday Timesa” i „Dispatches” rzuciły światło na inne jego zachowania, dobrze znane i nagrane: pocałunki, obłapywania, seksistowskie uwagi. Teraz część komentatorek wskazuje, że udowodnienie mu gwałtu w sądzie, owszem, jest ważne, ale nie zmienia jego oceny. Widać gołym okiem – podobnie jak w przypadku Rubialesa – że jego czyny wykraczają daleko poza nowe granice tego, co wolno, a czego nie wolno. Ergo: Brand zasługuje na banicję z życia publicznego.

Głos w dyskusji zabrała komiczka Kate Smurthwaite. Sprawa Branda to czubek góry lodowej, twierdzi. Przekraczanie granic przez mężczyzn, często z użyciem przemocy fizycznej, to według niej norma w środowisku satyrycznym. „Mogłabym wymienić dwadzieścia osób, które w przeszłości niewłaściwe się wobec mnie zachowały” – pisze. Zwraca uwagę, że zjawisko jest częścią starej kultury – żarty z kobiet były przez dekady żelaznym punktem w programach komików. Z przestrzeni dowcipu nie był wyłączony nawet gwałt. Kilka lat temu wypłynął klip, na którym amerykański podcaster celebryta Joe Rogan klaszcze w dłonie i omal nie spada z krzesła ze śmiechu, wysłuchując opowieści rozmówcy, jak wykorzystywał on seksualnie młode adeptki w klubie komediowym. Dave Chappelle, uważany za jednego z najwybitniejszych komików swojego pokolenia, na tournée w ramach wielomilionowego kontraktu z Netflixem opowiadał o inspiracji, jaką w młodości był dla niego Bill Cosby.

TYLKO GO PONIOSŁO

Stara kultura kruszeje, ale jej zwolennicy nie ustępują. W Polsce Onet opisał sprawę Michała Adamczyka, gwiazdora „Wiadomości”, szefa Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Portal dokopał się do akt procesu sądowego sprzed 20 lat. Znajdują się w nich zeznania kobiety opisujące, jak Adamczyk ją napadł, gdy oświadczyła, że z nim zrywa. Usiadł na jej klatce piersiowej, pluł w twarz, wyrывał włosy, wykręcał palce dłoni, bił po twarzy. Sąd warunkowo umorzył sprawę, wyznaczając Adamczykowi dwuletni okres próby i nakazując wpłatę na cel charytatywny. W wyroku napisano, że „sprawstwo i вина oskarżonego nie budzą wątpliwości i zostały potwierdzone dowodami zebranymi w sprawie”.

Adamczyk zniknął z anteny i nadal przebywa na urlopie. Nie wiadomo, jakie kroki planuje wobec niego szefostwo TVP. W obronę wzięli go za to publicyści innych mediów. Mariusz Cieślík z „Rzeczpospolitej” w tekście pod tytułem „Dziennikarstwo po-

wity chłopak o miękkich oczach. Widzowie dowiadują się w końcu, że to rzeczywiście on pobił dziewczynę. W kulminacyjnej scenie ona przychodzi do niego. Mówi, że nie doniosła na niego policji, bo traktowała pobicie jako karę za to, że go zdradziła. Wybaczą sobie nawzajem. Dobry gość, tylko go trochę poniosło. Widz zrozumie, że „zawiedzione uczucie doprowadziło do zachowań niewłaściwych”. Policja nigdy nie ustali, kto naprawdę dokonał napaści. W finale skrzywdzona i jej napastnik uczestniczą we mszy, wysłuchując opowieści o miłosierdziu.

POSĄG Z ROZWARTYMI NOGAMI

Kobiety zajmujące się pomocą ofiarom przemocy wymieniają powody, dla których tak często pozostaje ona ukryta. Jednym z nich jest mechanizm wyparcia. Ofiara wmawia sobie, że przemoc była tylko wypadkiem i już się nie powtórzy. Często czuje się związana emocjonalnie z napastnikiem i chce go chronić. Wierzy, że jest dobry. Innym powodem jest wstyd. Ofiara nie chce wystawiać na widok publiczny krzywdy, która wiąże się z najbardziej intymną sferą jej życia. Badania pokazują, że kobieta, jeśli zdecyduje się na ujawnienie przemocy, statystycznie opowiada o niej siedem razy: osobie w centrum pomocy, policji, prokuraturze, w sądzie, w mediach itd.

Jeśli automatycznie wierzymy każdej kobiecie, która oskarża mężczyznę, unieważniamy państwo prawa

Oskarżenia, a później wyroki, jakie ciążyły na Cosbym za liczne przestępstwa seksualne, Chappelle umieszczał w kontekście wspaniałych rzeczy, jakie Cosby dokonał dla mniejszości Afroamerykanów. Wywód punktował refrenem: „He rapes, but he saves” – gwałci, ale niesie zbawienie. Rozbawiał nim wypełnione po brzegi sale, podkreślając niezmiennie, że potępia przemoc i jest feministą. Jeden z recenzentów nazwał cytat „najlepszym dowcipem o gwałcie w historii”. Pisano, że w przestrzeni satyry Chappelle odważnie pokazuje złożoność postaci Cosby’ego. Publicystka „New York Timesa” Lux Alptraum skomentowała: „Dla nas, które zostałyśmy zgwałcone, pogląd, że gwałciciel jest również zdolny do czynienia dobra, nie jest nowy. Od zawsze nam się o tym przypomina, zmuszając do refleksji, czy czasami jego dobre uczynki nie przysyłają tych złych. Na co dzień obserwujemy, jak ci, którzy nas skrzywdzili, dostają nagrody, zostają nawet prezydentami. Zwrócenie uwagi na humanizm seryjnego gwałciciela nie jest ani odkrywcze, ani prowokujące, ani głębokie. A na pewno nie feministyczne”.

niżej pasa – prywatne życie Michała Adamczyka” porównuje artykuł o Adamczyku do doniesień na temat rozstania z żoną senatora Marcina Bosackiego. Obie sprawy to plotkarstwo i grzebanie w czymś życiu prywatnym. Fizyczna napaść zostaje zrównana z rozwodem. Cieślík ubolewa nie nad czynem Adamczyka, lecz nad tabloidyzacją Onetu. Według niego miliony widzów nie mają prawa dowiedzieć się, że dziennikarz, który codziennie tłumaczy im świat, znęcał się nad kobietą. „Chyba każdy zdaje sobie sprawę, że zawiedzione uczucie prowadzi często do zachowań niewłaściwych. Myślę, że obie strony awantury sprzed lat chciałyby o niej zapomnieć” – pisze.

Stara kultura obsta je przy swoim: przemoc między partnerami to ich prywatna sprawa. Każdy nieraz traci nad sobą panowanie. Nie należy o tym głośno mówić.

Podobną narrację forsuje w jednym z odcinków oglądany przez miliony serial „Ojciec Mateusz”. Kobieta zostaje pobita i z poważnymi obrażeniami trafia do szpitala. Książd pomaga policji w śledztwie. Trop prowadzi do byłego partnera poszkodowanej. Ten zostaje pokazany jako praco-

Kolejną przyczyną milczenia jest strach: co, jeśli kogoś powiem, on się dowie i mnie ukarze?

Ionela Horga z UNFPA, oenzetowskiej agencji zajmującej się prawami kobiet, prowadzi najstarsze w Rumunii centrum pomocy ofiarom przemocy domowej. Na pierwsze szkolenie dla policji, jakie dwadzieścia lat temu zorganizowała z koleżanką, przyszło 67 funkcjonariuszy, sami mężczyźni. Trudno było doprowadzić zajęcia do końca, bo co rusz przerywał je śmiech policjantów. „Przecież sama się prosiła” – rechotali, wysłuchując opowieści o przemocy.

– Dziś jest dużo lepiej – mówi Horga.

Jednak strach pozostaje, a jednym z powodów jest obawa, że policja nie zapewni ofierze poufności i ochrony, narażając ją na zemstę ze strony oprawcy. Horga opowiada o kobiecie, która przychodziła pod centrum pięć razy, stała długo pod bramą, chodziła wokół ogrodzenia i za każdym razem rezygnowała z wejścia do środka. Zbierała się na odwagę, aż w końcu weszła i opowiedziała o przemocy, jakiej doznała ze strony męża.

Jak głębokie mogą być trauma, strach i wstyd, pokazują przykłady kobiet zgwał-

conych przez żołnierzy w czasie wojny w Bośni. Pierwsze opowieści ofiar pojawiły się dopiero 25 lat po konflikcie. Trybunał w tej sprawie powstał 27 lat po wojnie. Jedna z kobiet wyznała, że odważyła się opowiedzieć swoją historię dopiero wtedy, gdy umarł jej mąż. Wcześniej hamował ją wstyd.

Po drugiej stronie globu, w całkiem innej kulturze strach i wstyd przez dekady skazywały na milczenie dziesiątki kobiet wykorzystanych przez producenta Harveya Weinsteina. Ich opowieści mają wiele wspólnych motywów, a jednym z nich jest znany z psychologii mechanizm paraliżu. Krzywdzona kobieta się nie broni, bo jedną z reakcji mózgu w chwili przerażenia może być wyłączenie ruchu. Ofiara się poddaje, a często – co przewija się przez liczne relacje – pozornie współpracuje z napastnikiem, żeby jak najszybciej opuścić sytuację zagrożenia. Rose McGowan, aktorka napadnięta przez Weinsteina, napisała: „Migały lampki alarmowe w mojej głowie: »Obudź się, Rose, obudź się, Rose«. Ale byłam sparaliżowana jak posąg z rozwartymi nogami”. McGowan, jako jedna z pierwszych ofiar Weinsteina, odważyła się opowiedzieć o gwałcie po dwudziestu latach.

GWALCICIEL ŚPI SPOKOJNIE

Świat pozostaje areną przemocy wobec kobiet. Każdego roku 12 milionów nieletnich dziewcząt jest zmuszanych do małżeństwa. 11 milionów kobiet i dziewczynek pada ofiarami handlu ludźmi. W skali całego globu co trzecia kobieta przynajmniej raz w życiu doznaje przemocy ze strony partnera. Najbliższa rodzina jest przestrzenią, gdzie do przemocy dochodzi najczęściej – zarówno w krajach wysoko rozwiniętych, jak i w tych najbiedniejszych; najbardziej złaicyzowanych i najbardziej religijnych. Według danych ONZ problem w podobnym stopniu dotyczy Szwecji i Iranu. Najbardziej zagrożoną grupą są dziewczynki. W przypadku przemocy na tle seksualnym doznanej w młodym wieku trauma często okazuje się nie do pokonania przez całe życie.

W centrum zjawiska znajduje się kwestia władzy. Kto ma dostęp do dóbr, do przywilejów, do posad, kto uzyskuje szanse realizowania aspiracji, kto kontroluje proces podejmowania decyzji? Czy istnieje w tej kwestii równowaga między stronami? Ile władzy ma młoda aktorka Rose McGowan, a ile Harvey Weinstein, najpotężniejszy producent w Hollywood, który wynajmuje prywatną agencję wywiadowczą, aby ją śledziła i nękała. Ile władzy ma Russell Brand, bogacz i celebryta, a ile anonimowa dziewczyna, która twierdzi, że skrzywdził ją, gdy była 16-latką. Ile władzy ma mąż, który gwałci, a ile gwałcona żona w społeczności, która uznaje, że gwałt w małżeństwie nie istnieje.

Rewolucja, jaka się dokonuje, polega na zmianie paradygmatu władzy. Dlatego upada Rubiales, choć w przypływie euforii „tylko” pocałował zawodniczkę. Upada Brand, choć nic mu nie udowodniono, a został jedynie anonimowo oskarżony. Dlatego nawet rządzona przez PiS TVP wysyła Adamczyka na urlop.

Niepokój wyrażony przez Piersa Morgana, że uchylene zasady domniemanie niewinności zagraża podstawom państwa prawa, jest zasadny. Nowa kultura musi wykształcić mechanizmy prawne chroniące niesłusznie oskarżonych. Na razie jednak, choć zachodzą zmiany, to gwałciciele pozostają grupą uprzywilejowaną. Gwałt najczęściej odbywa się bez świadków, więc udowodnienie winy jest trudne, a rozstrzygnięcie następuje na podstawie zeznań domniemanego ofiary i zeznania domniemanego napastnika. Jak zauważył sam Morgan, na Wyspach mniej niż 1 proc. gwałtów zgłoszonych na policję kończy się wyrokiem skazującym. Niemal wszystkie zgwałcone kobiety kłamią? W Polsce dane mówią o umarzeniu ok. 70 proc. spraw o gwałt. Statystycznie rzecz ujmując – niemal każdy gwałciciel może spać spokojnie. Co na to państwo prawa? ●

SPOKOJNIE, TO TYLKO SONDAŻE

PiS wysoko, PO spada, Lewica i Hołownia nie wchodzą do Sejmu? Opanujcie emocje. Wyjaśniamy, jak czytać przedwyborcze notowania i które są wiarygodne.

Rafał Zakrzewski

To będzie tekst na uspokojenie. Bo na tej wyborczej końcówce nasze – elektoratu opozycji demokratycznej – rozedrganie, pogubienie i nerwowość osiągają niebywały poziom. Czuję to wokół, słyszę nerwowo zadawane pytania: Kto wygra? Czy Hołownia wejdzie? A co z Lewicą? Dlaczego PiS-owi rośnie?

Na końcu pada niecierpliwe: „No powiedz wreszcie coś optymistycznego”. Ten stan ducha nie jest i mnie obcy, bo stawka tych wyborów przerasta naszą wyobraźnię.

CYFRY NIE SĄ NEUTRALNE

Pisowska polityczno-medialna mlócka wprawia nas oczywiście w dygot. Ale na to nie mamy wpływu (oczywiście można tego nie słuchać, nie oglądać – choć do końca nie da się od tego odciąć). Ale na obywatelskie nastroje bardzo mocno oddziałują też wyniki sondaży lub tzw. sondaży. To możemy kontrolować. Dlatego proponuję lekkie studzenie emocji przy oglądaniu słupków poparcia dla partii. Musimy pamiętać, że sondaże wyborcze są łakomym kąskiem dla polityków, dziennikarzy, komentatorów. Są atrakcją, bo panuje przekonanie, że niezależnie od ich jakości posiadają nieprawdopodobną moc perswazyjną. Wydają się silnym argumentem w politycznej walce z racji tego, że ubrane są w kostium cyfr i naukowych analiz. A to robi wrażenie na nas – obywatelach.

Politycy więc ciągną wyniki sondaży w swoją stronę, często manipulują nimi, powołują się na tajemnicze, wewnętrzne (robione dla partii) sondaże, które wyciągają jak króliki z kapelusza, aby „udowodnić”, że ich notowania są lepsze niż te, które widzimy w publicznie dostępnych raportach najlepszych ośrodków badawczych. Do tego nastąpił wysyp rozmaitych firm, które jak oszalałe – zwłaszcza w tak politycznie gorącym momencie – wrzucają do mediów swoje często niezbyt profesjonalnie robione sondaże. A im bardziej hałaśliwe i nieoczekiwane wyniki oferują, tym łatwiej się z nimi przebić.

Pasem transmisyjnym, którym te sensacje wjeżdżają nam do głów, są media, chętnie – na wypródkę – pokazujące te kolorowe słupki. Byle być pierwszym. Niestety większość dziennikarzy i komentatorów słabo dba o staranność tych prezentacji. Często po prostu nie potrafią ocenić jakości tych raportów albo wręcz nie umieją ich precyzyjnie odczytać. Nawet najbardziej przenikliwe analizy są zabijane sensacyjnymi tytułami lub krzykliwymi telewizyjnymi paskami. Błędnie rozdyma się minimalne – często mniejsze od błędu statystycznego (w badaniach przy próbie 1000 osób to około 3 proc.) – sondażowe różnice w notowaniach partyjnych. Bezsensownie podaje się wyniki tych notowań bez zaokrąglenia – z dwoma miejscami po przecinku, choć ten błąd jest taki jak wyżej. Czy to ma nas przekonać, jak precyzyjne narzędzie zostało użyte? Czy to ma wzmacniać prawdziwość tego przekazu, je-

go „naukowość”? A może wręcz sugerować, że to prawie wynik wyborczy.

To zdarza się zbyt często. Winę ponoszą: nierzetelne firmy upychające swoje niskiej jakości produkty; politycy, którzy chętnie nimi żonglują; i media, które je bezkrytycznie rozpowszechniają.

Jest oczywiście jeszcze kategoria mediów rządowych/partyjnych, które umyślnie manipulują sondażami (np. propisowski Tygodnik „Sieci” ma swoją ulubioną firmę Social Changes). Od tego wszystkiego odbiorca-obywatel dostaje klekotu w głowie. A nie jest to obojętne dla jego późniejszej decyzji przy urnie.

CZYTAJ ZE ZROZUMIENIEM I DON'T PANIC

Jak od tego wszystkiego nie zwariować i nie wpadać na zmianę – co kolejny publikowany sondaż – w stan euforii lub depresji? Jest kilka zdroworoządkowych zasad.

Po pierwsze: odsiewać ziarno od plew. Śledzić głównie te firmy badawcze, które od lat specjalizują się w sondażach politycznych i dobrowolnie wystąpiły o certyfikat do Organizacji Firm Badania Opinii i Rynku (OFBOR). Rok temu Agnieszka Kublik tak pisała o tym problemie w „Wyborczej”: „Rzetelne sondaże. Ten problem spędza sen z powiek wielu socjologom. Profesor Radosław Markowski z Uniwersytetu SWPS od lat apeluje do środowisk badaczy, by zapanowali nad tym rynkiem. Wiele pracowników badawczych nie oznacza więcej wiedzy o tym, jacy jesteśmy. Przeciwnie. Im więcej sondaży, tym gorzej dla ich wiarygodności. Bo wiele nie jest wiarygodnych. I wcale im na tym nie zależy. Póki są na takie usługi klienci, póty jest kasa”.

Na stronach OFBOR-u można sprawdzić, kto poddał się tej procedurze. Na kilkaset firm badawczych (wśród nich są te, które robią sondaże wyborcze) tylko 31 agencji może się poszczycić certyfikatem PKJPA (program kontroli jakości pracy ankietatorów). Audytory PKJPA co roku kontrolują przestrzeganie zasad jakościowych przez te firmy.

Kto ma ten certyfikat? Między innymi: AC Nielsen Polska, ARC Rynek i Opinia, Ogólnopolski Panel Badawczy „Ariadna”, Centrum Badań Marketingowych „Indicator”, CBOS, IPSOS Polska, Kantar Polska, Opinia24, PBS, SW Research. A na przykład wspomniana Social Changes i inne często cytowane przez polityków Zjednoczonej Prawicy firmy, takie jak Estymator, IBRIŚ czy United Surveys – nie mają.

A więc powtórzmy: śledźmy raporty tych firm, które od dawna badają rynek polityczny i mają certyfikat jakości. Są profesjonalne.

Po drugie: czytajmy ze zrozumieniem. Nie porównujmy badań różnych pracowników. Zdarza się, że ich wyniki się rozjeżdżają. Często to efekt innych metod badawczych czy trafności doboru próby respondentów, ale nie zawsze da się to wyjaśnić. A te sondażowe sprzeczności niepotrzebnie nas denerwują. Więc to sobie odpuśćmy.

Za to śledźmy trendy – nie pojedyncze badania – w ramach jednej firmy. Pamiętajmy, że pojedynczy sondaż jest jak filmowa stop-klatka. Zapisuje stan społecznych nastrojów w danym momencie. Dlatego warto oglądać badania z kilku miesięcy, wtedy z tych klatek powstaje film. A on może mieć zgoła inną wymowę niż jednorazowy filmowy kłaps.

Prof. Markowski doradza – z czym w pełni się zgadzam – żeby czytać czy słuchać tylko takich dziennikarzy czy komentatorów,

którzy potrafią interpretować wyniki badań opinii publicznej („Newsweek”, 18-24 września, tam też interesujący tekst Renaty Grochal).

Po trzecie: sondaż wyborczy to jeszcze nie wybory. Widzę jakże często rozumnych ludzi, którzy po obejrzeniu kolejnej porcji słupków na przemian wpadają w euforię lub przygnębienie, jak po wygranych lub przegranych wyborach.

Proponuję emocjonalną powściągliwość. Niech nie wyprowadzają nas z równowagi niewielkie jednorazowe zmiany poparcia – do 3 punktów procentowych – dla naszych ulubieńców czy przeciwników. To wszystko może się zmienić i dopiero akt wyborczy wart jest takich emocji.

A JAK ANKIETER DONIESIE WŁADZY?

Przypomnijmy na koniec rzecz oczywistą: że wpływ na wyniki badań ma klimat polityczny i społeczny w danym państwie. W skrajnym przypadku, jak w Rosji Putina, trudno jest wierzyć w sondaże polityczne, gdyż część badanych ze strachu ukrywa prawdziwe poglądy. W pisowskiej Polsce zapewne takie zjawisko też istnieje.

Lęk przed odsłonięciem swoich preferencji politycznych pozostawia ślad na wynikach dobrych i złych ośrodków badawczych. W Polsce, w której jest niski stopień zaufania społecznego, wielu ludzi nie wierzy w anonimowość badań socjologicznych – bo przecież ankietę do mnie przyszedł lub zadzwonił, znał mój adres, telefon. A więc moja krytyczna opinia o władzy może do niej trafić i mi zaszkodzić.

Choć nie lubię socjologii taksówkowej, nie mogę się oprzeć i przytoczę to, co usłyszałem od psioczącego na PiS taksówkarza. Zadzwonił do niego ankietę i zapytał, na kogo zagłosuje. Z niecierpliwością podsuflowałem: „No nie na PiS, prawda?”. On spojrział na mnie z wyższością: „Chyba pan oszalał, powiedziałem, że na PiS, bo przecież jak mnie namierzą, to mi zabiorą licencję”.

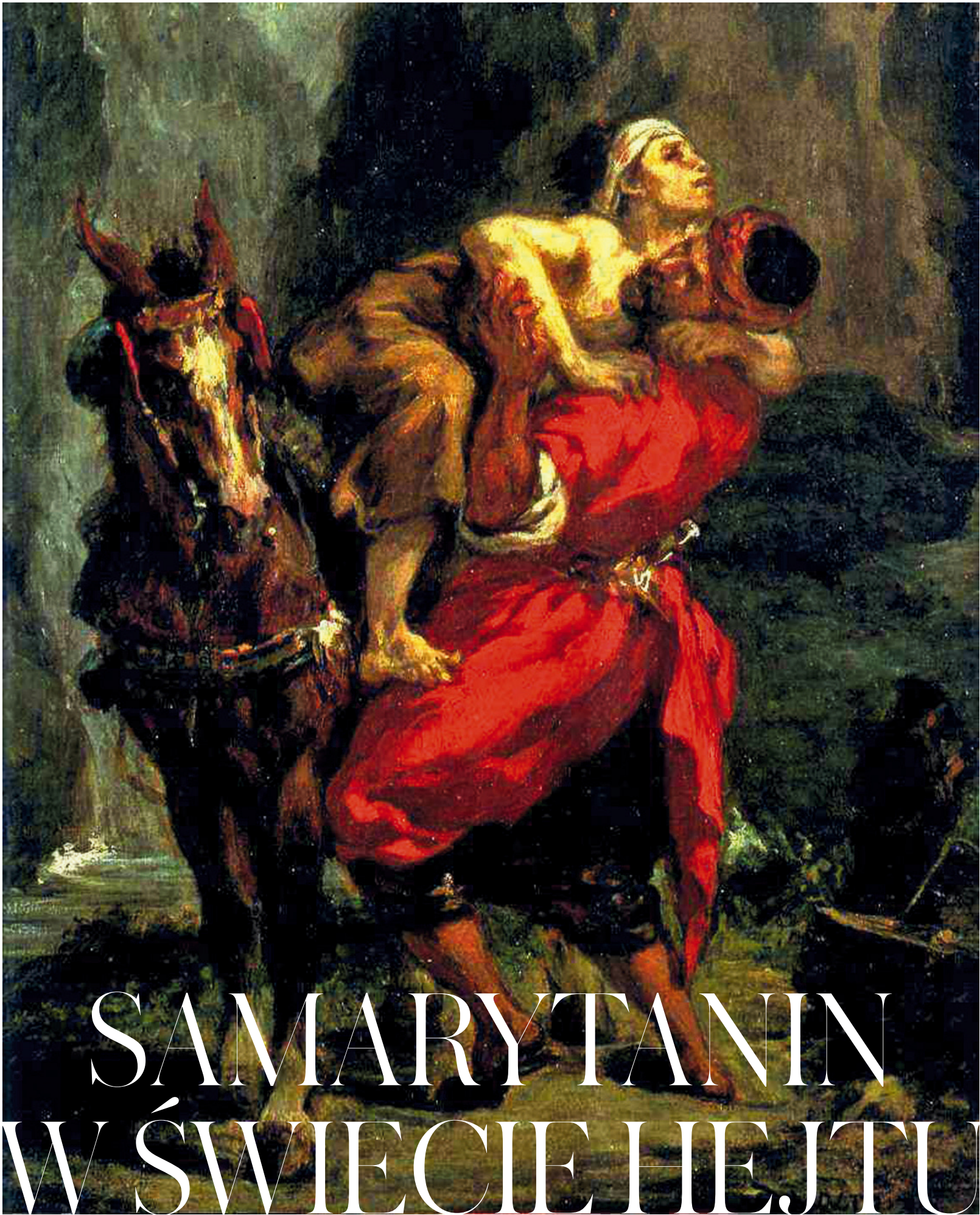
A morał z tego wszystkiego płynie taki, że sondaże są potrzebne, bo są lustrem naszych nastrojów, choć czasem nieco wykrzywionym. Ale obserwujmy je rozumnie, bez zbędnych emocji, które raczej wkładamy w aktywność obywatelską w kampanii wyborczej. I pamiętajmy – to nie od tych kolorowych słupków zależy, kto te wybory wygra, tylko od nas. ●

OGŁOSZENIA

„Bezlitosne spojrzenie na firmę po erze Steve'a Jobsa. Zarówno wielbiciiele Apple, jak i sceptycy znajdą tu wiele do rozważenia”.
Publishers Weekly

REKLAMA 34277161

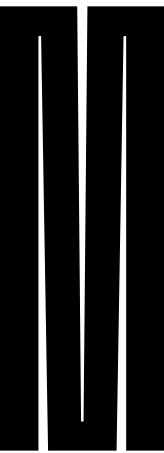
FOT. WIKIMEDIA COMMONS



SAMARYTANIN W ŚWIECIE HEJTU

**Boty zwykle niosą mowę nienawiści,
a nasz bot – nazwaliśmy go James – grzecznie rozmawia z hejterami**

Michał Bilewicz



owa nienawiści zalewa nas codziennie. Nie tylko w Polsce. Poprzedni prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump mówił o „inwazji nielegalów”, o tym, że „wstyd, że do Europy wpuszczono imigrantów naruszających społeczną tkankę tego kontynentu”. Wkrótce dokładnie te same hasła usłyszeliśmy z ust zamachowca, który zamordował 23 osoby w sklepie Walmart

w El Paso w Teksasie. Mówił dokładnie tym samym językiem: o „inwazji imigrantów”, o tym, że Europa już dawno się skończyła. Podobne wpisy zostawił po sobie terrorysta, który zamordował 11 wiernych w synagodze w Pittsburghu. Twierdził, że żydowska organizacja HIAS wspiera uchodźców, którzy za chwilę zastąpią białych w Stanach. Że naruszają oni tkankę społeczną Ameryki.

Język ten słyszeliśmy też wielokrotnie w Polsce. „90 tysięcy Arabów zaleje Polskę”, krzyczał „Super Express”. „To najeżdźcy, nie uchodźcy!”, wołał z okładki „Do Rzeczy” jeden z prawicowych publicystów, „Nadchodzą! Niemcy forsują samobójczy plan – Tusk i Kopacz ulegają”, przestrzegał magazyn „wSieci”, pokazując na okład-

ce trzech uzbrojonych muzułmanów ściskających polskiego orła. Przywódca partii, która w 2015 roku zwyciężyła w wyborach parlamentarnych, sugerował, że muzułmańscy imigranci są zagrożeniem biologicznym dla Polaków: „Różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, a mogą tutaj być groźne”. Dokładnie te same metafory, które propaganda nazistowska wykorzystywała na antysemitkich plakatach wywieszanych na ulicach polskich miast. W końcu najbardziej chyba rozpowszechnione nienawistne przedstawienia muzułmańskich imigrantów jako zagrażających kobietom. Okładka magazynu „wSieci” z wybitym na środku napisem „Islamski gwałt na Europie” przedstawiała na-

gą blondynkę przepasaną gwieździstą flagą Unii Europejskiej, do której dobierały się owłosione łapy śniadych mężczyzn. „Mówiono, że multi-kulti wzbogaca. Przekonały się o tym panie z Kolonii w noc sylwestrową, jak zostały wzbogacone przez przybyszów z północnej Afryki”, ogłasza minister spraw wewnętrznych w 2016 roku. W 2021 roku w trakcie wspólnej konferencji prasowej ministra obrony i ministra spraw wewnętrznych pokazywane są obrazy mężczyzny kopulującego z koniem i dziewczynki, rzekomo znalezione w telefonach imigrantów. W końcu w 2023 roku minister edukacji krzyczy: „Drogie lewaczki, drogie kobiety lewicy, drogie liberalki, powiedzcie, dlaczego chcecie nielegalnej imigracji, dlaczego chcecie, by Polki by-

ły gwałcone tak jak kobiety francuskie, belgijskie, niemieckie, dziesięcio-, piętnastokrotnie częściej?!”. I znów są to te same obrazy, które znajdziemy na kartach niemieckiego „Stürmera”, przedstawiającego Żydów jako gwałcicieli czyhających na niemieckie kobiety.

o tylko kilka przykładów mowy nienawiści skierowanej przeciwko jednej konkretnej grupie – muzułmańskim imigrantom. A przecież w ostatnich latach podobne kampanie skierowane były przeciw Żydom (w 2018, w czasie debaty wokół nowelizacji ustawy o IPN; w 2019, gdy dyskutowano o ustawie Kongresu Stanów Zjednoczonych JUST Act; w czasie kampanii prezydenckiej w 2020 roku), przeciw osobom nieheteronormatywnym (szczególnie w 2019, gdy kolejne samorządy ogłaszały się „strefami wolnymi od LGBT”), przeciw osobom transpłciowym, Niemcom, kobietom i wielu innym grupom. Mowa nienawiści, czyli zgodnie z definicją Rady Europy „wszelkie formy wypowiedzi, które szerzą, podżegają, promują lub usprawiedliwiają nienawiść rasową, ksenofobię, antysemityzm lub inne formy nienawiści oparte na nietolerancji”, to prawdziwe koło zamachowe polskiej polityki. Pozwala przykrzyć kryzysy poparcia partii politycznych, odwrócić uwagę od palących problemów społecznych, w końcu – wygrać wybory.

Było to szczególnie widoczne w roku 2015, gdy wszystkie partie stosujące antyimigrancką mowę nienawiści odnotowały spektakularny sukces w wyborach. Prawo i Sprawiedliwość uzyskało ponad 37 proc. poparcia, zaś nowo powstała partia Kukiz'15 weszła do Sejmu z poparciem prawie 9 proc. wyborców jako trzecia siła polityczna. Na tydzień przed wyborami przeprowadziliśmy sondaż wśród młodych głosujących Polaków w wieku 18-30 lat. Chcieliśmy sprawdzić nie tylko, na kogo będą głosować, ale też – co ich motywuje do oddania głosu na daną partię. Po pierwsze, zauważyliśmy, że w odróżnieniu od wcześniejszych wyborów, gdy młodzież głosowała głównie na partie lewicowe i liberalne, w 2015 ich sympatie skierowały się ku prawicy. Dwie trzecie młodych wyborców chciało oddać głos na PiS, Kukiz'15 i partię KORWiN. Gdy badaliśmy, czym prawica zjednała sobie sympatię wyborców, stało się dla nas oczywiste, że to właśnie islamofobia i lęki antyuchodźcze zadecydowały o głosowaniu na te trzy partie. Młodzi wyborcy się przestraszyli. Wyobrazili sobie tabuny imigrantów najeżdżające ich kraj, gwałty, grabieże i mordy. Obrazy, którymi przesycone były media i internet, okazały się niezwykle perswazyjne.

Fala hejtu w czasie kampanii wyborczej w 2015 roku odmieniła Polskę. Choć jeszcze w maju 21 proc. Polaków ankietowanych przez CBOS twierdziło, że Polska nie powinna przyjmować uchodźców, w sierpniu było to już 38 proc. Polaków, we wrześniu 40 proc., a w październiku 43 proc. Najbardziej przerażających wyników dostarczyły badania prowadzone w naszym zespole przez Mikołaja Winiewskiego i współpracowników. Na jesieni 2015 roku dwie trzecie Polaków popierało oczywiste łamanie praw człowieka wobec uchodźców: domagali się całkowitego zamknięcia granic, natychmiastowej deportacji wszystkich osób, które przekroczą polską granicę, czy inwigilacji uchodźców. Tylko kilkanaście procent Polaków popierało wsparcie finansowe czy zaangażowanie państwa w ich integrację. Antyuchodźcza panika rozgorzała głównie w mediach, szczególnie tych internetowych. O ile w 2014 roku co piąty dorosły Polak deklarował, że widział kiedyś treści antymuzułmańskie w telewizji czy internecie, o tyle w 2016 już połowa Polaków mówiła, że zetknęła się z takimi treściami. Połowa młodzieży badanej w 2014 roku wskazywała, że widziała islamofobiczne treści w internecie – w 2016 roku 80 proc., czyli praktycznie wszyscy.

Szedł za tym również spadek wrażliwości na antyuchodźczy hejt. Przedstawiliśmy badanym kilka nienawistnych wypowiedzi zaczerpniętych z internetu (np. „muzułmanie to podle tchórze, mordują tylko kobiety, dzieci i niewinnych ludzi”). W 2014 zdecydowana większość Polaków uważała je za mocno obraźliwe i nieakceptowalne. W 2016 roku już tylko mniejsza część dorosłych dostrzegła w tym cokolwiek obraźliwego i ledwie jedna trzecia młodzieży. W wielu badaniach dostrzegliśmy, że im więcej antyuchodźczego hejtu ktoś widzi w internecie czy telewizji, tym większy lęk zaczyna odczuwać i tym bardziej domaga się od władz stanowczych rozwiązań, nawet za cenę łamania prawa międzynarodowego czy podstawowych praw człowieka.

Mowa nienawiści zalała polską politykę, rozpowszechniana była w sieci i w mediach. Zaczęliśmy dostrzegać w tym dynamikę typową dla epidemii. Ludzie stykający się z mową nienawiści przestawali być na nią wrażliwi. Gdy w eksperymentach sklanialiśmy badanych do długotrwałego czytania hejtu, zauważyliśmy ogromne zmiany w ich funkcjonowaniu. Przestawali reagować emocjonalnie na mowę nienawiści, zaczynali ją traktować jako zwykły sposób opisu problemów społecznych. To z kolei powodowało, że mowa nienawiści zmieniała ich postawy – ludzie zalani mową nienawiści przestają akceptować Żyda, Roma czy uchodźcę w swoim otoczeniu. Ten spadek wrażliwości dostrzegliśmy nawet na poziomie fizjologicznym. Gdy ludzie czytają nienawistne wypowiedzi, zwykle reagują na to deceleracją, czyli

ko zmienia nasz stosunek do konkretnej obrażanej grupy. Może ona również wyłączać naszą bardziej podstawową umiejętność empatyzowania. Uniemożliwia współczucie.

O tym, jak poważne są koszty tej epidemii, przekonują nas twarze pobitych osób o śniadej skórze; ofiar napaści na tle homofobicznym; przemarzniętych dzieci na granicy, które nie znalazły w Polsce azylu. Ale to są tylko pośrednie konsekwencje mowy nienawiści, gdy ludzie zalani płynącym z mediów hejtem sięgają po przemoc albo odmawiają pomocy. Mowa nienawiści zabija też jednak w sposób całkiem bezpośredni. Zuzia, Michał, Kacper, Wiktor, Miło, Dominik. To imiona młodych ludzi, którzy na co dzień musieli się stykać z homofobiczną mową nienawiści. Musieli mierzyć się w szkole, w pracy, w internecie i w codziennych rozmowach z językiem przepełnionym pogardą, który jego siewców wznosił na szczyty władzy. Kosztem życia tych młodych ludzi.

Do jednego z prowadzonych w naszym zespole badań zaprosiliśmy grupę osób nieheteronormatywnych – gejów, lesbijki, osoby biseksualne. Daliśmy im do przeczytania krytyczny artykuł dotyczący Parad Równości. Artykuł był w dwóch wersjach. Połowa badanych dostała artykuł zawierający sformułowania obraźliwe, wyraźnie homofobiczne – „dewianci seksualni”, „homoterror”, „zbrodnicza ideologia”, „tęczowa zaraza”. Druga połowa badanych czytała ten sam artykuł, ale bez homofobicznych wtrętów. Po jakimś czasie zmierzyszyliśmy ich nastrojów. U tych, którzy silnie utożsamiali się jako osoby homoseksu-

Gdy ludzie czytają nienawistne wypowiedzi, zwykle reagują na to zwolnieniem akcji serca. Nie reagują tak jednak ci, którzy wcześniej wielokrotnie stykają się z mową nienawiści

zwolnieniem akcji serca. Jest to typowa reakcja w sytuacji silnie negatywnych emocji. Nie reagują tak jednak ludzie, którzy wcześniej wielokrotnie stykali się z mową nienawiści. Na nich mowa nienawiści nie robi już żadnego wrażenia. Traktują taki język jako normę. W końcu sami zaczynają takiego języka używać. Efekty tego widziliśmy w naszych symulacjach – ludzie zarządzają się mową nienawiści. Po jakimś czasie uprzedzenia stają się powszechne, a mowa nienawiści jest sposobem ich przenoszenia między ludźmi.

Mowa nienawiści to w końcu przyczyna zubożnienia, stępienia moralnych odruchów. Neuropsychologowie wymieniają kilka ważnych ośrodków w mózgu odpowiedzialnych za reakcję empatyczną. Jednym z nich jest skrzyżowanie skroniowo-ciemiennowe, które pozwala nam przyjąć perspektywę innego człowieka, wyobrazić sobie jego odczucia, wczuć się w jego ból, gdy cierpi. W niedawnym badaniu analizowaliśmy aktywność tego obszaru wśród ludzi patrzących na cierpienie innego człowieka. Badani, którzy wcześniej musieli czytać przez dłuższy czas hejterskie komentarze w internecie, gdy tylko widzieli cierpiącego człowieka – przestawali reagować empatycznie. Nie dostrzegliśmy u nich typowej dla innych badanych aktywności skrzyżowania skroniowo-ciemiennowego. Sugeruje to, że mowa nienawiści nie tyl-

alne, już jednokrotne przeczytanie tekstu przepelnionego hejtem silnie podwyższyło poziom negatywnych emocji, poważnie pogorszyło nastrojów. Widzieliśmy to samo w dużym sondażu, który w 2017 roku przeprowadziliśmy na prawie 4 tysiącach polskich gejów i lesbijek. Im częściej spotykali się oni w otoczeniu z mową nienawiści, tym częściej pojawiały się u nich symptomy depresji, a nawet myśli samobójcze.

o napaści Rosji na Ukrainę w 2014 roku do Polski trafiło wielu uchodźców z tego państwa. Nasilenie działań wojennych po pełnoskalowej inwazji w 2022 roku doprowadziło do masowej migracji – dziś w Polsce ponad milion Ukraińców korzysta z czasowej ochrony, a liczbę Ukraińców żyjących w naszym kraju szacuje się na ponad 3 miliony osób. W przybliżeniu co dziesiąty mieszkaniec Polski jest Ukraińcem. Choć zdecydowana większość Polaków deklaruje pozytywny stosunek do uchodźców z Ukrainy, to w internecie i codziennych rozmowach Ukraińcy nieraz stykają się z mową nienawiści. Częste stykanie się z mową nienawiści wywołuje u nich coś, co psychologowie nazywają stresem akulturacyjnym. Stres akulturacyjny to poczucie, że nie pasuję do tego społeczeństwa, że sobie nie poradzę. Strach przed mówieniem w nowym języku, przed tym, że będę rozpoznany jako imi-

grant i gorzej potraktowany. Stres akulturacyjny u imigrantów to główna przyczyna depresji i innych chorób psychicznych.

Tak właśnie jest z Ukraińcami w Polsce. Gdy często stykają się z mową nienawiści, wzrasta u nich prawdopodobieństwo depresji. Częściej pojawia się też wtedy PTSD, czyli zespół stresu po traumie wojny, której doświadczyli w Ukrainie. Mowa nienawiści stanowi przypomnienie, że nigdzie nie będą mogli się poczuć bezpiecznie. Podobne efekty mowy nienawiści widzieliśmy też wśród tysięcy zagranicznych studentów Uniwersytetu Warszawskiego – jednej z najbardziej umiędzynarodowionych polskich uczelni. Studenci stykający się z mową nienawiści mieli gorszy nastrój i gorsze wskaźniki zdrowia psychicznego niż studenci, którzy w czasie pobytu w Polsce nie zetknęli się z takim językiem.

Mowa nienawiści zagraża nie tylko zdrowiu i samopoczuciu grup mniejszościowych czy imigranckich, lecz też samej ich obecności. Już od dawna pisze się w Polsce o homosłoikach, czyli osobach LGBT+ uciekających z mniejszych miast do Warszawy, Trójmiasta czy Wrocławia. Powodem tych migracji jest zwykle homofobiczna atmosfera w małych społecznościach, w których osoby nieheteronormatywne zmuszane są do ukrywania swojej tożsamości. W międzynarodowym badaniu społeczności żydowskich, które prowadziliśmy na zlecenie Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej, dostrzegliśmy, że mowa nienawiści to główna przyczyna migracji wśród Żydów, ważniejsza niż bezrobocie, korupcja, przestępczość i inne problemy, które zwykle traktowano jako istotne przyczyny migracji. Na co dzień słyszą: „straszenie się, panie, u nas rozpanoszyli” czy „szantażują cały świat tym swoim Holocaustem”. Zaczynają się wtedy zastanawiać, czy w tym miejscu ich dzieci i rodziny są bezpieczne. To powoduje aktywne przygotowania do migracji. W Polsce, której przyszłość gospodarcza i demograficzna tak fundamentalnie zależy od imigracji, mowa nienawiści może się okazać szczególnie niebezpieczna. Warto dodać, że liczna społeczność ukraińska, która pojawiła się w Polsce po 2022 roku, już dziś się znacząco zmniejszała. Mowa nienawiści prawdopodobnie była jednym z wypychających czynników (push factors), jak nazywają je badacze migracji.

Jak zatem przeciwdziałać epidemicznemu rozwojowi mowy nienawiści w czasach, gdy zarówno masowe media, jak i świat polityki karmią się szczuciem na obcych? Czy jest to w ogóle możliwe? Zaproszony przez Basila Kerskiego do wygłoszenia tego wykładu odświeżyłem sobie po latach esej księdza Tischnera „Etyka solidarności”. Esej szczególnie ważny, gdyż powstał w momencie społecznego przebudzenia, którego jeszcze pięć lat wcześniej nikt nie mógł się spodziewać.

Lata siedemdziesiąte, okres gierkowskiego boomu gospodarczego, to czas, gdy system komunistyczny zyskał w Polsce ogromną legitymizację społeczną. Polacy zakochani byli w autorytarnym przywódcy modernizatorze, który jeszcze kilka lat wcześniej, kiedy polskich Żydów zwalniano z pracy, przymusowo wcielał do wojska i wyrzucano z Polski pozbawionych obywatelstwa, pokrzykiwał, że „ślaska woda pogruchocze syjonistom kości”. Osiem lat później ten sam przywódca nazwał „warchołami” ludzi protestujących w Radomiu przeciw rosnącemu cennom, a hasło to pojawiło się na setkach transparentów przynoszonych na wiece poparcia dla władzy w całym kraju. Przywódca instruował swoich sekretarzy wojewódzkich, jak mówić o „warchołach”, jak uprawiać politykę mowy nienawiści: „Trzeba będzie powiedzieć, jak my ich nienawidzimy, jacy to są łajdacy. Uważam, że im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, tym lepiej dla sprawy. To musi być atmosfera pokazy-

wania na nich jak na czarne owce, jak na ludzi, którzy powinni się wstydzić, że w ogóle są Polakami, że w ogóle po świecie chodzą”. Na seanse nienawiści wobec protestujących w Radomiu przybywały dziesiątki tysięcy Polaków. Atmosfera jednomyślności społecznej ułatwiała przemoc. Zatrzymani byli bici przez policjantów w komendach i aresztach. Poniżonym i zaszczytnym uczestnikom protestów społecznych organizowano pokazowe procesy, na których pojawiała się publiczność przepelniona nienawiścią.

W czasie nagonki pojawili się jednak ludzie, którzy potrafili się jej przeciwstawić. Ich protest z początku nie miał charakteru politycznego. Po prostu przyjeżdżali na te procesy, by wspierać robotników. Studenci, młodzi naukowcy, aktorzy, prawnicy, weterynarzy drugiej wojny światowej. Byli z zupełnie innego świata niż robotnicy z Radomia, większość z nich nigdy wcześniej nawet w Radomiu nie była. Mimo to los zaszczytnych robotników ich poruszył. Zaczęli organizować pomoc materialną dla rodzin osadzonych, jeździli osławioną szosą E7, by uczestniczyć w procesach i wspierać oskarżonych. Nagłaśniali bezprawny charakter tych procesów. Tak zaczął się ruch, który cztery lata później, w Gdańsku, doprowadził do powstania „Solidarności”. Był to, jak trafnie przewidział to w swoich dziennikach Stefan Kisielewski, „pierwszy żałobny dzwon” ekipy Gierka. I początek końca poparcia społecznego dla komunistycznego aparatu władzy w Polsce.

Ruch, który doprowadził do upadku opresyjnego systemu w Polsce, nie był napędzany dążeniem do gospodarki wolnorynkowej. Nie był też motywowany antykomunizmem czy chęcią szybkiej zmiany systemu władzy. Katalizatorem upadku komunizmu okazał się odruch empatyczny. Stanięcie po stronie słabszego, poniżanego. Józef Tischner egzemplifikację etosu solidarności widzi w postaci miłosiernego Samarytanina spieszącego z pomocą napadniętemu obcemu człowiekowi.

„To proste: ktoś woła o ratunek. Ranny leży w przydrożnym rowie. Jego ból ma szczególny charakter: nie jest wynikiem choroby, nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, podeszłego wieku, lecz bólem z powodu drugiego człowieka. To człowiek człowiekowi zgotował taki los. Właśnie ten fakt jest ważny, to właśnie w sposób szczególny porusza sumienia i wzywa do solidarności. Nic tak nie oburza, jak rana niepotrzebna – rana, którą zadaje człowiekowi drugi człowiek”.

Protest zaczyna się od odruchu empatycznego wobec krzywdzonego. Na początku jest wsparcie. Również dziś. W omawianych wcześniej badaniach myśli samobójczych i depresji wśród narażonych na hejt gejów i lesbijek zwróciliśmy uwagę na niezwykle ważną prawidłowość. Spytałśmy badanych, czy czują wsparcie ze strony rodziny – czy mogą otwarcie rozmawiać z najbliższymi o swojej tożsamości, czy rodziny akceptują to, że są gejami, lesbijkami. U osób, których tożsamość spotyka się z akceptacją rodziny, hejt nie powoduje podwyższonych wskaźników depresji czy myśli samobójczych. Wsparcie w najbliższym

dzień są obrażani przez polityków i media. Tak jak płynący z mediów i z ust polityków hejt ogranicza empatię, tak bezpośrednia rozmowa może ją odbudować.

Gdy los krzywdzonych poruszy nasze sumienie, zaczyna rodzić się chęć działania. Przestajemy ignorować przemoc w otoczeniu. A konfrontacja z hejterami nie zawsze skazana jest na porażkę. Nie wszyscy z nich są bowiem pracownikami farm trolli czy automatycznymi botami generującymi wrogie treści. Często są oni ludźmi głęboko zmienionymi przez sam hejt. Przekonał się o tym w pewnym bardzo nietypowym eksperymencie.

Katalizatorem upadku komunizmu okazał się odruch empatyczny. Stanięcie po stronie słabszego, poniżanego

otoczeniu, wspierająca szkoła i rodzina stają się zbroją, która chroni przed mową nienawiści. Powoduje, że nienawistne treści tracą swoją niszczycielską moc.

Pierwszym krokiem niech będzie zatem wsparcie. Akceptacja dla obcego nawet wtedy, gdy powszechnie jest pogardzany i wyszydzany. Ale akceptacja musi być czynnie okazywana, musi być wsparciem krzywdzonego. Milczenie daje poczucie przyzwolenia na przemoc. Dlatego otwarcie dawajmy do zrozumienia, że szanujemy ofiary takimi, jakie są, i dostrzegamy ich krzywdę. To zwykle dzieje się w rozmowie. Tak jak mowa nienawiści wyłącza empatię, tak bezpośrednia rozmowa empatię przywraca. Pozwala uświadomić sobie perspektywę i odczucia Obcego. Wspólnie z zajmującą się uchodźcami fundacją Ocalenie badaliśmy organizowane przez nich spotkania, na których Polacy mieli okazję spokojnie porozmawiać z żyjącymi w naszym kraju muzułmańskimi uchodźcami. Po niedługim spotkaniu wzrastała u nich świadomość, że mowa nienawiści jest problemem, któremu należy się aktywnie przeciwstawić. Uświadamiali sobie, jak czują się w Polsce ludzie, którzy na co

Tu, w Trójmieście, grupa informatyków pod wodzą pomyslowego psychiatry założyła start-up, który tworzy boty rozwiązujące różne społeczne problemy. Zaczęliśmy się z nimi zastanawiać, co by się stało, gdyby bot, fałszywy użytkownik internetu oparty na sztucznej inteligencji – a przecież jest to narzędzie służące zwykle do propagowania mowy nienawiści w sieci – zaczął się z hejterami konfrontować. Gdy tylko natknie się na nienawistne konto, to grzecznie zacznie z użytkownikiem rozmawiać, odwołując się do norm moralnych czy próbując wzbudzać empatię wobec obrażanych osób. Nasz James, bo tak go nazwaliśmy, był więc skrajnie nietypowym użytkownikiem jednego z hejterskich kanałów na Reddicie. Grzecznie zwracał uwagę, trochę tak jakby spotkał nieznanego człowieka na peronie dworca kolejowego – a nie w pełnej agresji przestrzeni mediów społecznościowych. Później przez miesiąc obserwowaliśmy użytkowników, z którymi rozmawiał James, i porównaliśmy ich do innych hejterów. Okazało się, że krótka „rozmowa” z Jamesem trwale zmieniła ich zachowanie. Z ich kont w kolejnym miesiącu płynęło znacznie mniej mo-

wy nienawiści. Może zatem każdy z nas, użytkowników mediów społecznościowych, mógłby się stać takim Jamesem?

Często słyszymy, by „nie karmić trolli”. Również Józef Tischner zdaje się przekonywać w swoim eseju, żeby „zbójcami” zajęli się ci, którzy „stoją w pobliżu polityki”. W świecie mediów społecznościowych wszyscy jednak stajemy w pobliżu polityki. Współczesny samarytanin musi wesprzeć ofiarę. Musi też jednak zabrać głos. Etyka solidarności naszych czasów zaczyna się od empatii, lecz nie może się na niej zatrzymać. Konieczne jest zaangażowanie na agorze, w której dziś wszyscy uczestniczymy. Warto o tym pamiętać szczególnie teraz, w czasie kampanii wyborczej. Jeśli nasze milczenie pozwoli na dominację mowy nienawiści, wówczas stracimy na tym wszyscy – a wyniesieni dzięki temu do władzy politycy odbiorą nam wszelkie wolności i strącą nasze społeczeństwa w otchłań barbarzyństwa. Pierwszym krokiem do zmiany społecznej w epoce autorytaryzmu zawsze jest jednak odruch empatii wobec tych, których cierpieniem autorytaryzm się karmi. Na obrazie Delacroix – zupełnie inaczej niż choćby u van Gogha – Samarytanin jest muskularny, potężny. Stawanie po stronie ofiar wymaga ogromnej siły ducha i nieposłuszeństwa. Od tej siły upadają reżimy. A właśnie dzięki empatii kruszy się autorytarna władza. ●

Tekst oparty jest na treści tegorocznego wykładu wygłoszonego w Europejskim Centrum Solidarności w ramach cyklu „Etyka solidarności”.

OGŁOSZENIA

**Kraków**

Tetmajer
Siła barw i temperamentu

**Muzeum Krakowa**

wystawa czynna:
30.06 - 12.11.2023
Pałac Krzysztofory
Rynek Główny 35
www.muzeumkrakowa.pl

MUZEUM KRAKOWA INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

obraz ze zbiorów Muzeum Literatury

N A S Z A E U R O P A

Thomas Piketty i Julia Cagé:

FRANCJA POKOCHAŁA SKRAJNĄ PRAWICĘ?
TO NIEPRAWDA**Imigracja to temat, w którym uchwalono w ostatnich latach najwięcej aktów prawnych.**

Co to oznacza? Albo że francuski parlament robi byle co, a proponowane rozwiązania są zawsze błędne. Albo że idzie na łatwiznę i kreuje wroga, na którego łatwo zrobić nagonkę.

Marta Kiełczewska-Konopka

Historia konfliktu politycznego. Wybory i nierówności społeczne we Francji” to licząca blisko tysiąc stron książka, o której obecnie głośno nad Sekwaną. Autorami są ekonomiści Thomas Piketty i Julia Cagé. Ich teza: to wcale nie kwestie związane z imigracją, religią czy tożsamością mają we Francji nadrzędne znaczenie.

Piketty jest specjalistą w dziedzinie nierówności ekonomicznych w paryskiej Wyższej Szkole Nauk Społecznych (EHESS). Jego „Kapitał w XXI wieku” (2013), sprzedany w ponad 2,5 mln egzemplarzy na całym świecie, był pierwszą publikacją w 100-letniej historii naukowego wydawnictwa Harvard University Press, która trafiła na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa”. Natomiast Julia Cagé to wykładowczyni ekonomii politycznej w Sciences Po, laureatka Prix du meilleur jeune économiste 2023 (przynajmniej przez niezależny think tank Cercle des économistes i dziennik „Le Monde”), jest autorką „Ceny demokracji” (2020).

Analiza protokołów wyborczych z 36 tys. francuskich gmin od wielkiej rewolucji po 2022 r. zajęła wam pięć lat. Co z niej wynika?

THOMAS PIKETTY: Pozwoliły nam wykazać błędność poglądu, że dzisiejsze konflikty polityczne wynikają z kryzysu demokracji, ścierania się społeczności o odmiennej tożsamości, powszechnej utraty zaufania lub dominacji tzw. postprawdy.

JULIA CAGÉ: Więcej: analiza protokołów z ostatnich 250 lat wykazała, że czynniki geospołeczne nigdy wcześniej nie były tak ważne jak obecnie. Wyjaśniają motywację aż 70 proc. oddanych głosów w ostatnich wyborach, podczas gdy w 1848 r. – tylko 30 proc. To dowodzi, że kwestie tożsamości, wyznawanej religii czy istnienia we Francji imigracji mają marginalne znaczenie w momencie oddawania na daną partię głosu. **T.P.:** Przy określaniu przynależności do klasy społecznej braliśmy pod uwagę: średni dochód w danej gminie, rynek nieruchomości, odsetek właścicieli domów i udział mieszkańców w systemie produkcyjnym, czyli zawód, dyplom i rodzaj zatrudnienia. W korelacji z tą miejscową tkanką społeczną i gospodarczą analizowaliśmy głosy oddane w miastach, na wsiach, przedmieściach i w metropoliach.

Konflikt polityczny, o którym piszecie w nowej książce, ma dwa nakładające się na siebie wymiary. Jeden – geograficzny – pomiędzy wiejską i miejską Francją i drugi – społeczny – dotyczący nierówności.

T.P.: W dłuższej perspektywie obszary wiejskie głosują bardziej na prawo niż miejskie. Ale przez większość XX w. partiom lewicowym udało się przekonać miejską i wiejską klasę robotniczą, że to, co ich łączy, jest ważniejsze niż to, co ich dzieli. I dopiero w ciągu ostatnich 30 lat pojawiła się między nimi przepaść.

Licniejsi niż robotnicy, a zarabiający od nich mniej pracownicy usług miejskich – kasjerzy, sprzątaczkę, osoby zatrudnione w gastronomii – nadal głosują na lewicę. Natomiast klasa robotnicza, mieszkająca dziś głównie na prowincji, poczuła się porzucona przez cyklicznie zmieniające się u władzy lewicę i prawicę.

To często ludzie niezbyt bogaci, ale też nie najbiedniejsi, właściciele swoich domów przywiązani do idei, że doszli do tego własną ciężką pracą. Głosując na ultrapravicowe Zjednoczenie Narodowe (RN), wyrażają swoje poczucie opuszczenia w kontekście braku usług publicznych w obszarach wiejskich, deindustrializacji i wynikającej z niej utraty pracy. Ich los praktycznie się nie poprawił przez 40 lat. Myślą, że czas dać szansę ugrupowaniu, którego u władzy nigdy nie było.

Wszystkie nasze dane sugerują, że popularność Marine Le Pen – a z 37 proc. opinii pozytywnych to dziś druga najbardziej lubiana polityk we Francji – wynika z tego poczucia porzucenia społeczno-ekonomicznego, a nie z poparcia dla jej antyimigranckich idei.

A więc baza wyborcza francuskiej skrajnej prawicy to dziś...?

T.P.: Założony przez Jeana-Marie Le Pena w 1974 r. Front Narodowy [dziś Zjednoczenie Narodowe, RN] zdobył głosy wiejskiej klasy robotniczej niejako przez przypadek. Początkowo głosowała na niego raczej mieszczańska klasa średnia, niechętna imigrantom, zwłaszcza bezpośrednim kontaktom z nimi. Jednakże część tego elektoratu przejęła tradycyjna prawica. Przyczynili się do tego m.in. gaullista Jacques Chirac swoim przemówieniem jeszcze w 1991 r. o „hałasie i zapachu obokrajowców”, a także Nicolas Sarkozy, wówczas szef MSW, nazywając w 2005 r. młodych ludzi z podparyskich przedmieść „szumowiną, którą należy zmyć szlauchem”.

Decydujące było referendum europejskie w 2005 r. To wtedy robotnicy zamieszkujący



• W kwietniu zeszłego roku w II turze wyborów prezydenckich Macron pokonał Le Pen, uzyskując ponad 58 proc. głosów. Jak będzie w 2027 r. i z jakiego rodzaju politykiem będzie wtedy rywalizować liderka skrajnej prawicy? FOT. FRANCOIS MORI/AP

obszary wiejskie zdecydowanie zagłosowali przeciw bardziej zintegrowanej Europie – z powodów ekonomicznych. Nie spodobało im się, że po dojściu do władzy Sarkozy przez traktat lizboński i na drodze parlamentarnej przevorsował to, co oni odrzucili. I przerzucili swoje głosy na skrajną prawicę.

RN zagospodarowało sobie dostępny od 2007 r. elektorat, choć historycznie nie o to im chodziło. Ale się dostosowali.

Marine Le Pen zrozumiała potencjał tego elektoratu dawno temu.

J.C.: Niektóre elementy jej programu odpowiadają potrzebom klasy robotniczej, jak np. kredyt z zerowym oprocentowaniem na zakup domu. Ale ona nie wie, jak je sfinansować. De facto proponuje program skrajnie liberalny pod względem gospodarczym, jak np. przywrócenie podatku majątkowego, ale tylko od majątku finansowego, i zniesienie go od majątku nieruchomego. Co zresztą się dobrze składa, bo rodzina Le Penów posiada duży zamek...

T.P.: Jej elektorat nie ma złudzeń w kwestii poprawy swojej sytuacji ekonomicznej po jej dojściu do władzy. Nie pokłada też wielkich nadziei w jej programie socjalnym. Gdyby istniał entuzjazm dla nowej oferty politycznej RN, byłibyśmy świadkami oszalałej frekwencji. Tymczasem w 2022 r. spadła ona poniżej 50 proc., najniższej od 200 lat. Ci ludzie po prostu dają znać, że są rozczarowani.

Co więcej, blokowi narodowemu brakuje programowej spójności. Nawet jeśli Le Pen doszłaby do władzy, nie byłaby w stanie stworzyć trwałej większości.

Dlatego twierdzimy, że sytuacja lewicy nie jest tak beznadziejna, jak się to przedstawia w mediach, gdzie na okrągło słyszymy, że klasa robotnicza porzuciła ją na rzecz skrajnej prawicy. Jej baza wyborcza nadal istnieje. I jest bardziej wewnętrznie spójna niż prawica.

J.C.: To nie znaczy, że całkowicie zwalniamy lewicę z odpowiedzialności za utratę elektoratu wiejskiego. Problem sięga jeszcze Marksa, który rolnikom miał za złe ich drobnomieszczańskie aspiracje do własności. Lewica nadal krytykuje własność, dziś jednak używając argumentów ekologicznych. Krytykujemy np. właścicieli podmiejskich domków za uprzywilejowanie do pracy samochodami. Tymczasem nie ma transportu publicznego, z którego mogliby skorzystać! A oni i tak zanieczyszczają środowisko znacznie mniej niż uprzywilejowane klasy miejskie latające samolotem na weekendowe city breaks po całej Europie.

Skoro kwestie społeczno-ekonomiczne mają tak ogromne znaczenie w politycznych decyzjach Francuzów, jak wytłumaczyć fakt, że debatę publiczną zdominowały kwestie tożsamościowe oraz imigracja?

J.C.: To w dużej mierze kwestia prywatnych mediów, które narzucają retorykę. Nadają bez przerwy na temat braku bezpieczeństwa, problemów imigracyjnych, niepowodzeń integracji. Wobec siły przekazu telewizji CNews, Canal+ i C8, radia Europe 1, tygodnika „Paris Match” i „Le Journal du Dimanche”, nie sposób ignorować rosnącego wpływu Vincenta Bollorégo, bilionera i głównego udziałowca koncernu Vivendi, na francuskie media. To on doprowadził do wyścigu pomiędzy 24-godzinnymi kanałami informacyjnymi, które przejęły tę tematykę, a także promował agendę skrajnie prawicowego Érica Zemmoura.

Wyniki naszych badań napawają nas jednak optymizmem. Jeśli bowiem byłoby prawdą, że ludzie głosują na ultrapravicę powodowani afektem, gdyż stali się nieufni, nieszczęśliwi i nie lubią swoich sąsiadów, trudno byłoby znaleźć na te kwestie kulturowo-tożsamościowe rozwiązanie polityczne.

NASZA EUROPA

Natomiast problemy społeczno-gospodarcze da się rozwiązać. Nie jest to łatwe w kontekście zadłużenia i inflacji. I wymaga wyjścia z lenistwa intelektualnego.

Weźmy początek nowego roku szkolnego. W ogromnej liczbie szkół brakuje nauczycieli, 54 proc. uczniów nie dojada z powodu biedy, a wielu rodziców nie stać na kupienie dzieciom wyprawki szkolnej. Natomiast dyskusja wokół edukacji obecnie obraca się jedynie wokół zakazu noszenia abai w szkołach [luźnych, długich okryć używanych przez niektóre muzułmanki]. To stanowi polemiczną dywersję: małym kosztem tworzymy zastępczy konflikt i w ten sposób unikamy rozwiązywania problemów strukturalnych.

Imigracja to temat, w którym uchwalono w ostatnich latach najwięcej aktów prawnych. Co to oznacza? Albo że francuski parlament robi byle co, a proponowane rozwiązania są zawsze błędne. Albo że idzie na łatwiznę i kreuje wroga, na którego łatwo zrobić nagonkę.

Jak należy rozumieć niepokojący wzrost liczby ludzi, którzy nie głosują – ponad 46 proc. w wyborach parlamentarnych w 2022 r.?

J.C.: Nigdy Francuzi nie głosowali tak niechętnie jak teraz. Z sondaży wiemy, że biedni głosują rzadziej niż bogaci. Ale wyjaśnialiśmy to brakiem wykształcenia bądź zainteresowania demokracją.

Jeszcze w latach 1950-80 najbiedniejsze gminy głosowały liczniej niż te najbogatsze. Ubodzy przestali głosować zatem nie ze względu na swoją sytuację ekonomiczną, lecz z powodu niezadowolenia z dostępnej oferty politycznej i rozczarowania oportunistem rządzącym.

Dojście Emmanuela Macrona do władzy zburzyło tradycyjny podział władzy we Francji między prawicą i lewicą.

T.P.: Macron wygrał wybory dzięki najbardziej burżuazyjnemu elektoratowi w dziejach Francji. Sądźmy, że to właśnie polaryzacja głosów na miejskie i wiejskie pozwoliła jego dość elitarnemu blokowi centralnemu dojść do władzy na bazie dyskursu: ja albo skrajności, ja albo chaos.

Ten liberalno-postępowy blok rządzi teraz przez etykietowanie obu pozostałych bloków – społeczno-ekologicznego i narodowo-patriotycznego – jako populistycznych, antyrepublikańskich oraz stawianie znaku równości między dwiema skrajnościami.

Tak już było w latach 1848-1910. I lekcja historyczna jest taka, że ten trójblokowy system jest kruchy. Głównie dlatego, że blok centralny szybko napotyka oskarżenia o społeczny egoizm. Dotykają go też skandale finansowe, co znacznie go osłabia. Stąd m.in. zarzuty wobec Macrona, że jest „prezydentem bogaczy”.

Istnienie trzech głównych opcji ideologicznych nie jest jednak sprzeczne z demokracją.

J.C.: Odkąd Macron doszedł do władzy, mieliśmy rewoltę „żółtych kamizelek”, najdłuższe strajki w historii Francji, historycznie niską frekwencję wyborczą. A reforma emerytalna została przyjęta wbrew opinii 75 proc. społeczeństwa.

Jasne, rząd nadal rządzi. Jednak jeśli chodzi o postęp społeczny i demokratyczny, to się cofamy. Nie dlatego, że ci, co sprawują obecnie władzę, są niekompetentni. Ale że robią to bez mechanizmów gwarantujących równowagę polityczną. Odmawiają naprzemienności, która pozostaje podstawą demokracji.

T.P.: Historia nas uczy, że dla demokracji ważna jest rywalizacja między lewicą a prawicą, które są złożonymi konstrukcjami historycznymi i politycznymi, łączącymi często rozbieżne aspiracje. Demokracja polega na naprzemienności między tymi blokami. A nie na walce obozu rozsądku z obozem szaleństwa. ●

Wywiad przeprowadzono wraz z Joëlle Meskens z „Le Soir”, Martiną Meister z „Die Welt”, Anaïs Ginroi z „La Republique” i Alainem Rebetezem z „La Tribune de Genève” w ramach współpracy „Wyborczej” z czołowymi europejskimi dziennikami



LENA
LEADING —
EUROPEAN
NEWSPAPER —
ALLIANCE

Każdy przeciw każdemu

Zegnaj, ero kontroli zbrojeń

Rozpadają się XX-wieczne traktaty, dzięki którym ludzkość czuła się bezpieczniej.

Robert Stefanicki

Porozumienia o kontroli zbrojeń mają na celu ograniczenie kosztów finansowych oraz ludzkich. Po co wydawać krocie na jakąś bardzo drogą lub szkodliwą broń, jeśli możemy się umówić z wrogiem, że zgodnie z niej zrezygnujemy. Aby to zadziałało, muszą być spełnione dwa warunki: strony mają dostęp do tych samych technologii oraz zaufanie, że przeciwnik zastosuje się do zapisów porozumienia. Zaufanie musi być oparte nie na samych deklaracjach, ale na mechanizmie kontrolnym, zwykle obejmującym wzajemne inspekcje.

Z jednej strony porozumienia zbrojeniowe są racjonalne, tak jak zgodne z rozsądkiem jest nienarazanie żołnierzy na kontakt z gazami bojowymi albo produkowanie domów zamiast czołgów. Z drugiej – może zdumiewać, że takie porozumienia w ogóle czasem działają. Bo wojna z natury racjonalna nie jest, a wróg to wróg. Zawsze będziemy próbowali go przechytrzyć – obmyślając nową wunderwaffe, wykorzystując luki w traktacie albo oszukując inspektorów i zbrojąc się potajemnie.

Kogo wykończy tempo zbrojeń

Za pierwszy zakaz dotyczący użycia jakiejś broni – w tym wypadku zatrutych kul – uważa się porozumienie strasburskie z 1675 r. pomiędzy Francją a cesarstwem. Jednakże do XIX w. podobnych porozumień było niewiele, a dopiero te wypracowane w latach 60. XX w. zaczęły prowadzić do znaczącej redukcji arsenałów i globalnych regulacji. Pod auspicjami ONZ powstały wówczas traktaty o częściowym zakazie prób jądrowych i o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej poza pięć potęg, które ją pozyskały jako pierwsze.

Również pod koniec tamtej dekady dyplomaci amerykańscy i radzieccy rozpoczęli negocjowanie umów ograniczających siły nuklearne, choć redukcje na większą skalę nastąpiły dopiero za Gorbaczowa, gdy było już jasne, że Amerykanie wygrali zimną wojnę.

W 2002 r. prezydent George W. Bush wycofał się z traktatu dotyczącego rakiet antybalistycznych, wskazując na rosnące zagrożenia ze strony Korei Północnej i Iranu. Donald Trump porzucił traktat INF, który umożliwił całkowitą likwidację odpalanych z lądu pocisków rakietowych średniego zasięgu (500-5500 km). Amerykanie od lat zarzucali Rosjanom, że nie przestrzegają tych postanowień.

Jedynym traktatem, który pozostał do dzisiaj, jest „Nowy start”. Zgodnie z jego warunkami USA i Rosja mogą posiadać do 700 gotowych do użycia pocisków balistycznych i bombowców, na których można rozmieścić do 1550 głowic – czyli znacznie mniej od tego, co obie strony miały podczas zimnej wojny.

„Nowy start” wygasa w lutym 2026 r., a od inwazji na Ukrainę zaczął się jego stopniowy demontaż. W sierpniu 2022 r. Rosja odmówiła Amerykanom możliwości przeprowadzenia inspekcji w jednej ze swoich baz wojskowych. W lutym br. Putin „zawiesił” udział Rosji w traktacie, informując, że nie będzie już wymieniać informacji na temat stanu swoich sił nuklearnych. Wprawdzie Rosjanie twierdzą, że ograniczeń dotyczących liczby pocisków będą przestrzegać, ale trzeba im wierzyć na słowo. A jak „Nowy start” wygaśnie, limity te przestaną obowiązywać prawnie.

W artykule dla Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS) Heather Williams zauważa, że Rosja utrzymała zdolność rozbudowy arsenału nuklearnego pomimo sankcji i drenażu zasobów w Ukrainie. W produkcji ma np. nowej generacji rakiety Sarmat. Wolno żywić nadzieję, że te wynalazki są tylko hucpą propagandową i skończą tak, jak rosyjski łazik wysłany na Księżyc. Można też wierzyć, że narzucane przez USA tempo zbrojeń wykończy Rosję, jak wykończyło ZSRR. Niemniej w magazynach Putin ma dużo starej broni, więc byłoby lepiej, gdyby mechanizmy kontroli i komunikacji dalej istniały, bo redukują ryzyko omyłkowej wymiany nuklearnego ognia. Już samo istnienie traktatów obniża napięcie.

2240 mld dol. na armie

Putinizm nie jest jedynym powodem. Porozumienia zakorzenione w zimnej wojnie, oparte na parytecie między Ameryką a Rosją nie przystają do świata niedwubiegunowego. Dziś numerem dwa na świecie są Chiny, które chcą mieć siły odpowiadające temu statusowi. Według Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (SIPRI) w zeszłym roku chiński arsenał powiększył się z 350 do 410 głowic. Eksperci przewidują, że do 2035 r. Chińczycy będą ich mieć półtora tysiąca.

USA próbowały dołączyć Pekin jako trzecią stronę do negocjacji z Rosją, ale bez powodzenia. Podczas wojny brakuje do tego atmosfery, a Chiny nie mają interesu, by się ograniczać. W zeszłym roku wydały na zbrojenia 300 mld dol. USA – trzykrotnie więcej. I dziesięć razy tyle co Rosja. Amerykanie inwestują we wszystkie rodzaje broni: od nowinek technologicznych, jak broń laserowa, po okrutny nowej generacji i drony wykorzystujące AI. I w każdej z tych kategorii ścigają się z Chinami, nie z Rosją.

Napięcia nuklearne mają to do siebie, że są zaraźliwe i wzmagają apetyt na posiadanie tej broni. Indie, które mają nierozwiązany spór graniczny z Chinami, mogą się czuć zmuszone do zwiększenia swoich zapasów, obecnie szacowanych na ponad 160 głowic. Pakistan, dysponujący podobną liczbą, nie pozostanie bezczynny. Korea Północna posiadająca już około 30 głowic intensywnie powiększa swój arsenał i testuje coraz lepsze rakiety. W Seulu i Tokio trwa dyskusja, jeśli nie o posiadaniu własnej broni atomowej, to o przyjęciu amerykańskiej. Iran wskutek porzucenia po-

rozumienia nuklearnego przez Trumpa już puka do klubu atomowego. Saudowie też – na razie życzą sobie pozwolenia na wzbogacanie uranu do celów energetyki (zawsze tak się zaczyna) w zamian za uznanie Izraela. A Izrael deklaruje, że nie ma nic przeciwko temu.

Jednocześnie na całym świecie trwa gorączkowa modernizacja i rozbudowa armii. Według SIPRI wydatki wojskowe wzrosły realnie (z uwzględnieniem inflacji) o 3,7 proc. w zeszłym roku, osiągając rekordowy poziom 2240 mld dol. Europa zbroi się z powodu Rosji, Azja i Australia przez Chiny, Afryka przeciwko rebeliantom, a Zatoka Perska – bo ma za co.

Technologia zmienia reguły

Traktaty wydają się anachroniczne również dlatego, że nie aktualizują się wraz z rozwojem techniki. A według niektórych strategów sztuczna inteligencja zwiastuje punkt zwrotny w potęgze wojskowej, równie poważny jak wprowadzenie broni nuklearnej. Inni ostrzegają przed pozwoleniem robotom na samodzielne decyzje o zabijaniu i wzywają do wstrzymania badań do czasu uchwalenia przepisów związanych z wojskowym zastosowaniem SI.

Na razie jednak chodzi nie o inteligentne Robocopy, lecz o drony i bezzałogowe łodzie podwodne. Pentagon zapowiedział, że w ciągu najbliższych dwóch lat wystawi „wiele tysięcy” autonomicznych systemów, aby zrównoważyć przewagę Chin w liczbie rakiet, okrętów i samolotów uderzeniowych. Pekin z pewnością ma taki sam zamiar.

Revolucja kroi się też w przetwarzaniu danych zebranych z satelitów, radarów, sieci sonarowych, rozpoznania elektromagnetycznego i ruchu internetowego, w tym obrazów z monitoringu miejskiego, dokumentacji medycznej, zachowań w mediach społecznościowych. Umożliwi to „mikrotargetowane” ataki z użyciem dronów lub broni precyzyjnej przeciwko kluczowym dowódcom, nawet jeśli przebywają z dala od linii frontu. Albo zabijanie cywilów. Naukowcy ostrzegają, że roje małych, śmiertelnych dronów mogą wziąć na cel np. populację mężczyzn w wieku wojskowym z określonego miasta, regionu lub grupy etnicznej.

W erze gwałtownego postępu technologicznego tonujące traktaty wojskowe są tym bardziej potrzebne. Bo ryzyko jest coraz większe. Pociski hipersoniczne są trudniejsze do wykrycia i zestrzelenia niż balistyczne, a sztuczna inteligencja to terra incognita. W atmosferze niepewności łatwiej pochopnie nacisnąć guzik.

Lata temu Barack Obama roztoczył wizję świata bez broni atomowej, za co odebrał pokojowego Nobla. Wiąza się nie ziściła, ale alternatywą nie musi być hobbesowskie piekło. Ktoś z kolejnych nagród powinna pójść w ręce polityków, którzy – wzorem XX-wiecznych noblistów – opracują nowy traktat o kontroli zbrojeń między największymi potęgami. Okienko pojawi się po zakończeniu wojny w Ukrainie i przed rozpoczęciem tej o Tajwan. ●

FOT. SŁAWOMIR SIERZPUTOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Irudno się było tego nie spodziewać: w państwach, w których słabnie społeczna kontrola, policja zaczyna tańczyć z radości. A konkretnie ta jej część, która lubi sobie ponadużywać władzy, poznęcać się nad aresztowanymi, pozatrzymywać sobie, ot tak, arbitralnie, a do tego niespecjalnie się męczyć z papierkową robotą i szukać uzasadnień interwencji.

Zarobki być może specjalnie nie rosną, ale za to wolno więcej.

Czarnogóra ma nowe drogi zbudowane przez Chińczyków, ale spróbujcie po nich pojeździć: co chwila zza dramatycznie spiętrzonych skał, zza kolczastych krzewów, zza całej tej przepięknej przyrody wylażą drogowe służby z jedną, odwieczną pieśnią na ustach: „Dajcie”. Dajcie, bo przekroczyliście. I cóż, że nie jesteście pewni, czy faktycznie przekroczyliście: my jesteśmy pewni i to wystarczy, bo co by to było, gdyby każdy miał prawo być tak samo pewien dwóch, powiedzmy, różnych rzeczy. Wtedy chaos by powstał i pułapka relatywizmu, dlatego my wiemy, a wy musicie to zaakceptować.

I się zaczyna. W Czarnogórze, Albanii czy Serbii straszą wysokimi sumami za przekroczenie. W Rumunii lubią jeszcze dodać, że jeśli się nie zapłaci, to oni zabierają prawo jazdy i wracają do siebie na piechotę. I czekają na słowa, które wcześniej czy później padają: „Panie policjancie, czy nie da się tej sprawy załatwić inaczej?”. Owszem, da się. Wtedy jeden gdzieś odchodzi, a drugi otwiera notes, zeszyt, cokolwiek tam ma i daje znak oczami, żeby dyskretnie. Rach-ciach i banknot ląduje między kartkami. A potem nawet sobie pogawędkę ucinają. Kiedyś, kiedy mnie wypuszczali z krzaków pod Ulcinjem, we dwóch stali na poboczu i wesoło machali na pożegnanie. A w Rumunii pokazali mi na mapie wszystkie miejsca kolejnych kontroli aż po sam Bukareszt.

No ale okej, to tylko drogówka. Odwieczny problem, irytujący jak stado komarów, lecz nie najbardziej bolesny. W Serbii Beogradski centar za bezbednosnu politiku przeprowadził badania, z których wynikało, że obywatele są pogodzeni z faktem, iż drogówka jest, jaka jest. Że rządzone ręcznie przez prezydenta Aleksandra Vučića państwo może tu i tam odnosić sukcesy w walce z policyjną korupcją, ale są sfery, w których zrobić nic się nie da.

Co oczywiście nie jest prawdą. W Rumunii tu i ówdzie problem nadal istnieje, ale to już nie to samo, że w pełnej krasie, pod słońcem i jasnym niebem, na oczach wszystkich. Trochę jak w Polsce, gdzie też jeszcze niedawno ulubionym sportem drogówki było polowanie na jelenia, a teraz lepiej nawet nie proponować „innego rozwiązania”.

Biuro Spraw Wewnętrznych Policji opublikowało wiosną raport, z którego wynika, że o ile z korupcją na wyższych szczeblach nadal jest w Polsce problemem, o tyle łapówkarstwo drogówki udało się wyeliminować. Specjaliści uważają, że to zasługa coraz powszechniejszych kamer (co budzi wątpliwości, bo kamery są bardzo popularnym, a jednak nie do końca skutecznym środkiem antyłapówkowym w wielu krajach poradzieckich), bezgotówkowych płatności za mandat czy coraz mniejszej opłacalności przyjmowania niewielkich relatywnej sum za ryzyko utraty pracy. Oraz proste go faktu, że w dużej mierze obowiązki drogówki zostały zrobotyzowane przez wielofunkcyjne radary i inne odcinkowe pomiarzy prędkości.

Ale kres tego codziennego upokarzania – nie tyle przez samą łapówkę, ile przez atmosferę zagrożenia towarzyszącą każdej podróży – obywateli to jeden z niewielu sukcesów walki z policyjnym nadużywaniem władzy w Polsce. I odniesiony już dość dawno, jeszcze przed tym, jak wycierająca sobie gębę vox populi, a w istocie woluntarystyczna i zamordystyczna władza poluzowała służbom cugle. Bo nie po jakości drogów-



RATUNKU, POLICJA!

**W Serbii, na Węgrzech, na Słowacji, a może w Polsce?
Gdzie masz największą szansę dostać łomot w komisariacie
i dlaczego**

Ziemowit Szczerek

ki poznaje się psucie się państwa. Drogówka to ogon, a ryba, cokolwiek by mówić, psuje się jednak od głowy.

Chyba każdy, jeśli nie miał z nimi do czynienia, to słyszał o policjantach nagminnie naruszających prawa obywateli. O bucie w drzwiach, który miał wystarczać za podstawę naruszenia miru domowego bez nakazu sądowego, bo „domownik wpuścił funkcjonariuszy do środka”, o obrażaniu, grożeniu i upokarzaniu w komendzie, o kreatywnym szukaniu podstaw do zatrzymania już po zatrzymaniu, o braku plakietki z nazwiskiem funkcjonariusza, o chwilowej głuchocie policjantów podczas demokratycznych protestów, gdy pacyfikowani manifestanci powołują się na prawa człowieka, obywatela, ustawy i konstytucję.

Te policyjne plagi nie spędzają snu z powiek obecnej władzy, przeciwnie: często są jej instrumentem. Skargi na funkcjonariuszy lądują w koszu, a prodemokratyczni, antynacjonalistyczni, ekologiczni, obyczajowi, ogólnie niespecjalnie przez władzę kochani aktywiści zeznają, że nadużywanie uprawnień i postawa „a co mi zrobicie?” to praktyka tak codzienna, że wręcz przezroczysta.

To zresztą widać. Pod „schodami smoleńskimi” w Warszawie, innym przykładzie uznaniowego widzimisię władzy, bo postawionym w trybie specjalnym, z pominięciem rady Warszawy, wiecznie stoi policja mająca zapobiegać „bezcieszczeniu” pomnika. „Bezcieszczyć” można w różny sposób, na przykład przez wspinanie się na niego. I nie trzeba wspinać się w proteście przeciwko PiS, wystarczy w akcie obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec czegoś, co powstało na rympał, bez refleksji nad tym, jak wkomponowuje się w przestrzeń publiczną.

Adam, który wszedł na pomnik, opowiadał mi, że nie skończyło się na pouczeniu czy mandacie. Po pierwsze, zabrano mu telefon, by z tak błahego powodu jak wejście na pomnik stojący w centrum miasta włądować mu się z butami w prywatność. Po drugie, na drugi dzień policja zrobiła wjazd do domu jego rodzicom mieszkającym w innym mieście.

Antypisowscy aktywiści doświadczają przeszukań, przesłuchań, aresztowań sprzętu elektronicznego itd. Zatrzymanych podczas protestów, na przykład tych w spra-

wie praw kobiet czy osób LGBT, poniżano i wyszydzano w komisariatach. Profesor Hanna Machińska, była zastępczyni rzecznika praw obywatelskich, mówi o 34 osobach, które straciły życie po interwencji policji od 2018 r., a to, jak sądzi, niepełne dane. Bo jeśli ktoś w wyniku interwencji umiera – sprawa jest tuszowana. Duszenie przez policjantów okazuje się na przykład „przedawkowaniem kokainy” albo „zaburzeniem rytmu serca spowodowanym zatruciem amfetaminą”. Ile osób było torturowanych, poniżanych, bitych czy w inny sposób maltretowanych w komisariatach, trudno sobie nawet wyobrazić.

Każdy, kto ma nastoletnie dzieci, wie, że policjanci polują na takich, którzy mogą, według nich, posiadać narkotyki, najczęstszą zresztą chodzi o te lekkie, jak marihuana czy haszysz. Kaptur, czapka z liściem gandzi, cokolwiek, co może zasugerować „potencjał posiadania”, może być powodem zatrzymania. Nastolatki są wsadzane do policyjnych samochodów i bez żadnej podstawy, wyłącznie na oko funkcjonariusza, przeszukiwane. Często poniżane, zazwyczaj zastraszane. A jeśli chodzi o pouczenie przez funkcjonariuszy o tym, jakie przysługują im prawa, to zatrzymani, owszem, kojarzą je. Z filmów na Netflixie.

Jeśli dodać do tego to, co policja, pogranicznicy i wojsko wyprawiają na białoruskiej granicy, gdzie zatrzymywanie i zastraszanie niosących pomoc migrantom aktywistów czy dziennikarzy to chleb powszedni, mamy bardzo nieprzyjemny obraz: samookupacji własnego państwa przez mundurowców.

Podobnie jest w innych krajach, w których władza posługuje się taną populistyczną manipulacją typu „jesteś z nami albo jesteś zdrajcą” i promuje narodowo-konserwatywną ideologię. Weźmy taką Chorwację rządzoną przez post-Tudjmanowskie HDZ, po naszymu Chorwacką Wspólnotę Demokratyczną. Raporty unijnego Komitetu ds. Zapobiegania Torturom oraz Nieludzkiemu lub Poniżającemu Traktowaniu wskazują na przykład, że na bośniacko-chorwackiej granicy, przez którą na teren Unii próbują się przedostawać migranci, dochodzi do regularnego łamania prawa. W 2020 r. wiceszef europejskiego biura Amnesty International Massimo Moratti mówił o „pushbackach

i nadużyciach, którym chorwacki rząd nie może już dłużej zaprzeczać”. W 2023 r. nikt już „pushbackom i nadużyciom” nie zaprzecza, funkcjonariuszom w Grecji zdarza się przytopić uchodźczy ponton, w Serbii nieco poszturchać uchodźcę, a niektóre rządy, jak na przykład polski, wręcz się takimi akcjami chwają i robią z prześladowań migrantów coś w rodzaju nowego Westerplatte.

Co nie znaczy, że podobne do polskiego rządu lepiej traktują „swoich”. W serbskiej części Bośni i Hercegowiny, Republice Serbskiej, przemoc policyjną tłumaczy się wojenną spuścizną. Ale w przypadkach takich jak czternastoletniego Boszniaka, czyli bośniackiego muzułmanina, Ajdina Jusicia pobitego i zmuszanego do nieprawdziwych zeznań w komisariacie pod Zvornikiem wielu obywateli mówi wprost: to wina poligarchicznego (popularna na Węgrzech i Bałkanach zbitka od słów „polityk” i „oligarcha”) przywódcy bośniackich Serbów Milorada Dodika i jego szowinistycznej, agresywnej retoryki. Bardzo często zwróconej przeciwko własnym obywatelom, tylko niewłaściwego wyznania czy opcji. Obrońcy praw człowieka w Republice Serbskiej w Bośni domagają się, zupełnie jak w Polsce, odpolitycznienia sił policyjnych. I jak w Polsce sytuacja idzie w przeciwnym kierunku.

Policja Dodika ma w szafach sporo trupów wcale nie metaforycznych. Na przykład tajemniczą śmierć Davida Dragičevicia, którego znaleziono kilka dni po zaginięciu martwego w banjałuckiej rzece, a policyjna opowieść („wypadek, do którego doszło po dokonaniu przestępstwa”) nie bardzo się spina ani z profilem Dragičevicia, ani ze zignorowanymi przez policję dowodami, toteż hasło „prawda dla Dragičevicia” pojawia się często na murach. Jak wynika z raportów Komitetu do spraw Zapobiegania Torturom oraz Nieludzkiemu lub Poniżającemu Traktowaniu albo Karaniu, zatrzymani bywają torturowani, poddawani naciskom, zastraszani i upokarzani. Zdarza się, że za tak mało istotne naruszenia prawa jak posiadanie marihuany. Mieszkaniec Banja Luki za takie wykroczenie był ciężko bity, rozbiegany do naga, oblewany zimną wodą, straszony bronią, zmuszany do upokarzających „ćwiczeń”. Inny człowiek zatrzymany za wykorzystanie cudzych danych osobowych na Facebooku został pobity tak, że urazy pozostaną mu na całe życie. A policja podobnie jak w Polsce śmieje się obrońcom praw człowieka w twarz. Funkcjonariusze twierdzą, że wszystkie zgłoszone przypadki są badane, raporty unijnej komisji kłamią, a wymienieni w nich funkcjonariusze domagają się przeprosin za „oczernianie”.

W drugiej części Bośni i Hercegowiny, Federacji Muzułmańsko-Chorwackiej, jest niewiele lepiej. Human Rights Watch zwraca uwagę, że policjanci znęcają się nad demonstrantami, czasem zdarza się również nad zaplątanymi przypadkiem w okolice demonstracji osobami postronnymi, a nawet dziennikarzami.

W Serbii „właściwej” przynajmniej o policyjnej brutalności mówi się publicznie i często gęsto przeciw niej protestuje. Organizujący czarne marsze aktywiści i intelektualiści tłumaczą ją medialną, przemocową papką normalizującą bandyterkę i patriarchalną przemoc (co ciekawe, mowa o mediach związanych często z „obrońcą konserwatywnych i narodowych wartości” autokratycznym prezydentem Aleksandarem Vučićiem). Co nie zmienia faktu, że standardy obchodzenia się z zatrzymanymi nie odbiegają od „średniej nieliberalnej”. W komisariacie można zostać pobitym, porażonym prądem, o zwykłym obrażaniu i upokarzaniu nie wspominając.

Ciekawiej, bo mniej jednoznacznie, jest na Węgrzech. Po wielkich protestach w Budapeszcie w 2006 r. przeciwko władzy socjalistów, kiedy policja nie szczeniła pał, gazów i przemocy w komisariatach, Orbán (który sam w młodości miewał z demoludową milicją na piętku) obiecywał solennie wyborcom, że takie rzeczy za jego rządów dziać się nie będą. Czy udało mu się

dotrzymać słowa – zdania są podzielone, ale mimo że w budowie skutecznej, dominującej każdy wymiar życia publicznego autokracji Węgrzy są dużo bardziej zaawansowani niż my, przypadki nadużywania władzy przez funkcjonariuszy, choć oburzające, na polskim tle nie wydają się wielką sprawą. A to w 2016 r. policja znieważyla i zmaltretowała człowieka, którego oskarżyła o rozmawianie przez telefon podczas prowadzenia auta, a to w 2020 r. zatrzymanemu za wzywanie do protestów w czasie pandemii Jánosowi Csóka-Szucsowi, członkowi opozycyjnego Momentum, odebrano telefon i komputer.

To wciąż poniżej polskiej normy, gdzie do radiowozów wciąga się posłanki, a podpici imprezowicze podczas zatrzymania sami sobie łamią nogi i ręce. Niemniej obserwatorzy przypominają, że nie o wszystkim wiemy, bo na Węgrzech większość przypadków nadużywania władzy zamiatana jest pod dywan. O co nietrudno, a na pewno łatwiej nad Balatonem niż nad Wisłą, bo tam upartyjnione są już wszystkie instytucje, sędziowie i prokuratorzy spacyfikowani do imentu, a niezależne media dogorywają gdzieś po kątach.

A poza tym prawdziwy problem się zaczyna, jak to zwykle bywa, tam, gdzie kończy się przestrzeń uważana za „prawdźwie węgierską”, a zaczyna przestrzeń „obca”. Na złe traktowanie przez policjantów skarżą się przede wszystkim Romowie i uchodźcy. Lekarze bez Granic donoszą o setkach interwencji medycznych po spotkaniach migrantów z węgierską strażą graniczną, a serbska organizacja pozarządowa KlikAktiv donosi o częstych przy-

Powodem zatrzymania nastolatka może być czapka z liściem gandzi albo po prostu kaptur. A pouczanie przez funkcjonariuszy o przysługujących prawach zatrzymani, owszem, kojarzą. Z filmów na Netflixie

padkach ich bicia i poniżania (np. wygalańia krzyży na głowach). Natomiast prześladowanie Romów przez węgierską policję to sprawa stała i trwała.

Jedna z najbardziej znanych tego typu historii to podwójne morderstwo w rodzinie Csorbów w miejscowości Tatarászentgyörgy, gdzie podpalono romski dom i ostrzelano uciekających zeń. Policja uznała, że pożar był wynikiem spięcia, a znalezione łuski po nabojach podrzucili sąsiedzi. Gdy po interwencji europarlamentarzystki Viktorii Mohácsi policjanci łaskawie wznowili śledztwo, odmawiali uznania, że napaść była motywowana rasowo. Tymczasem napaści na Romów – z ofiarami śmiertelnymi – było coraz więcej. Sprawców (nacionalistów z samozwańczych brygad śmierci) aresztowano, ale Romowie się skarżą, że ofiar mogło być mniej, gdyby policja potraktowała od początku sprawę poważnie. Romską społecznością najbardziej jednak wstrząsnął fakt, że podczas ataku neonazistów na romską część miejscowości Devecser policja ograniczyła się do obserwowania, jak bojówki maszerują ulicami, rzucają kamienie i grożą ludziom śmiercią.

Podobnie rzecz wygląda na Słowacji, gdzie spore wpływy i sympatyków wśród policji mają narodowi konserwatyści, a między nimi – przywódca lokalnych neonazistów Marian Kotleba, który swego czasu wypuszczał do pociągów i na ulice miast bojówki mające „chronić obywateli przed Cyganami” oraz ogłaszał plany równania cygańskich osad z ziemią buldożerami.

CASA NOSTRA

Morze wymusiło rozejm

Krótka reklamówka supermarketu, a tyle treści

Jarosław Mikołajewski

Kobieta (30 lat? 35?) w supermarkecie. Kupuje sałatę, rozgląda się: nie widzi córki, która przed chwilą była tuż przy niej. Czy ktoś jej nie widział? Nie, nikt nie widział. Wreszcie jest – dziewczynka zdejmuje z półki z owocami brzoskwinie.

Mama mówi: „No dobrze, weź tę brzoskwinie, ale już nigdy się nie oddalaj”. Wracają do domu, mama powtarza pochwałę wychowawczy-ni, że córka zrobiła dziś śliczny rysunek. Łaskotki, pieszczoty, śmiech, dzwonek do drzwi: tata. Widać od razu (kino potrafi opowiadać bez słów), że są w separacji. Dziewczynka wita się z tatą, daje mu brzoskwinie. Mówi, że to od mamy. Tata nie dowierza, lecz zapowiada, że zadzwoni i podziękuje.

To reklama z podpisem Esselunga – sieci sklepów. Firmy, która pragnie zwrócić uwagę, że za każdym zakupem kryje się jakaś historia. Reklama jedna z serii. Kręcona jak film fabularny. Reklama, o której we Włoszech się mówi. Reklama nie o rodzinie, nie o separacjach, rozwodach, tylko o tym, że zakupy nie są zdarzeniem płaskim. Że mają swoje wnętrze, tło, kontekst, historię. Tylko.

Na Lampedusie – mówi Rai – trwa „rozejm”. Morze jest wzburzone. Wściekłe. Migrantów chwilowo jest mniej.

Pod Neapolem, ponad Pozzuoli, drżą Pola Flegrejskie. Drżą mocno, jak nigdy od 40 lat. Drży ziemia, pod którą gotuje się lawa gotowa wybuchnąć, kiedy zechce. ●

nesu młodego dziennikarza Jána Kuciaka i jego dziewczynę. Ba, Smer ma szansę wrócić z jeszcze cięższym bagażem, jakim będą prawdopodobni koalicjanci: prorosyjscy konserwatyści z partii Republika oraz starzy nacjonałisci ze Słowackiej Partii Narodowej. Taki sojusz na bank przebuduje w wiadomy sposób relacje władzy i policji.

Rządy autokratycznych narodowo-socjalistycznych konserwatystów mają na prawa obywatela względem policji wszędzie podobny wpływ. Obywatele bowiem zaczynają dzielić się na kategorie „nasi” i „nienasi”, przy czym tylko „nasi” cieszą się w takiej rzeczywistości względną – porządnemu, niewychylającemu się Polakowi czy Serbowi może się przydarzyć przypadkowy łomot i zgon w komendzie, ale niekoniecznie celowe, perfidne nękanie za poglądy, strój, wyznanie czy orientację seksualną – pełnią praw.

Choć, jak widać na przykładzie skrajnej wersji autokracji, ta pełnia może być iluzoryczna: podczas antylukaszenkowskich protestów w 2020 r. można było oglądać filmiki, jak OMON-owcy ciągnęli do suk obywateli wrzeszczących: „Riebiata, co wy, ja przećież za Łukaszenką!”. ●

Jak wielu autorów, nie wierzył w to, co pisał, ale pisał.

Jego przekonania nigdy nie wchodziły w konflikt z oczekiwaniami władzy i w ogóle z przekonaniami ludzi

Janusz Anderman

Nie jeden czytelnik może być zaskoczony tą wydaną przez Agorę książką, która liczy sobie 831 stron. Autor: Arkadij Bielinkow. Tytuł: „Olesza”.

Jurij Olesza to pisarz, którego książki tłumaczono także w Polsce, ale od tego czasu minęło ponad pół wieku. Powieść „Trzech grubasów” wyszła 48 lat temu. Nikt tej literatury nie pamięta.

W dodatku twórca dokonanego bez zarzutu przekładu „Oleszy” Jerzy Czech pisze we wstępie: „Ani autor książki, ani jej bohater nie mieszkają i nigdy nie mieszkali w świadomości polskich czytelników. (...) I Oleszę znają właściwie tylko rusycyści, a i to nie wszyscy; o Bielinkowie zaś nie ma co mówić, naprawdę mało kto o nim słyszał”.

Istotny powód wydania „Oleszy” wyjaśnia dopiero podtytuł: „Kapitulacja i śmierć radzieckiego inteligenta”.

To frapujące dzieło. Choć zatytułowane „Olesza” i przedstawiające życie i twórczość jego bohatera, i jest, i nie jest książką o Juriju Oleszy. Ten pisarz to tylko pretekst do opisanego strasznego zjawiska karlenia i skundlenia rosyjskich (czy radzieckich) twórców i odbiorców ich sztuki.

„Bielinkow wierzył, że mamy wpływ na to, co się z nami dzieje, i jeśli ludzie nie są wolni, to dlatego, że się na ten stan zgodzili. Mądrzy, utalentowani, wrażliwi ludzie uznali kiedyś, że w służbie idei powinni wyrzec się wolności. Wierzyć nie temu, co podpowiada im rozum i sumienie, ale ćwierć-inteligentom, którym »parę pojęć jak cepy« wystarcza, by znać recepty na wszystkie problemy” – pisze Czech.

A sam Bielinkow tak to ujmuje: „Odpowiedzialności za wszystkie świństwa tego świata nie wolno zwać na trudne okoliczności. Nie zwalajcie swojego upadku na trudne okoliczności. Człowiek może znieść wszystko. Może, ma obowiązek wytrzymać i obowiązek nie zostać łajdakiem. A jeśli nie zniósł, nie wytrzymał, to znaczy, że jest marnym człowiekiem i złym artystą”.

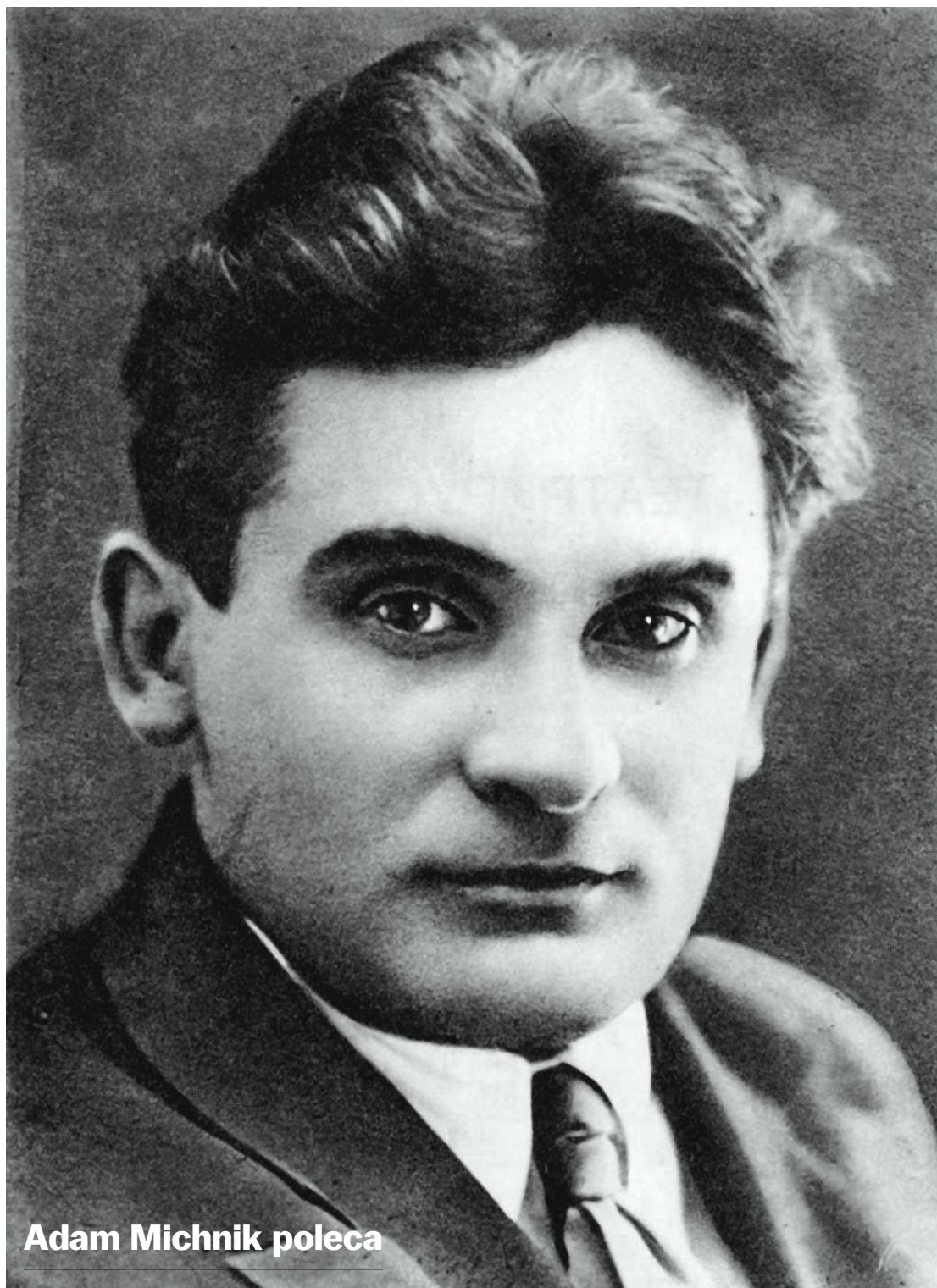
Wydawałoby się, że ta miazdząca opinia jest pewnym uproszczeniem.

W przeszłych latach, zwłaszcza stalinowskich, twórcy, i to nie wszyscy przecie, nie dlatego przyjmowali rolę parobków i fagasów, że uwiodła ich i wykorzystała „idea”. I nie dlatego bez wahania wyrzekali się wolności. Przeważająca ich część budowała swoją pozycję i dobrobyt. Ale ci, którzy wolności się nie wyrzekli, nie mieli wiele możliwości i czasu, by się nią delektować. Jak Mandelsztam, Babel i inni, kończyli żywot w łagrach.

Także tych, którzy w dzisiejszej Rosji nie chcą się wyrzec wolności, czeka marny los. Łagry dalej funkcjonują. Niepokornych ludzi nie stawia się przed plutonem egzekucyjnym, ale mogą paść od skrytobójczej kuli. Można też z łatwością ich otruć.

Oczywiście Bielinkow miał prawo do takich surowych i pełnych rozpaczycy ocen. Ale o tym później.

Parę słów o Juriju Oleszy. To urodzony w 1899 r. Polak z pochodzenia (zmarł w 1960). Ale kiedy po gehennie 1917 r., wojnie domowej i polsko-bolszewickiej rodzina zdołała się w 1922 r. przedostać do



Adam Michnik poleca

• Jurij Olesza

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Arkadij Bielinkow, **„Olesza. Kapitulacja i śmierć radzieckiego inteligenta”**, przeł. Jerzy Czech, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2021. Książka wciąż dostępna w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



UMIEJĘTNOŚĆ WĄCHANIA CZASU

Grodna, on został, bo się zakochał w 16-latce. Ta najpierw z nim zamieszkała, a potem porzuciła go dla poety i zarazem wysokiej rangi działacza, oddanego produkowaniu propagandy. Potem powędrowała w ręce jeszcze innego poety, który oczarował ją jednak nie rozdzierającymi serce strofami, ale tym, że jego podstawową działalnością była dystrybucja beczennych kartek żywnościowych. I tak dalej.

Tymczasem młody Olesza, by przeżyć, podjął pracę w redakcji pisma „Gwizdek”. Nazwę tę należy traktować z całą powagą, gdyż „Gwizdek” był centralnym organem radzieckich kolejarzy. Nie lekceważmy „Gwizdka” także dlatego, że w redakcji zarabiali też na życie tacy pisarze jak Paustowski, Bulhakow i Zoszczenko.

Olesza pisał wierszowane felietony i trzeba powiedzieć, że działał z pełnym zaangażowaniem. Jak podkreślał: „No i robi się człowiekowi wesoło na myśl o tym, że też szedł razem z tymi, którzy budowali drogę do dzisiejszych czasów”.

Dla sprawiedliwości przytoczmy zdanie odrębne Bulhakowa: „Mogę powiedzieć jed-

no, że bardziej obrzydliwej pracy nie wykonywałem przez całe swoje życie. Nawet teraz mi się ona śni. To był potok beznadziejnej, szarej nudy, nieprzerwanej i nieubłaganej. Za oknem padał deszcz”.

Przywołajmy kilka utworów Oleszy, dzięki którym wesoło szedł razem z tymi, którzy budowali drogę: „Do nieba iść – cóż za pomysł dziki! / Wszystkich nas dzisiaj brama fabryki / Wiedzie do rajy – do ziemskiego!”.

Albo ten, w którym beztłóśnie wychłostał biczkiem satyry swoich pobratymców szukających zapomnienia w baśniowym świecie: „Spіл się Sasza / Spіл się Grisza / Tak się obaj zaprawili / A gdy pysk / Rozdziawi Misza / Wódą wali na pół mili”.

Taka twórczość Oleszy przynosiła mu w młodości dużą popularność. A potem jego gwiazda rozblysła jeszcze jaśniej.

Zarobki w „Gwizdku” umożliwiły Oleszy bardziej poważną twórczość. I gdy zakochał się platonicznie w zaczytanej w Andersenie 13-latce, z którą zamierzał się później żenić, napisał dla niej w 1924 r. książkę „Trzech grubasów”, zapowiadając, że tego całego Andersena przyćmi. Widocznie nie

przyćmił, bo dziewczyna wybrała, niestety, innego pisarza, Jewgienija Katajewa (jako Pietrow pisał w parze z Iliją Ilfem).

Choć władza nie była do końca pewna, czy dobrze robi, po czterech latach zgodziła się na druk „Trzech grubasów”. Powieść przyniosła autorowi sławę, która w Rosji nie przemija do dziś. Dlaczego książka wywołała takie zainteresowanie?

Jak pisze Bielinkow: „Wygłaszane w tekście slogany są toporne nawet jak na zwyczaj radzieckie, autor dał jednak przewrotowi w (fikcyjnym) państwie Grubasów atrakcyjną, iście operetkową scenериę, mógł więc liczyć na sukces u czytelników”.

Sławny Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny (MChAT) wystawił adaptację powieści, inną adaptację przygotowano dla opery. W późniejszych latach powstały balet, musical oraz filmy – fabularny, rysunkowy i kukielkowy.

Wcześniej jednak wydał Olesza „Zawiść”. „Powieść była zaprzeczeniem postulowanego wówczas, a po kilku latach narzuconego wszystkim artystom realizmu socjalistycznego. Mimo

to (albo właśnie dlatego) wzbudziła powszechny entuzjazm” – pisze Czech.

Skąd taka brawurowa postawa? Olesza wywodził się z inteligencji, której postawa liberalna kształtowała się w okresie przedrewolucyjnym. Później za jej eksponowanie, gdy socrealizm zadekretowano, władza karała jak najsurowiej. I dlatego na ten poziom Olesza już nigdy się nie wzniosł. Sam sobie tę możliwość odbierał, publicznie wzywając pisarzy do „demaskowania w sobie inteligencckości i wyrzeczenia się raz na zawsze indywidualizmu”.

Można powiedzieć, że Olesza instynktownie nabył umiejętność wachania czasu. Z tego powodu wynosił pod niebiosa konstytucję stalinowską i bezlitośnie obnażał nicość „wrogów ludu”. Przepoczwarzył się w człowieka radzieckiego. Łatwo to zilustrować, przypominając dzieje jego bliskiej przyjaźni z wybitnym kompozytorem o polskich korzeniach Dymitrem Szostakowiczem.

„Kiedy pisałem jakąś nową rzecz, poza wszystkim było dla mnie też bardzo ważne, co o tej mojej rzeczy powie Szostakowicz, a kiedy pojawiały się nowe rzeczy Szostakowicza, zawsze chwalilem je z zachwytem” – wspominał z rozczeniem.

Pech chciał, że w organie Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, „Prawdzie”, napisano, że nowa opera Szostakowicza „Lady Makbet mceńskiego powiatu” jest „chaosem zamiast muzyki”, i mieszano kompozytora z błotem. Zatem Oleszy, jak uważał Olesza, nie pozostawało nic innego, jak z całą powagą przemówić:

„Dlatego też zgadzam się i mówię, że na tym odcinku, na odcinku sztuki, partia tak jak we wszystkim ma rację. (...) Te dziwactwa, które rodzą się z lekceważenia, nazwane zostały w »Prawdzie« chaosem i wyglupianiem się. Melodia to najlepsze, co może artysta wyciągnąć ze świata. Dopraszam się u Szostakowicza melodii, a on ją łamie w imię nie wiadomo czego i to mnie poniza”.

Sam Szostakowicz właściwie zupełnie prawidłowo odczytał ostrzegawcze warczenie „Prawdy”, a więc i opinię o swej muzyce samego Stalina. Wynikiem tego odczytania była rezygnacja z dotychczasowej drogi, zaprzestanie poszukiwań nowych środków wyrazu, zwrot ku łatwej komunikatywności, a więc ku ułatwionej formie. To mu znacznie pomogło dożyć do 1975 r., a Jurij Olesza już nie czuł się przez kompozytora poniżany.

Ponieważ artysta to najczęściej człowiek dorosły, a dorosły musi wiedzieć, co mu się podoba, a co budzi w nim wstręt, nie należy więc zwalniać go od odpowiedzialności, zwalając wszystko na smutne okoliczności” – mówi Bielinkow, ustawiając poprzeczkę artystom tamtej epoki tak wysoko, że wyżej nie można. A więc wymagając od nich heroizmu. Można by powiedzieć, że jego wymagania były i niewykonalne, i nieludzkie. Można by, gdyby nie to, że tworzył wtedy: Mandelsztam, Pasternak, Babel, Achmatowa, Platonow, Zamiatin czy Bulhakow.

To oni stanowili problem dla Oleszy i innych pisarzy. Ale być może, by uspokoić sumienie, mieli ich za szaleńców. Albo ustalili między sobą, że skoro inteligencja zaaprobowala władzę radziecką, mają wobec tej inteligencji, a więc i wobec władzy, określone szczegółowo obowiązki. A to, że wszyscy bez wyjątku zaaprobowali władzę radziecką, wiedzieli przecież z „Prawdy”.

To nie pozostaje bezkarne. Jak analizował Bielinkow: „Olesza pisał coraz gorzej, coraz mniej bowiem wierzył w to, co pisał. (...) Jak wielu ludzi podobnej konstrukcji duchowej dobre rzeczy robił wtedy, gdy tego nie zabraniano, i niezbyt dobre, gdy do tego zachęcano”.

Innymi słowy: Bielinkow opowiada w „Oleszy” o inteligencji „mającym prawdziwy talent, ale pozbawionym duchowej stałości i w związku z tym poddanym rozmaitym wątpliwościom, których amplituda i kierunek ściśle zależą od siły i kierunku

ku wiatru w danym dniu. Taki inteligent na wietrze z wielkimi przeżyciami i wielką maestrią stara się z nawiązką wypełnić normę, którą mu wyznaczyły czasy. Mówię o inteligencie-pomocniku, inteligencie-dezterterze, inteligencie-odstępcy, tchórze, zdrajcy i lajdaku wyrażającym ustrój społeczny”.

Olesza, jak wielu autorów, nie wierzył w to, co pisał, ale pisał. I dlatego Bielinkow maluje mu taką właśnie laurkę: „Olesza nigdy nie popadł w konflikt z otaczającą go rzeczywistością. I właśnie to jest dla nas drogą i cenne w twórczości świetnego pisarza radzieckiego Jurija Oleszy. Cienimy w Juriju Oleszy nie to, że był pijakiem i łgarzem, nie to, że był pozerem i fircykiem, człowiekiem niewykształconym i marnym, ale to, że był prawdziwym, prostym człowiekiem, piszącym zrozumiałym dla rządu radzieckiego językiem”.

I jak podkreśla Bielinkow, Olesza nigdy za swoje przekonania nie cierpiał. A nie cierpiał, bo jego przekonania nigdy nie wchodziły w konflikt z oczekiwaniami władzy i w ogóle z przekonaniem ludzi radzieckich. „Miał takie przekonania, jakie należało mieć”. Jak przytłaczająca większość pisarzy. A jeśli pisarz nie jest w konflikcie z otaczającą rzeczywistością, to jest żadnym pisarzem. Jest takim pisarzem, który nie widzi koszmarnych stron rzeczywistości. Jest ślepy. I kłamie.

Czy Bielinkow miał prawo być tak surowym krytykiem artystów radzieckich i radzieckiej inteligencji? Miał pełne prawo, nie tylko dlatego, że był człowiekiem odważnym i przez to bezkompromisowym.

■
*Młody Olesza, by przeżyć,
podjął pracę w redakcji
pisma „Gwizdek”, centralnym
organie radzieckich
kolejarzy.
Pisał wierszowane felietony.
„No i robi się człowiekowi
wesoło na myśl o tym,
że też szedł razem z tymi,
którzy budowali drogę
do dzisiejszych czasów”*

Od Oleszy był młodszy o 22 lata. Studiował w Instytucie Filozofii, Literatury i Historii, a potem w Instytucie Literackim. Po wybuchu wojny, w 1941 r., z powodu wady serca nie powołano go do wojska, ale skierowano do komisji, która dokumentowała zniszczenia zabytków na skutek działań wojennych.

Wtedy napisał powieść, której brulion pożyczył znajomym, a tym samym wzbudził żywe zainteresowanie NKWD. Aresztowano go w 1944 r. i zesłano do łagru. Miał niebywale szczęście, bo gdyby musiał harować, jako człowiek chory nie pożyłby długo. Ale dostał się do kółka teatralnego i do pracy w szpitalu. Pisał dalej, ale przeczuwając swoją rychłą śmierć, w 1951 r. powierzył rękopisy innemu łagernikowi, a ten z zapalem doniósł. Podczas przesłuchań Bielinkow deklarował, że jest wrogiem ustroju. Dostał 25 lat za – jak to określono w wyroku – terroryzm.

Znów dopisało mu szczęście i choć odsiedział już 12 lat, w 1956 r. wyszedł na fali odwilży. Dokończył studia, zaczął wykładać w Instytucie Literackim, pisał też recenzje. I napisał książkę „Jurij Tynianow” – o ważnym pisarzu, teoretyku literatury, krytyku i istotnym reprezentancie rosyjskiej szkoły formalnej.

Pisząc o losach Tynianowa w latach 20., kiedy ten zajmował się poetami dekabrystami, opowiedział też wiele o jego epoce. Książkę w 1960 r. zdążył wydać i pięć lat

później wznowić, ale okres odwilży dobiegł końca. Nie było więc mowy o wydaniu napisanego później „Oleszy”.

Bielinkow wyjechał do Pragi, a stamtąd, przez Jugosławię, Austrię i Niemcy, dotarł do USA. Nie był to dla niego, wykładowcy uniwersyteckiego, dobry czas. Środowiska uniwersyteckie, a zwłaszcza studenckie, zdecydowanie zwękslowały w lewo i prawdy Bielinkowa o istocie komunizmu i ZSRR uważane były za łgarstwa i antykomunistyczną propagandę.

Pamiętajmy, że było to jeszcze przed ukazaniem się na Zachodzie „Archipelagu Gułag” Solżenicyna, który wywołał na lewicy trzęsienie ziemi. Zanim to nastąpiło, z ostracyzmem środowiskowym lub niechęcią borykali się i polscy pisarze, przekonani, że od trujących oparów komunizmu uwolnili się na zawsze. Miłosz i Tyrmand w Ameryce, Herling-Grudziński we Włoszech i inni. Zbrzydzony lewicową Europą Andrzej Bobkowski w pędzie ucieczki w 1948 r. zatrzymał się dopiero w Gwatemali.

Bielinkow nie dożył wydania „Oleszy” – zmarł w roku 1970. Dzięki zabiegom jego żony książka wyszła sześć lat później w Madrycie. W Rosji, w skróconej wersji, wydano ją w roku 1997, ale to nie znaczy, że wywołała wśród czytelników entuzjazm: twórczość Oleszy była i jest żywa i burzenie przez Bielinkowa ważnego mitu nie mogło się spotkać z aprobatą. Ale recepcja książki

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Tomasz Łubieński*

Polski Teatr

Tomasowi Venclovie

*są wszyscy chyba że kogoś już nie ma
to tym gorzej dla niego bo powinien być
chyba że umarł wtedy usprawiedliwiony
a szkoda pasowałby nam do towarzystwa
kilka osób się spóźnia to niedopuszczalne
zwłaszcza że grzebią cały czas w komórkach
to po co przyszli przez komiczny snobizm
nie pasjonuje ich przecież poezja
a wyjątkowo na tej teatralnej sali
poezja stoi ponad polityką
która dla młodych wilków zawsze głodnych władzy
i starych którym władza odejmuje lat
czy ją posiedli czy jej pożądamy
jest poezją ich życia lubczykiem absyntem
ale tu inna publiczność góruje
która nie od przedwczoraj chodzi po tym świecie
każdy nosi chorobę która go pokona
jednego z drugą prędzej albo później
ale się orientuje co ile jest warte
poeta którego imię nosi ta nagroda
patrzy ze szczytu Olimp na nasze spotkanie
z uśmiechem moralistów bili się o niego
zwyciężyła Kaliope bogini poezji*



FOT. JACEK ŁAGOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tomasz Łubieński – ur. w 1938 r., pisarz, historyk, eseista, dramaturg. Wydał m.in.: „Bić się czy nie bić?”, „M jak Mickiewicz”, „Wszystko w rodzinie”, „Ani tryumf, ani zgon. Szkice o Powstaniu Warszawskim”, „1939. Zaczęło się we wrześniu”. Wieloletni redaktor naczelny pisma „Nowe Książki”.

13 września w Teatrze Polskim w Warszawie Tomas Venclova, któremu dedykowany jest wiersz, odebrał Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Zbigniewa Herberta za rok 2023.

w Rosji to przecież dla nas sprawa naprawdę drugorzędna.

Ważne jest pytanie: dlaczego mamy Bielinkowa czytać dzisiaj? Argumentem za lekturą jest waga przemysłu autora: po wyrzeczeniu się przez pisarzy wolności nie ma mowy o literaturze. Bielinkow uważał bowiem, z czym trudno się wobec tak opresyjnego kraju jak Rosja zgodzić, choć zgodzić się trzeba, że ludzie sami wyzuli się z wolności. Że zwyciężyła służba idei, a ściślej mówiąc – ideologii. Oddając się podobnej służbie, służy się złu.

Taka diagnoza jest oczywista, także tu i teraz. Jak pisze Jerzy Czech:

„Nie są to wcale oczywistości, zwłaszcza teraz, kiedy tyłu naszym rodakom wolność wydaje się obojętna, a jej brak – nawet atrakcyjny. My zaś, którzy wolność cenimy, dzisiaj w obliczu jej utraty pamiętajmy o człowieku, który wolności oddać nie umiał i w jej imię wolał narazić się nawet na śmierć. I warto mieć w pamięci jego biblijnym stylem wypowiedziane przesłanie, że pogardy godzien jest »ten, kto niewolę wybrał. Albowiem zamienił najważniejszą rzecz daną myślącemu ciału – wolność – na żalosną jałmużnę swego pana«”.

„Rosjo, dokądże pędzisz, daj odpowiedź?” – tak pytał kiedyś Gogol.

A dziś? Czy tylko Rosja pędzi gdzieś tam w tumanach kurzu, wśród wrzasków i pohukiwań, we mgłę niepojętego obłędu? ●

Polski katolik naprawia błąd Jezusa

Polska dusza nie chce nagrody w niebie, chce zysku doczesnego.

Marcin Matczak



Czy istnieje jeszcze polska dusza, o której eseje tworzył intelektualny guru PiS prof. Legutko? Zadaję to pytanie w środku dyskusji o „Zielonej granicy” i po tym, jak biskupi powiedzieli katolikom w „Vademecum wyborczym”, na jakie partie nie wolno im głosować.

Pytanie o duszę jest naiwne, bo mimo imponujących na papierze procentów katolików w Polsce duża ich grupa zachowuje się tak, jakby w nią nie wierzyła. Albo jak pokazują reakcje na to, co dzieje się na granicy z Białorusią, nie miała problemu z tym, że zaprzedała ją diabłu. Może w głębi duszy w piekło nie wierzy, więc się nie martwi.

Sprawa „Zielonej granicy” pokazała, że jeśli nawet polska dusza jest, to jest brudna. To dusza pseudochrześcijańska, która pomaganie traktuje jak naiwność, a gdy widzi prawdę, zakrzyrzy ją i wyrzuci za drut, żeby u nas nie było trupów. Polska dusza jest duszna, zamknięta, gardząca drugą duszą. Ale ją Episkopat rozgrzeszy – jest wszak za życiem poczętym, ale już nie w bagnie utopionym. Na partię dopuszczającą aborcję głosować nie pozwala, ale z tą, która dzieciom już narodzonym pozwala zamarzać w lesie, problemu nie ma, bo o tym nic w „Vademecum” nie pisze.

Jest nasz Episkopat jak Wielki Inkwizytor z „Braci Karamazow”. Do średniowiecznej Sewilli przybywa Jezus, czym psuje szyki tamtejszemu Jędraszewskiemu, tylko takiemu bardziej demonicznemu. Mówi on Jezusowi: „Dlaczego przyszedłeś nam przeszkadzać? My tu sobie wszystko ułożyliśmy bez ciebie”. I opowiada mu o pseudochrześcijaństwie, które udało im się wdrożyć.

Sewilski Jędraszewski z kolegami naprawił błąd Jezusa, który ich zdaniem źle zareagował na trzy kuszenia diabła na pustyni: odtrącił ziemski chleb, bo nie nim samym człowiek żyje, odmówił cudu, bo nie rzucił się z dachu świątyni, by ratowali go aniołowie, i nie chciał władzy nad doczesnym światem. Ołtarz dostrzegł w tym szansę, bo wie, że normalni ludzie za chleb oddadzą wolność, że bez cudu, jak niewierny Tomasz, nie potrafią uwierzyć i że potrzebują autorytetu, bo sami nie umieją dokonywać wyborów. „My posłuchaliśmy tego mądrego ducha, który cię kusił” – mówi Inkwizytor. Daliśmy ludziom ziemski chleb, cud i autorytet władzy.

Z chlebem sprawa jest jasna. Oportunistyczna polska dusza głosująca na tych, którzy dają więcej, nie chce nagrody w niebie – chce zysku doczesnego. „Nad wolnością ludzi zapanuje tylko ten, kto uspokoi ich sumienie” – mówi Inkwizytor. „Proponując Ci chleb, dawano tym samym sztandar, hasło pewne, bezsporne: dasz chleb, i człowiek się pokłoni, bo nie ma nic bardziej bezspornego niż chleb”.

Silna ręka władzy też jest oczywista: polska dusza nie może trwać w niepewności. Ma patriotyczną nerwicę, a nerwica, jak uczył Freud, nie znosi dwuznaczności. Potrzebuje autorytetu, który ją usunie, wskazując, kto jest dobry, a kto zły, kto jest Polakiem, a kto zdrajcą.

Episkopat temu przykłaśnie. O tym, że wybranej władzy trzeba się podporządkować,

w „Vademecum” napisze, ale o tym, że goebbelsiki z mediów publicznych uczciwość wyboru przekreślają, już nie. „Ludzie przyjmą decyzje nasze z radością, bo to uwolni ich od tego, co obecnie doskwiera im tak bardzo i przysparza cierpień: od decyzji moralnych osobistych i wolnych”.

Masochistyczna jest ta polska dusza, jak u Fromma: poddać się chce czemuś większemu od siebie, zatopić indywidualność w tłumie. Chce „cześć oddawać temu, co jest już bezsporne, pewne, tak pewne, żeby wszyscy ludzie naraz zgodzili się oddać temu pokłon, temu służyć!”.

Ale co z tym cudem, którego kuszony Jezus odmówił? Mówi Inkwizytor, że wiara bez cudu jest za trudna. „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli”, ale takich jest mało. Lud chce cud widzieć jak fajerwerki. Bez nich ta chrześcijańska impreza mu się nie podoba.

„Przyjmując radę potężnego ducha, mógłbyś spełnić wszystko, czego szuka człowiek na ziemi: dać mu to, co będzie czcił, tego, komu będzie mógł ofiarować sumienie i wskazać, w jaki sposób wszyscy ludzie będą się wreszcie mogli połączyć w jedno wspólne, całkowicie zgodne i jednomyślne mrowisko”.

I Episkopat z władzą dają im cud – Polskę bez zmały poczętą. Polskę zawsze dziewicę, w którą wierzą mocniej niż w chrześcijaństwo. I już nie słyszą płaczu dzieci w lesie, bo im go szelest skrzydeł husarii zagłusza.

Ta Polska jest dla nich jak matka dla rapców – nie wolno jej obrażać, bo jest tylko jedna. Nie zobaczą więc „Zielonej granicy”, bo to tak, jakby oglądali jakąś kazirodczą pornografię. Świętość im się rozpada, bo Matka Ojczyzna przedstawiona jest tam w sytuacji co najmniej dwuznacznej. A na to pozwolić nie można. Nie wiedzą, że nie da się dojrzale kochać, jeśli nie widzi się kogoś w pełni człowieczeństwa, które jest i dobre, i złe jednocześnie.

Polska dusza chce w cud wierzyć i dwuznaczności nienawidzić. Dlatego Agnieszce Holland polskości odmawia. Bo ona może w dwuznaczności spokojnie trwać, pokazując i polskie dobro, i polskie zło, rozważając, czego w nas więcej. A polska dusza żadnej skazy na sobie nie zniesie. To jakaś wersja kompleksu madonny ładacznicy: albo jest Polska czysta, albo godna pogardy. Jak w tym kompleksie czai się tu jakiś łęk przed kastracją: że jak tego ideału się nie obroni, to koniec z polskością, jak z męskością.

Jest więc ta polska dusza, ale jakby jej nie było. Małostkowa, jak dusza Andrzeja Dudy: nadepta, sztuczna, wulgarna. Jak trzeba, inne dusze od świni wyzwie. Obolała jak księża w Dąbrowie Górniczej: zgrzeszyła, ale nie przeprosza, nie ofiarami się zajmuje, tylko sobą. A ci, którzy w lesie pomagają, choć może w tę duszę nie wierzą, bardziej starają się ją zachować niż patriotyczni pseudochrześcijanie.

Ci zamiast pomagać, zawsze gotowi są przywalić. Mówi sewilski Jędraszewski założycielowi chrześcijaństwa:

„Jutro zobaczysz to posłuszne stado, które na moje pierwsze skinienie rzuci się, aby podgarniać rozżarzone węgle przy stosie, na którym spalą Cię za to, że przyszedłeś nam przeszkadzać. Bo jeśli ktoś już naprawdę zasłużył na nasz stos, to właśnie Ty, nikt inny”.

No i te węgle ochoczo podgarniają, nie zauważając, że sami się na nich smażą. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl. Wciąż dostępna również poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**”

Świnie

Podjęliśmy grę, którą oni nam narzucili. Zamiast oburzenia wybraliśmy ironię, śmiech i chrumkanie.

Michał Rusinek



W 2015 roku Jarosław Kaczyński – wierząc w moc sprawczą swojego języka – podzielił nas na dwa sorty, a w każdym razie powiedział, że w Polsce „istnieje fatalna tradycja zdrady narodowej”, która „jest jakby w genach niektórych ludzi, tego najgorszego sortu Polaków”. Określenie „sort” stało się jednym z fundamentalnych słów „dobrej zmiany” (pisaaliśmy o nim z Katarzyną Kłosińską w książce „Dobra zmiana, czyli jak się rządzi światem za pomocą słów”). Po pierwsze, jest rusycyzmem, we współczesnej polszczyźnie używanym dość rzadko, a jeśli już, to w odniesieniu do towarów na sprzedaż, nie ludzi – jest więc dehumanizujące. Po drugie, wprowadza wartościujące podziały w społeczeństwie, oparte na antytezie (bohaterowie – zdrajcy). Po trzecie, Kaczyński uzurpuje sobie prawo do wprowadzania tych podziałów, ale zarazem twierdzi, że są one genetycznie uwarunkowane, więc wystarczy je dostrzec: jego sokole oko je widzi. ●

Wypowiedź Kaczyńskiego wśród przeciwników PiS-u wywołała nie tylko oburzenie, lecz także reakcje ironiczne, głównie w formie deklaracji przynależności do owego „najgorszego sortu Polaków”. Ludzie z dumą nosili koszulki, torby i przypinki z napisem „Jestem gorszego sortu”. Kłopot z ironią polega na tym, że nie jest to figura, która daje się łatwo zauważyć. Ba, w ogóle jej nie widać, jeśli się nie dostrzeże zapowiadającego ją mrugnienia okiem czy cudzysłowu. Nie poprzedza jej przecież ostrzeżenie: „Uwaga! To, co za chwilę powiem, jest ironiczne!”. Ironia jest grą, w którą nie wszyscy chcą i nie wszyscy potrafią grać. Nie ma się więc co dziwić, że ironiczne deklaracje przeciwników PiS-u bywały traktowane jako nieironiczna samoocena, a nawet samokrytyka. Co więcej, jakkolwiek – ironiczna czy nieironiczna – deklaracja przynależności do narzuconych przez polityka kategorii zawsze będzie potwierdzać zasadność ich narzucenia i zawsze będzie czynić nas pionkami w grze, której reguł w ogóle nie powinniśmy akceptować. ●

W ostatnich dniach, po premierze filmu Agnieszki Holland „Zielona granica”, Jarosław Kaczyński znów wrócił do tej samej gry. Powiedział bowiem, że film jest haniebny, że oni – czyli PiS – stoją „murem za polskim mundurem” i że do filmu oraz wypowiedzi jego reżyserki należy się ustosunkować, to znaczy albo go poprzec, albo potępić: „Pamiętajmy, że każdy, kto się nie ustosunkuje do tego wszystkiego, nie potępi tego wszystkiego, znajduje się po

tej jednej, wyraźnej stronie. To jest strona antypolska, skrajnie antypolska (...). Jeśli ktoś to chce poprzec, to będzie miał okazję w najbliższych wyborach, ale ja wierzę, że ogromna większość Polaków tego nie chce i tego nie poprze, a ci, którzy w ten sposób postępują, zostają odpowiednio moralnie ocenieni”.

Do ataku na film dołączył także prezydent Andrzej Duda: „Nie dziwię się, że funkcjonariusze Straży Granicznej, którzy zapoznali się z tym filmem, użyli tego hasła »Tylko świnie siedzą w kinie«, znanego nam z czasów okupacji hitlerowskiej, kiedy w naszych kinach pokazywano propagandowe filmy hitlerowskie” – powiedział w TVP w programie „Gość Wiadomości”. Po fali oburzenia na posłuszenie się dehumanizującym, a zarazem okupacyjnym hasłem ruszyła lawina ironii. Niektórzy pisali o sobie, że są świniami, inni zmieniali sobie zdjęcie profilowe na Facebooku na zdjęcia uroczych prosiaczków lub grafikę Marty Frej przedstawiającą świnie z napisem „Kocham kino”. Powstały dziesiątki ironicznych rymowanych hasel inspirowanych oryginalnym: „Tylko bawoły chodzą do szkoły”, „Tylko nietoperze siedzą w operze”, „Tylko krety chodzą na balety”, „Tylko jamniki słuchają muzyki”, „Tylko strusie siedzą w autobusie”, „Tylko labędzie chodzą wszędzie” czy „Tylko mule nie chodzą w ogóle”. Aktorzy odbierający nagrody na festiwalu filmowym w Gdyni także mówili ironicznie: „Zamilkłam na chwilę, bo wydawało mi się, że usłyszałam na sali chrumkanie. A to oddech wolności!” (Kinga Preis), „Byłem na premierze (...) filmu Agnieszki Holland »Zielona granica«. Spotkała mnie dziwna sytuacja (...). Wszedłem do kina, stanąłem na środku i myślę: »Coś jest nie tak. Tam siedzą ludzie!«” (Robert Więckiewicz). ●

Słowem: śmiechu było co niemiara, zwłaszcza że festiwalowa gala transmitowana była przez TVP Kultura. Ale najbardziej śmiali się zapewne pan prezydent i pan wicepremier, bo ich cel został osiągnięty: podjęliśmy bowiem grę, którą oni nam narzucili. Zamiast oburzenia wybraliśmy ironię, śmiech i chrumkanie. Co więcej, nie zauważyliśmy, że wyśmiewanie się z hasła: „Tylko świnie siedzą w kinie” jest pośrednio wyśmiewaniem się z dywersyjnej akcji Armii Krajowej – a ściślej Organizacji Małego Sabotażu „Wawer” – która miała na celu zniechęcić Polaków do chodzenia do kina, ponieważ każdy seans filmowy poprzedzała propagandowa kronika wysławiająca czyny hitlerowców. Ba, jest także wyśmiewaniem się z męczeństwa tych, którzy za rozrzucanie ulotek z tym hasłem byli więzieni, torturowani i mordowani przez hitlerowców. Choć tak naprawdę to użycie tego hasła przez prezydenta RP w kontekście filmu Agnieszki Holland było przecież skandalicznie niestosowne. I to ono powinno nas oburzać.

Niestosowne jest też zauważanie z satysfakcją, że przywołana przez Dudę akcja polskiego podziemia okazała się nieskuteczna, więc i ta z pewnością taka będzie, bo przecież wygramy te wybory. Obawiam się, że ironią ich nie wygramy. ●

winni

Wczytaj się i nie daj sobą manipulować.
Subskrybuj Wyborcza.pl

 **wyborcza.pl**

Z PROF. DR. HAB. **KRZYSZTOFEM NOWICKIM**, ARCHEOLOGIEM Z INSTYTUTU ARCHEOLOGII I ETNOLOGII POLSKIEJ AKADEMII NAUK, OD 40 LAT BADAJĄCYM KULTURĘ STAROŻYTNEJ GRECJI, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Idzie pan przez wzgórza na Krecie, znajduje fragment naczyń, o którym wie pan, że jest czymś znacznie starszym i cenniejszym niż kawałek psiej miski wyrzucony przed tygodniem przez pasterza, i co pan czuje?

– Wie pani, w praktyce to trochę inaczej wygląda. Archeologia to nie jest „Indiana Jones”.

Najpierw w daną cywilizację czy obszar wchodzi się poprzez studia, dopiero potem z tą nabytą wiedzą idzie się w góry. I to chodzenie nigdy nie jest przypadkowe. Jeśli – dajmy na to – szukam miejsc kultowych, gdzie odbywały się rytuały religijne, to robię to w konkretnych rejonach, bo wiem, że je tam znajdę. Jeśli szukam wcześniejszej osady z okresu neolitycznego – co dla obszaru Morza Śródziemnego oznacza sprzed trzech tysięcy lat przed naszą erą – to szukam ich gdzie indziej. Typuję – tego powinienem się spodziewać tu, tamtego – tam. Choć, oczywiście, zdarzają się wyjątki. I chyba na tym polegają najistotniejsze odkrycia.

Na zaskoczeniu?

– Na tym, że odkrywa się coś, co teoretycznie nie powinno się w danym miejscu znajdować. Kiedy się okazuje, że jakiś model, który stworzyliśmy, jest nieidealny, bo nie zrozumieliśmy wszystkiego. I że na przykład ludzie sprzed tysięcy lat nagle założyli osadę w bardzo dziwnym, niesprzyjającym miejscu, dajmy na to na klifie. Zaczynamy się zastanawiać dlaczego i modyfikować te wcześniejsze założenia.

Moim pierwszym przewodnikiem po Krecie był profesor Rutkowski, którego interesowały przede wszystkim miejsca kultu. Szukałem ich razem z nim, uczyłem się od niego. Po kilku takich wizytach narodziła się we mnie myśl: no dobrze, skoro już znam te sanktuaria, to może spróbuję zrozumieć tych ludzi z przeszłości?

I jak pan próbował ich zrozumieć?

– Leżałem w śpiworze gdzieś na odludziu, patrzyłem na sylwetkę góry naprzeciwko, jeszcze ją księżyc tak ładnie dookreślał, i się zastanawiałem: gdybym był nimi, to gdzie bym takie sanktuarium założył? Może właśnie tam? Następnego dnia wdrapywałem się na taki upatrzony szczyt i często to sanktuarium znajdowałem. A tam: figurki gliniane, fragmenty naczyń, głównie kubków. To była największa satysfakcja.

No i właśnie o ten moment mi chodziło. O to, co się wtedy czuje.

– Wtedy czuję się bardzo blisko tamtych ludzi. Nawet jeśli żyli te tysiąc, dwa czy trzy tysiące lat temu.

W archeologii w ogóle za bardzo moim zdaniem zwracamy uwagę na przedmioty, szczególnie te ładne, artystyczne, albo na wartość finansową, a za mało na człowieka. Miejscowi często mnie pytają: znalazłeś coś wartościowego? Odpowiadam: pełno wartościowych rzeczy. Ale im chodzi o to, ile na tym można zarobić. Na rynku najczęściej to nic nie jest warte, jeśli jednak chodzi o zrozumienie naszej przeszłości, jest bezcenne. I gdy zaczynam miejscowym w ten sposób o tym opowiadać, to widzę, jak coś w nich pęka. Zaczynają myśleć o tym, jacy byli tamci ludzie i że w gruncie rzeczy byli tacy jak my. Mieli swoje pragnienia, marzenia, bywali szczęśliwi, dotykały ich tragedie.

To samo ktoś inny będzie myślał o nas za te trzy czy pięć tysięcy lat.

Zależy, co po nas pozostanie.

– Nawet jeżeli nic tak indywidualnie po mnie czy po pani, to coś zostanie po naszym świecie. Ruiny miasta, w którym mieszkamy. Pozałością jakiegoś mostu, cmentarza.

Chyba że cały nasz świat ulegnie digitalizacji i pochówki też się staną cyfrowe. Wtedy już nic po nas nie będzie.

– No i to jest problem. Widzę to na co dzień. A szczególnie mnie dotyka, kiedy wracam z tego świata, gdzie ludzie, głównie pasterze i rolnicy, żyją nadal dość tradycyjnie. Wchodzę do metra czy do autobusu i zauważam, że każdy, kto wchodzi ze mną, zwłaszcza ci młodszy, od razu szuka, gdzie by tu usiąść, wyjąć telefon. To strasznie izoluje. Ktoś może potrzebować pomocy pięć metrów dalej, ale taki człowiek tego nie zauważy. Dlatego trzeba ratować z tego świata, co się da.

Jak?

– Rozmawiać z ludźmi. Pokazywać alternatywę. Czasem udaje mi się wyrwać z tego wirtualnego świata moich studentów albo dzieci znajomych. Mówię im, jak przejeżdżają na Kretę: „Chodźcie, zanocujemy w górach, na zewnątrz. Zobaczcie, jak to jest. Zobaczcie gwiazdy, jakich normalnie nie widzicie w mieście. Może trochę zmarzniecie, może trochę zgłodniejecie”. Wracają potem do tych swoich telefonów, do gier, ale coś w nich z tego pozostaje. Czasem na całe życie. Wiem, bo niektórzy z nich są dziś dorośli i wciąż wspominają: „Krzysztof, a pamiętasz, jak zabrałeś nas do tego wąwozu? Na tę górę?”. Tak samo we mnie zostały wspomnienia czasu spędzonego z dziadkiem, rozmów z nim.

Od każdego z nas zależy, co zostawimy przyszłym pokoleniom. Niezależnie od tego, jakie mamy wykształcenie, zawód, wszyscy bierzemy w tym udział – my naukowcy, my nauczyciele, my dziennikarze, my politycy.

Na czym panu zależy?

– Żebyśmy nie byli egoistami. Bo stajemy się nimi coraz bardziej i coraz szybciej. A świat wirtualny tylko to przyspiesza, ponieważ ogranicza naszą rzeczywistość do tego małego okienka. Ta choroba – w sensie: ten egoizm – toczy też naukę. Wymagają od nas teraz, żebyśmy przynosili punkty za publikacje w pismach naukowych. Wrzuca się naukowców do takiego wora produkcyjnego i nie ma znaczenia, co wnosimy, tylko czy nabijamy punkty w pismach, które są uznawane za właściwie, czyli za NASZE. Te punkty też są przydzielane przez osoby, które są NASZE, za to często są niekompetentne. Tak samo jest przy wyborach ciał koleżeńskich. Wybiera się NASZYCH, nie tych doświadczonych, sensowniejszych, uczciwszych. I tak to idzie, od politycznej góry po sam dół.

Jeżeli chcemy uratować coś z tego świata, musimy być inni. Lepsi.

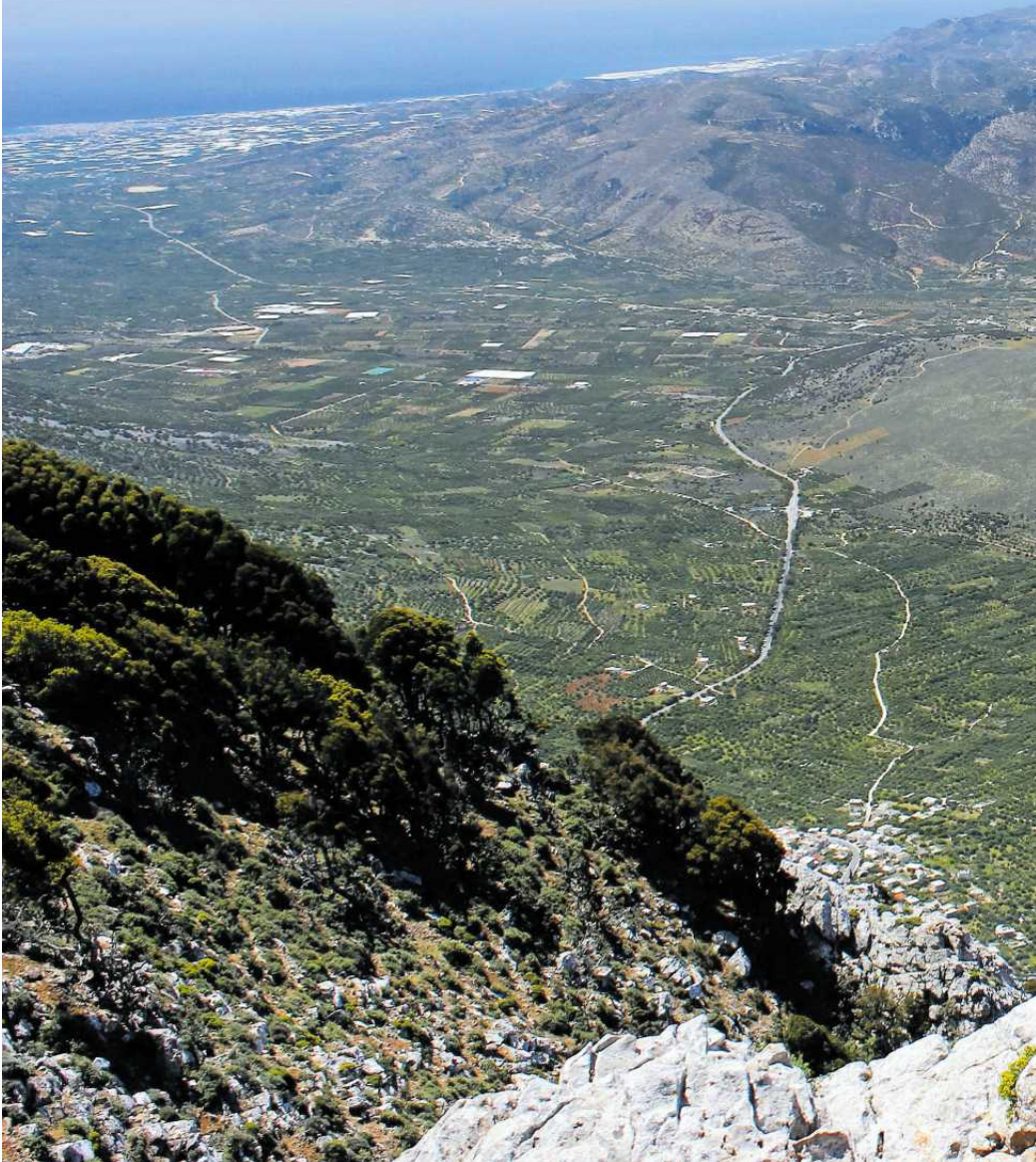
W książce pt. „Kreta. Wyspa, gdzie żyje się teraz” mówi pan autorom Magdzie i Markowi Tokarskim, że chciałby pan pokazać, jak można „przetłumaczyć nieme kamienie na ludzkie życie”. Jak się to robi? Jak na podstawie znalezionej łupiny, figurki można określić, co ten człowiek sprzed wieków jadł, co pił, jak żył?

– Co jadł i co pił – to akurat najłatwiejsze. Bierz się do analizy ziemię, która znajdowała się w środku lub wokół znajdującego naczynia albo z paleniska. I później, odpowiednio ją traktując, czyli płucząc, przesiewając, dociera się do zwęglonych drobinek. Tam mogą być różne rzeczy: nasiona, ziarna, na przykład soczewicy, pszenicy, żyta. Mogą być też ślady tłuszczu zwierzęcego, po wyrobach mlecznych, co świadczy o tym, że prawdopodobnie tego naczynia używano do wyrabiania albo przechowywania serów, i tak dalej.

Określenie tego, jak ci ludzie żyli, jest trudniejsze. Ono było łatwiejsze kiedyś, jeszcze nawet te 30-40 lat temu, bo wtedy rolnicy czy pasterze na Krecie używali podobnych metod jak ich dziadkowie, pradziadkowie i prapradziadkowie. Mówili mi – wiesz, tego sera się tak nie robi, potrzebujesz innego naczynia, tamto służyło do czego innego. Albo – owce w takim suchym miejscu by ci zdechły, one musiały się paść gdzie indziej. Mój pradziadek robił to tak, moja prababcia – tak.

CZYJE USTA DOTYKAŁY TEJ CZARKI

Jak leżę w śpiworze tam, na Krecie, dużo myślę o ludziach, których już nie ma. Także o tych mi bliskich, których znałem. I oni są już w takiej samej relacji ze mną jak ci, po których te skorupy sprzed tysięcy lat odnajduję.



Czyli tę wiedzę, która przetrwała do dziś, można nałożyć na przeszłość i w ten sposób próbować ją rekonstruować?

– Niestety, ta wiedza zanika, tym szybciej, im bardziej świat przyspiesza. Kiedy zaczynałem, niewielu pasterzy miało samochody, głównie osiołki albo muły. Telefonów nie było. W górskich rejonach w ogóle nie było elektryczności. Do tej pory w wielu miejscach jej nie ma, ale zmiana technologiczna, jaka zaszła, jest niebywała, i wie pani, co się stało?

Nie ma pan z kim już o tym rozmawiać?

– Otóż to. W latach 80., 90. zeszłego wieku brałem plecak, szedłem w te góry i mogłem tam siedzieć miesiąc bez schodzenia do miast. Mieszkalem z pasterzami w ich chatach, rozmawiałem z nimi, bo nauczyłem się greckiego, robiłem notatki, rysunki. Teraz jak tam idę, nikogo nie ma.

Chaty są puste. Kiedy chcę przenocować, proponują mi, że mnie zabiorą do wsi samochodem. – Gdzie ty będziesz chodził? – mówią. A ja chcę, tak jak z ich dziadkami, usiąść w nocy, podziwiać niebo, rozmawiać.

Analiza naukowa tego, co się znajdowało w danym naczyniu czy w palenisku, jest ważna, ja się jednak staram wejść trochę głębiej.

Kiedy znajduję jakieś naczynia, figurki czy narzędzie kamienne, zaraz się zastanawiam: kim był ten człowiek, który je zrobił? Ile czasu nad tym spędził? Kto z tego naczynia potem korzystał? Kto go dotykał rękoma, ustami?

Jeśli to figurka – kogo przedstawia? Kto się do niej i o co modlił? Dla mnie te przedmioty są łącznikami z tamtym światem. Nie traktuję go jako czegoś bardzo odległego, co później tylko wypełni moje publikacje. Sta-

ram się przenieść w tamten okres. Czasem to są bardzo silne doznania.

Teleportuje się pan?

– Kiedyś miałem sen, fantastyczny! Właściwie to był taki ni to sen, ni mara. Zresztą przyśnił mi się na tym samym stanowisku, na którym dziś kopiemy, w Karfi, we wschodniej Krecie. To stanowisko na szczycie góry, 1100 metrów nad poziomem morza. Spałem tam sobie kiedyś i w środku nocy wydawało mi się, że się już obudziłem, lecz to dalej był sen. I co słyszę? Że cała osada ożyła! Ogromny gwar, głosy dzieci, kobiet, mężczyzn, krzyczących, nawołujących się, śmiejących. Nie widziałem ich, ale świetnie ich słyszałem i czułem. Nie potrafiłem tylko rozpoznać, w jakim języku mówią. Mogę nie znać chorwackiego czy szwedzkiego, ale na ucho od razu je pogrupuję – to język słowiański, to nordycki. Ale tego języka nie potrafiłem przyporządkować do żadnej grupy.

Jak pan myśli, dlaczego akurat wtedy przyśnił się panu taki sen?

– Dużo wtedy pracowałem nad rekonstrukcją tej osady. Robiłem masę rysunków. Rysowa-

Rozumiem mniej więcej, jak się stwierdza, czy w danym naczyniu była oliwa, czy wino, ale jak to się dzieje, że można ustalić, w jakich relacjach ze sobą byli tamci ludzie, co myśleli?

– Parę tygodni temu kopaliśmy tę osadę w Karfi, o której pani wspomniałem. Mamy odkopaną większą część domu mieszkalnego. W środku odkryliśmy palenisko – ładne, z twardej, wypalonej gliny, na takiej jakby wykładzinie z potłuczonych naczyń. Istniało tam prawdopodobnie przez 200 lat, od 1200 roku p.n.e. do 1000 p.n.e., jak i cała osada. Ale jak zaczęliśmy kopać głębiej, to pod spodem, nieznacznie przesunięte, odkryliśmy inne palenisko, 500 lat starsze. Między tymi dwoma paleniskami nie ma żadnej kontynuacji. I teraz: co to oznacza? Czy ci ludzie, którzy zbudowali tu dom w XII wieku p.n.e., widzieli, że tam były ślady wcześniejszego paleniska? Pięćset lat to tak, jakbyśmy się teraz cofnęli do potopu szwedzkiego albo jeszcze wcześniej... Czy może przeszła im przez głowę myśl: o, tu przed nami musieli być inni ludzie, jakoś to czujemy, więc będziemy kontynuowali tę tradycję? Nie wiem. Nie mam na to dowodów, ale

Z czego wynika, pana zdaniem, to ludzkie poszukiwanie ciągłości?

– Jak się trochę poczyta takiej bardzo starej literatury, to tam ciągle przewija się motyw, że „kiedyś było lepiej”, „kiedyś był złoty wiek, a teraz?”. Nasi dziadkowie też mówili: „a jak my byliśmy młodzi, to było inaczej”, w znaczeniu – lepiej. Mnie też, jak sobie przypomnę swoje dzieciństwo, wydaje się, że światło było jakieś jaśniejsze, słońce lepiej świeciło.

Ha, ha. Naprawdę?

– Jak jestem w tych samych pomieszczeniach, w tych samych miejscach, to wydaje mi się, że teraz jest tam ciemniej. I nie chodzi tylko o to, że wzrok się z wiekiem pogarsza. Mimo że kiedyś życie było trudniejsze, biedniejsze, gorsze, zapomina się o tym, co złe, i myśli, że było jakoś piękniej. Sama koncepcja raju ma podobne korzenie, prawda?

Co pana w ogóle pociągnęło do tych ludzi sprzed kilku tysięcy lat?

– Miałem dwie miłości w życiu, jeśli chodzi o moje zawodowe zainteresowania. Do mniej więcej 14. roku życia to były zwierzęta. Jak



• Krzysztof Nowicki na szczycie góry Kapsa, ponad zatoką Mirabello – wschodnia Kreta. Niedaleko stanowiska Katalimata, o którym opowiada.

FOT. KRZYSZTOF NOWICKI

wałem też ludzi, wtapiałem ich w krajobraz, żeby te szkice trochę ożywić. Miałem tę osadę całą w głowie. I ten gwar, który usłyszałem, bardzo do tej rekonstrukcji pasował. Poza tym jak jest pani w domu, to tu gra radio, tam telewizor, tu ktoś zadzwoni, tam coś przejedzie, trzeba posprzątać, zakupy zrobić. Nie ma czasu na myślenie. A jak człowiek przebywa przez dłuższy czas na odludziu i kładzie się wcześniej do śpiwora, to w głowie robi mu się miejsce na różne rzeczy. I jak jestem tam, na Krecie, bardzo dużo myślę o ludziach, których już nie ma. Także o tych mi bliskich, których znałem. I wie pani co? W tej chwili oni są już w takiej samej relacji ze mną jak ci, po których odnajduję te skorupy sprzed tysięcy lat. Na moich przyjaciół, którzy zmarli pięć czy dziesięć lat temu, patrzę właściwie tak samo jak na tych sprzed dwóch czy trzech tysięcy lat.

takich myśli w czasie wykopalisk pojawia się wiele. I w zależności od liczby takich zbiegów okoliczności przyjmuje się różne założenia. Z badań wielu innych znalezisk wiemy, że zawsze była jakaś świadomość przeszłości, że tamci ludzie mieli do minionych pokoleń szacunek. Myśleli o nich, szukali ich śladów. Nie tylko my, którzy teraz sobie po różnych archiwach szukamy przodków, co się w ostatnich latach stało bardzo modne.

Już nie tylko rozrysowuje się drzewa genealogiczne, ale też wysyła swoje DNA do specjalnych laboratoriów.

– Tamci ludzie też byli ciekawi tego, kto był przed nimi. Dawni chrześcijanie poszukiwali szczątków pierwszych świętych, starożytni Grecy robili dokładnie to samo, szukali szczątków swoich mitologicznych przodków.

byłem mały, mówiłem wszystkim, ku wielkiej ucieście mojego brata, że zostanę dyrektorem zoo.

Miał pan jakieś zwierzęta domowe?

– Wszystko miałem: psa, kanarki, żółwie, rybki, chomiki. Rodzice nie protestowali, mimo że tata raz na żółwiu się wyrócił, a chomik podpadł, bo obgryzł dywan.

Kiedy miałem 14 lat, do zainteresowania zwierzętami doszła historia. I bardzo szybko na pierwszy plan wysunęła się historia starożytna.

Miał pan jakiegoś wyjątkowego nauczyciela albo jakąś nauczycielkę, którzy w panu rozbudzili to zainteresowanie?

– W podstawówce nie. Ale zawsze kupowałem dużo książek. Niedaleko miejsca, gdzie teraz rozmawiamy, jest księgarnia im. Żeromskie-

go. To była moja świątynia, tam się zaopatrywałem. Najpierw kupowałem książki o zwierzętach, a potem nagle, ni stąd, ni zowąd, zainteresowały mnie książki o starożytnej Grecji, starożytnym Rzymie, później o archeologii. W liceum miałem już fantastyczną nauczycielkę historii. I ona nauczyła mnie traktować naukę poważnie. Nie tak po lebkach, żeby tylko się nauczyć, zdać egzamin i zapomnieć.

I co tego 14-letniego chłopca tak zafascynowało w starożytności?

– W zasadzie wszystko – kultura, sztuka, architektura, sprawy polityczne. Na początku pochłaniałem księgi rzymskiego historyka Tytusa Liwiusza, w których opisał historię starożytnego Rzymu. To było wspaniałe! Więcej uwagi zacząłem też zwracać na ówczesną filozofię i religię. W szkole z lekcji religii niczego nie wyniosłem. Dopiero kiedy przeczytałem Arystotelesa, Platona i sam sięgnąłem po Biblię, zacząłem rozumieć, o co w tym w ogóle chodzi. Natomiast rozważania filozoficzne, szczególnie greckie, otworzyły mnie na coś, czego też w szkole nie było. Na pytania: Kim jest człowiek? Jak daleko, a może jak blisko nam do ludzi z tamtych czasów? Czytając starożytnych filozofów, pytałem siebie: No dobrze, to byli filozofowie, a dookoła nich kto był? Czy to byli głupi ludzie? Nie.

A skąd pan to wie?

– Stąd, że wiele lat później spojrzałem na te dzieła z innej perspektywy, przebywając dużo z kreteńskimi pasterzami. Kiedy oni mnie już trochę poznali, siadaliśmy razem na jakimś szczycie, łapaliśmy chwilę oddechu i zaczęliśmy filozofować. Mieli masę interesujących myśli – o życiu, o przemijaniu, o tym, co ważne. Prości ludzie często się wstydzą tym dzieł, bo się boją, że ich zaraz wyśmieją. A mogą być znacznie lepsi, znacznie mądrzejsi niż ci wykształceni.

Też znam takich Kreteńczyków. Myślę teraz szczególnie o jednym. Jest rybakiem. Widuję go od 15 lat praktycznie co roku. Czasem wymienimy kilka zdań i te kilka zdań niesie mnie później przez cały rok. Ostatnio powiedział mi, kiedy oboje patrzyliśmy na skłębione morze: „Czy to nie jest najlepszy film na świecie?”. To są proste, ale jednocześnie głębokie myśli, które wynikają z obcowania z przyrodą, z żywiołami.

– No właśnie, te ich problemy są wciąż bliskie problemom, jakie mieli starożytni – jak zdobyć jedzenie, jak je przyrządzić, jak zorganizować nocleg. Większość współczesnych ludzi nigdy nie spała pod gołym niebem. A warto to przeżyć, choćby raz.

Znajomi pytają: Namiotu nie masz? A po co mi namiot? On by mi wszystko zepsuł. Ja chcę widzieć 360 stopni dookoła, gdzie są te gwiazdy i jak się przemieszczają.

Co wiadomo o tej osadzie, w której pan teraz kopie, w Karfi?

– To bardzo ciekawe stanowisko, z różnych względów. Pierwsze wykopaliska prowadził tam przed wojną brytyjski archeolog John Pendlebury. Słynna postać, zginął jako żołnierz w obronie Iraklionu. Niemcy go rozstrzelali, bo wiedzieli, że szykuje ruch oporu. Pendlebury zdołał odkopać mniej więcej 20 proc. tej osady. Istniała w podręcznikach i w różnych opracowaniach, ale trochę o niej zapomniano. Kiedy wiele lat temu przyjechałem na Kretę, zacząłem prowadzić w niej prace topograficzne i zrobiłem plan tej części, która nie była jeszcze kopana. Potem wciągnąłem w to moją żonę, która jest Brytyjką i również archeolożką, i w 2008 roku to ona, z ramienia Brytyjskiej Szkoły w Atenach, prowadziła tam prace, ale tylko przez jeden sezon. Coś poszło nie tak i Brytyjczycy w końcu nie dostali licencji od rządu greckiego na wykopaliska. Ostatecznie udało się to nam, czyli Instytutowi Polskiemu. W tym roku dostaliśmy zgodę na pięć lat. Niedawno rozpoczęliśmy pierwszy sezon.

Osada w Karfi to bardzo duża osada mieszkalna z okresu, kiedy cały mykeński system polityczny na Morzu Egejskim się załamał (cywilizacja mykeńska to najstar-

sza kultura greckojęzyczna rozwijająca się w później epoce brązu, ok. 1700-1150 p.n.e., na terenie Grecji kontynentalnej, a później na wyspach). Opowieść tę można znaleźć między innymi u Homera, który opisuje, jak po wielkiej eskapadzie trojańskiej różni Mykeńczycy usiłowali wrócić do domu, i te powroty były z reguły dość tragiczne. Odyseusz błakał się po Morzu Śródziemnym wiele lat, co mniej więcej oddaje faktyczną sytuację. W owym czasie kwitło piractwo, każdy mógł złupić każdego. I wtedy na Krecie dokonała się ogromna zmiana. Ludzie uciekli z wybrzeża w góry i tam zaczęli zakładać naturalne osady obronne w trudno dostępnych miejscach – na szczytach gór, na klifach. Karfi to największa osada tego typu i najwyżej położona spośród 100, jakie znamy. Nawet latem w nocy jest tam dość zimno.

Co udało się zidentyfikować?

– Licząc z obszarem nieodkopanym, jest tam od 120 do 150 domów, co oznacza, że cała osada mogła liczyć od ok. 600 do 1000 mieszkańców. Poza tym mamy dwa cmentarze, a w pobliżu znajdują się inne, mniejsze osady. Nie wiemy, jaką pełniły funkcję, w każdym razie wydaje się, że to było centrum całego osadnictwa wokół przez jakieś 200 lat.

Do tej pory odkopaliśmy 100-120 metrów kwadratowych z nieodkopanej dotąd części osady, która zajmuje w sumie 20-25 tysięcy metrów kwadratowych. Jeśli przez te pięć lat uda nam się w sumie odkopać 600-700 metrów kwadratowych, to będzie sukces. Zostanie jeszcze dużo do odkopania dla kolejnych pokoleń.

Dlaczego to tak długo trwa?

– Bo wykopaliska to bardzo pracochłonna i kosztowna sprawa. Ostatnio mieliśmy 15 studentów. Trzeba było im wynająć pokoje, zapłacić za wyżywienie, wynajem samochodu, benzynę. Czasem uniwersytety im to fundują, czasem pokrywają to jakieś granty, tak czy siak, te pieniądze trzeba skądś wydobyć. Poza tym stanowisko jest trudne. Samochód dojeżdża do pewnego miejsca, a potem jeszcze 25 minut trzeba się wdrapywać. Wnieść narzędzia, nadzwigać się. Niektórzy studenci po tygodniu, dwóch się wykruszają.

Kopie się ręcznie?

– Tak. Mamy kilofy, łopaty. A potem to wszystko, co się wykopało, trzeba znieść. Po sześciu tygodniach mieliśmy 45 skrzyń, ponad tonę materiału, głównie ceramiki. Najwięcej zajmują tak zwane pitosy – duże dzbany zasobowe, metr, metr dwadzieścia wysokości. Przechowywało się w nich wszystko – wodę, oliwę, wino, ziarna, suchy chleb. Te dzbany są oczywiście porozbijane, znosimy je w kawałkach. Nie zawsze warto je sklejać, bo jak się je skleji, zajmują bardzo dużo miejsca.

Gdzie się potem te skrzynie magazynuje?

– Przez sześć tygodni wykopalisk korzystaliśmy z magazynu w pobliżu stanowiska, użyczył nam go monastyr. A potem przetransportowaliśmy je do magazynów, które należą do kretańskiej służby archeologicznej w Iraklionie. Ale te magazyny już są przepełnione. Jakby pani tam weszła, toby pani zobaczyła ogromny hangar z dziesiątkami tysięcy podobnych plastikowych skrzynek ze starożytną ceramiką. Nie wiadomo trochę, co z tym dalej zrobić, więc w miarę posuwania się prac będziemy chyba musieli prosić lokalne władze o udostępnienie nam innego miejsca, bo w Iraklionie zaraz nam powiedzą, że już go nie mają.

Co jest jeszcze w tej tonie ceramiki poza wielkimi dzbanami?

– Naczynia do gotowania, miseczki, kubki, mniejsze naczynia, na przykład na oliwę. Bardzo niewiele jest metalowych przedmiotów, bo to jeszcze ten okres, kiedy metal był cenny, więc po zniszczeniu osady rabusie co najwartościowsze musieli stamtąd wynieść. Z metalowych rzeczy zachował się głównie brąz – zapinki, gwoźdźniki, fragmenty nożyków.

Czy jakieś tkaniny mają się szansę zachować przez tak długi czas?

– Wszystko, co organiczne, znika. Znaleźliśmy za to spalony warsztat tkacki. Drewniana rama zachowała się w postaci węgla drzewnego, a do tego ciężarki tkackie. Mamy też różne narzędzia kamienne, na przykład do wyrabiania mąki. Tłuczki, narzędzia do ostrzenia i tak dalej.

To była raczej uboga osada. Inaczej jest, kiedy kopimy pałac albo willę, wtedy luksusowych przedmiotów jest znacznie więcej. Tutaj mamy do czynienia ewidentnie ze społeczeństwem wiejskim – rolnikami, pasterzami. Generalnie społeczeństwo minojskie, czyli kretańskie, w okresie między podbojem przez Mykeńczyków ok. 1450 r. p.n.e. a upadkiem cywilizacji epoki brązu w 1200 p.n.e. bardzo zbiedniało.

Kiedyś w ramach grecko-amerykańskiego projektu kopalem jeszcze bardziej interesujące stanowisko. W wąwozie Ha, w rejonie Jerapetra, położone na klifie i bardzo trudno dostępne.

Ludzie tam mieszkali?

– Na początku myśleliśmy, że tylko ok. 1200 r. p.n.e., ale potem się okazało, że tam było w sumie sześć faz. Najwcześniejsze pozostałości pochodziły z połowy IV tysiąclecia p.n.e., z neolitu. Potem z epoki starszych

Kiedy pierwszy raz stanąłem na takim skalnym tarasie, z jednej strony miałem Morze Libijskie, z drugiej Egejskie, pod sobą 100 metrów w dół, to zachodziłem w głowę: Jak wy, ludzie, żeście tu mieszkali?

pałaców, czyli 1700 p.n.e., z końca epoki młodszych pałaców, 1450 p.n.e., z tego 1200 p.n.e., z okresu bizantyjskiego, a na końcu z późnoweneckiego. Wygląda na to, że kiedykolwiek działo się coś złego na Krecie albo dookoła niej, było jakieś zagrożenie, najazdy, konflikty wewnętrzne, ludzie na te klify uciekali.

W późnym neolicie na Krecie, w ogóle na całym Morzu Egejskim, pojawiła się fala nowej ludności z Anatolii, czyli z dzisiejszego obszaru Turcji. Starsze pałace to konflikt między pałacami, czyli ośrodkami w Knossos, Festos i Malii. Okres młodszych pałaców to najazd Mykeńczyków na Kretę. Około 1200 r. p.n.e. to załamanie cywilizacji, o którym wspominałem. Okres bizantyjski to początek ekspansji arabskiej na Morze Śródziemne, a koniec okresu weneckiego to najazd Turków.

Jak wyglądały te kryjówki? To były groty drążone w skałach?

– Nie, ludzie budowali domki na naturalnych platformach skalnych. Bardzo to jest malownicze i choćby z tego względu to stanowisko pokazywano w różnych filmach dokumentalnych, w których również uczestniczyłem, kręconych m.in. dla History Channel, Discovery, francuskiej Piątki. Kopalem tam przez parę lat, a potem na podstawie tych wykopalisk opublikowałem książkę. To było fantastyczne doświadczenie, tylko mało kto chciał tam pracować, bo jest tam naprawdę niebezpiecznie.

Pracuje się na linach?

– Nie trzeba mieć kwalifikacji alpinistycznych ani żadnych przyrządów, ale jeśli ktoś ma leką wysokości albo słabą kondycję, to tam nie wejdzie.

Kiedy pierwszy raz stanąłem na takim skalnym tarasie, z jednej strony miałem Morze Libijskie, z drugiej Egejskie, pod sobą 100 metrów w dół, to zachodziłem w głowę: Jak wy, ludzie, żeście tu mieszkali? Przecież tu nic nie rośnie. Schodziliście tym trudnym zejściem, żeby coś tam zasiać, i wracaliście z powrotem? Kozy tam jeszcze wejść, ale owiec już się tam nie wprowadzi. Nie wiem, jakim cudem oni tam wnieśli te ogromne naczynia, których fragmenty znaleźliśmy. Fizycznie wydaje się to prawie niemożliwe. Chociaż faktem jest, że ludzie byli wtedy sprawniejsi, bardziej wytrzymali. Na pewno osady zakładane w tym miejscu były krótkotrwałe. Natomiast we wszystkich fazach był jakiś element, który wskazywał, że w grupie był ktoś znaczący.

Na przykład?

– Z okresu bizantyjskiego znalazłem nie tylko monetę, która mi ładnie wydatowała ten okres, ale też coś ważniejszego – odważnik, którym się sprawdzało, czy waga monety się zgadza. Takie odważniki mieli tylko wysoko postawieni urzędnicy. Z okresu pałacowego znalazłem kamienną pieczęć. Taką pieczęć też mógł mieć tylko ktoś wysoko postawiony. Mamy też kilka naczyń kamiennych.

Jak teraz wygląda archeologia od strony nowych technologii? Czytałam, że zaczyna się używać sztucznej inteligencji, na przykład do klasyfikacji ceramiki. Na razie tylko dekorowanej, bo innej sztuczna inteligencja jeszcze nie rozpoznaje.

– No ja jestem po drugiej stronie tej rzeki. Niektórzy znajomi mówią, że jestem jak starodawny, XIX-wieczny archeolog. Taki dziwak, który łązi po górach. Jak występuję o jakiś grant, to dostaję komentarze: Ale co on dronów nie używa? Wierceń nie robi?

Nie wszyscy musimy iść jedną ścieżką. Miliony wydajemy na trójwymiarowe obrazy figurek, a nie mamy podstawy, czyli przyzwoitych rysunków, które pokażą nam te figurki z profilu, z góry i en face. Jak robię rekonesans archeologiczny w górach, to drony nie są mi potrzebne, bo wystarczy, że się wespnę wyżej, i już mam widok jak z drona.

Archeolodzy, którzy ich używają, często nie wiedzą nawet, jak na jakieś stanowisko wejść, jak naprawdę wygląda geografia danego regionu. Teraz wszyscy mówią: sztuczna inteligencja, sztuczna inteligencja. W latach 70. ubiegłego wieku była mania statystyki. Wszyscy chcieli wszystko liczyć, ale w archeologii tak się nie da. Bo jest tyle różnic indywidualnych, ludzkich, że statystyka nam tego wszystkiego nie odda. Potem była modna fenomenologia. Dziś mamy nowe technologie.

Słyszę, że ma pan do tego dystans.

– Sceptycznie podchodzę do nowinek i do takich działań na pokaz. Dziś na przykład każdy chce mieć coś spektakularnego. Zabłyśnąć tytułem książki, pracy, dokumentu. Kiedy History Channel kręciło film o tym stanowisku na klifie, autorzy, zanim jeszcze przyjechali na Kretę, spytali mnie: A czy będzie miał coś spektakularnego? Powiedziałem im: Przyjedziecie, ocenicie sami. Na połowę miejsc, które dla nich wybrałem, nie dali radę wejść. – Chyba za bardzo spektakularnie jest, co? – spytałem.

Zawsze się staram ludziom wytłumaczyć, że nauka to jest proces. Długi, mozolny. Niektóre rzeczy są bardziej interesujące, inne mniej. Niektóre są interesujące od razu, inne stają się takie dopiero po latach. I nie zawsze jest spektakularnie.

Co pan odkrył przez te 40 lat badań nad starożytną kulturą Krety?

– Przede wszystkim skoncentrowałem się na obecności człowieka w krajobrazie. I udało mi się wykazać, że ta obecność była zmieniała nie tylko, jak to dawniej sugerowano, ze względu na rozwój społeczno-ekonomiczny w regionie, ale również ze względu na różnego rodzaju relacje, konflikty, także konflikty wewnętrzne. Przedstawiłem setki stanowisk, które pokazują, że zmiany osadnictwa na Krecie, to ciągłe dostosowanie się do krajobrazu były znacznie bardziej dynamiczne. Bo jak pani pójdzie z przewodnikiem do któregoś z kretańskich pałaców, na przykład do Knossos, to dostanie pani bardzo gładki obraz cywilizacji minojskiej (nazwa pochodzi od mitycznego władcy kretańskiego – Minosa). Usłyszy pani, że ta cywilizacja była wspólna, wyjątkowa...

...nieagresywna, pokojowo nastawiona.

– Co jest nieprawdą! Bo cały okres pomiędzy epoką starszych pałaców i młodszych pałaców to konflikty pomiędzy poszczególnymi ośrodkami na wyspie. Silna jest w tej chwili hipoteza, poparta już wieloma źródłami, że pomiędzy pałacami w Knossos, Festos i Malii była ostra walka o władzę, której efektem był koniec starszych pałaców, kiedy to dominantę na całej Krecie ostatecznie ustanowiło Knossos. I nieprawdą jest, co znów, często się turystom powtarza, że pałac w Festos został zniszczony przez trzęsienie ziemi.

Ja słyszałam, że przez wybuch wulkanu.

– Nie, to rządzący w Knossos zniszczyli ten pałac, tworząc nowy ośrodek administracyjny w mniejszej osadzie, w Agia Triada. Z tym wiąże się też cały problem sanktuariów górskich. Kiedy zaczynałem pracować na Krecie,

sądzono, że jest to fenomen ogólnokreteński trwający kilkaset lat. Dziś wiemy już, że jest to fenomen wynikający wyłącznie z ekspansji terytorialnej Knossos i z nim powiązanej. Kolejna rzecz to epoka brązu. Tu jestem w konflikcie z pewnym badaczem brytyjskim, który uważa, że ekspansja osadnicza, która miała miejsce w tamtym okresie na Krecie, jest rodzima. To znaczy, że to ludność kreteńska sama dokonała tych przemieszczeń, ale on przestudiował tylko ceramikę z Knossos i z Festos.

A pan?

– Ja uważam, że w tej epoce miała miejsce ogromna migracja ze wschodu, z Anatolii. I szukając uzasadnienia tej tezy, przeszedłem całe wyspy Dodekanezu, ale też udałem się na wybrzeże anatolijskie. Znalazłem tam wiele stanowisk, które pokazują podobne osady obronne z tego okresu co na Krecie.

Dziś te wykopaliska, na których pracuję i będę pracował przez najbliższe pięć lat, są niejako zwieńczeniem mojej pracy. Marzenie miałem jednak trochę inne na tę końcówkę.

Jakie?

– Żeby jeszcze pokopać na tej półce skalnej, w wąwozie Ha. Ale nie można mieć dwóch rzeczy naraz.

Wydawało mi się, że już wszystko pan tam przekopał?

– Tylko jedną półkę, a zostało jeszcze kilka innych. Chciałem sprawdzić, przynajmniej na jednej, czy tam powtarza się ten sam schemat, czy też są te fazy z sześciu epok.

Coś jeszcze się panu marzy, żeby odkryć na tej Krecie?

– Już chyba nic więcej, już tyle rzeczy odkryłem. Sanktuariów górskich mamy ok. 45, z czego ja odkryłem 15. Do tego ponad 200 osad neolitycznych, a razem z tymi z innych okresów

– grubo ponad 500. I to są stanowiska, które są warte dalszych badań i wykopalisk, a nie, że tam parę skorup leży.

Im pan jest starszy, tym bliżej panu do ludzi z tamtych czasów?

– Jak byłem młodszy, to chyba bardziej czułem się z nimi związany. Dzisiaj coraz częściej myślę o tym, co będzie po. Ale oni też na pewno o tym myśleli.

Była pani kiedyś w takim ortodoksyjnym kościółku?

Byłam.

– To widziała pani pewnie takie blaszki wotywalne. Ludzie na ogół zawieszają je pod obrazem świętego, którego imię nosi dany kościółek. Na tych blaszkach są wyryte nogi, ręce, oko, serce. Jak ktoś ma jakiś problem zdrowotny, to prosi w ten sposób o wstawiennictwo. No, czasem zdarzy się jakiś samochodzik... W tych starożytnych sanktuariach sprzed tysięcy lat można znaleźć podobne figurki – w kształcie nogi albo ręki. Są też całe postaci ludzkie i bardzo dużo zwierząt. Znow – niby nie ma żadnej kontynuacji między nimi a nami, a jednak widać, że tyle nas łączy.

Na przykład strach przed bólem, przed stratą.

– Na przykład. I mam nadzieję, że turyści, którzy trafiają do Karfi, czasem też to czują.

Mogą wejść na stanowisko archeologiczne?

– Tak, jest otwarte, jak setki innych, podobnych na Krecie. Większość ludzi przychodzi tu dla widoków, spektakularnych, nie dla archeologii. Ale liczę na to, że jak już tu wejdą, to przynajmniej część z nich zada sobie pytania: Jak tamci ludzie tu żyli? Jak wyglądał koniec tej osady? Ważne tylko, żeby nie niszczyć stanowiska.

Jak można je zniszczyć?

– Głównie coś na nim budując, często nielegalnie. Kiedyś niedaleko Retimno jeden Grek nawet do mnie strzelał, bo zwróciłem mu uwagę, że postawił kościółek na cześć swojego zmarłego syna właśnie na takim stanowisku i że powinna się tym zająć straż archeologiczna. Groził mi, że żywy stamtąd nie wyjdę, ale uciekłem. Na szczęście akurat to stanowisko mamy dobrze obfotografowane i opisane. Wiemy, co tam było. Ale wiele innych nam przepada bezpowrotnie. Ogromne zniszczenia powoduje na przykład budowa lotniska, choć to jest akurat kontrolowane przez służbę archeologiczną, która w takim miejscu prowadzi błyskawiczne wykopaliska, żeby uratować z ziemi, co się da.

Ale niszczyć stanowisko można też w inny sposób. Nie wiem, czy znane jest pani zjawisko kultu Wielkiej Bogini?

Nie. Kto ją czci?

– Głównie turystki z Europy Zachodniej. Podobno ostatnio są wśród nich również Polki. Owszem, jest taka koncepcja, że w starożytności mógł w pewnym okresie istnieć kult Wielkiej Bogini na Krecie, która ulokowana była w Knossos, ale już na przykład sanktuarium górskie, gdzie te współczesne wyznawczynie najczęściej przychodzą, nie miały z tym nic wspólnego. Wydaje się, że raczej z kultem młodego boga burzy.

I co robią wyznawczynie Wielkiej Bogini w tych sanktuariach?

– Prowadzą różne ceremonie, obrządk. Coś tam wypijają, wylewają, no i zostawiają różne przedmioty – fajansowe figurki, ale też kamyczki, czasem jakiś pieniążek. Wzorują się na starożytności, nie do końca ją rozumiejąc. Nawet nie wiem, czy naprawdę wierzą w tę Wielką Boginię, czy jest to forma zabawy.

Ale w sumie w czym to przeszkadza?

– Jeśli chodzi o fajansowe figurki, to od razu widać, że są współczesne. Ale jak to są ja-

kieś kamyczki, na przykład otoczaki, które były standardowo kładzione przez starożytnych w świętych miejscach jako taki najdrobniejszy dar, to ja się potem zastanawiam: czy to jest współczesne, czy starożytne?

Po prostu psuje to panu pana pracę?

– Zaburza mi ją.

Jak pan myśli: co się będzie działo dalej z archeologią?

– Mam obawy, że nauki ścisłe, te wszystkie analizy kości, analizy gleby, całkowicie zastąpią myślenie o ludziach, że będziemy wszystko chcieli skalkulować, policzyć, a człowiek ograniczy się już wyłącznie do DNA, pomiarów szkieletu i tak dalej. Zapomnimy, że tamci ludzie nie wszyscy byli tacy sami, że wśród nich byli bardzo dobrzy i bardzo źli. Byli tacy, którzy się ogromnie kochali, tacy, którzy poświęcali się dla innych, i tacy, którzy byli w stanie zabić dla własnych korzyści. Niektóre pozostałości po nich mogą nam o tym mówić, ale nie dowiemy się tego, wyłącznie analizując, licząc i mierząc. Nowe technologie bywają pomocne, żebyśmy się tylko w tym nie zapędzili. Nauka potrzebuje nie tylko szkiełka i oka, ale też serca i rozumu.

Nie chciał pan nigdy zamieszkać na Krecie na stałe?

– Jestem wędrowcem, zamieszkanie tam oznaczałoby, że musiałbym osiąść w jednym miejscu. Tak nie chcę. Ja lubię sobie pobyć miesiąc tam, miesiąc w Polsce, dwa tygodnie w Wielkiej Brytanii. Marzy mi się jeszcze wyprawa do Afryki, skąd przyszli nasi przodkowie. Sauranę chciałbym zobaczyć.

A jak pan myśli „dom”, to o czym pan myśli?

– Mój dom jest tam, gdzie się ułożę do snu. Przynajmniej do następnego ranka. ●

REKLAMA R E K L A M A

GRUPA GRANICA

Grupa Granica to koalicja mieszkank i mieszkańców Podlasia, pracowniczek i pracowników organizacji pozarządowych, osób pomagających oraz aktywistycznych z całej Polski i zagranicy. Niesiemy pomoc humanitarną ludziom w drodze, którzy poszukują bezpiecznego i godnego życia dla siebie oraz swoich bliskich. Tworzymy szeroki ruch społeczny, zrodzony w reakcji na trwający od lata 2021 roku kryzys na granicy z Białorusią.

- **20 tysięcy osób** zwróciło się do nas z prośbą o pomoc
- **10 tysięcy osób** otrzymało pomoc humanitarną od Grupy Granica. Były to osoby z blisko 50 krajów, przede wszystkim z Syrii, Afganistanu, Jemenu, Iraku, Erytrei, Etiopii, Somalii, Sudanu Południowego
- **ponad 200 osób** zostało zgłoszone jako zaginione przez rodziny, które straciły kontakt z bliskimi na granicy
- **minimum 49 osób** zmarło na skutek obecnej polityki migracyjnej, próbując dostać się do Europy

Osoby przekraczające granicę spędzają w lesie wiele dni i nocy, często bez dostępu do pitnej wody czy jedzenia. Wiele z nich doświadczyło przemocy ze



fot. Stowarzyszenie Egala, Lipiec 2023

strony służb białoruskich i polskich. Niejednokrotnie są w fatalnej kondycji psychicznej i fizycznej.

Wśród najczęstszych schorzeń u osób w drodze są poważne urazy ortopedyczne i rany cięte, poniesione na skutek przechodzenia przez płot na granicy. Powtarzają się problemy żołądkowe, wynikające z braku dostępu do pożywienia i czystej wody. Do tego rany szarpane i inne, nieopatrzywane przez dłuższy czas, nierzadko jątrzące się i powodujące straszliwy ból. Zimą, jesienią, wiosną, a nawet czasami latem, ludzie na granicy doznają hipotermii.

Każdej z osób zwracających się do nas o pomoc przynosimy gorący posiłek i herbatę, suche ubrania. Często potrzebne są też leki, opatrunki, śpiwory czy powerbanki.

Oprócz niesienia bezpośredniej pomocy humanitarnej udzielamy wsparcia psychologicznego i prawnego – bierzemy udział w postępowaniach

o przyjęcie wniosków o ochronę międzynarodową, wspieramy osoby, które trafiają do szpitali i te zamknięte w strzeżonych ośrodkach dla cudzoziemców. Zajmujemy się też dokumentacją naruszeń praw człowieka na pograniczu.

Nasza pomoc jest możliwa dzięki Waszemu wsparciu.

Wejdź na sklepezgranic.pl
– charytatywny sklep online.

Dostępne tu pakiety symbolizują niezbędne produkty i działania, dzięki którym możliwe jest niesienie pomocy humanitarnej na pograniczu polsko-białoruskim. Dziękujemy, że jesteście z nami!



SKLEP BEZGRANIC

Twój zakup może uratować czyjeś życie.
sklepbezgranic.pl

Z MIKOŁAJEM ŁOZIŃSKIM* ROZMAWIA
DOROTA WODECKA

**Napisałeś kolejny tom sagi żydowskiej rodziny z Tarnowa. Trudno było ci zsta-
wić Stramerów na pastwę wojny i czytel-
niczych domysłów. Co się z nimi stanie?**

– Nie słyszałem o drugim takim rodzeństwie. Historia mojego dziadka, jego trzech braci i dwóch siostr, którą inspirowane są moje dwie ostatnie powieści, jest zupełnie nietypo-
wa na tle doświadczeń większości rodzin ży-
dowskich. Od dziecka się zastanawiałem, dla-
czego ich wojenny los był wyjątkowy. Próbo-
wałem rozgryźć tę tajemnicę. Dlatego napisa-
łem najpierw „Stramera”, a teraz „Stramerów”.

**Może ta tajemnica jest zapisana również
w ich nazwisku?**

– „Stramer” znaczy krzepki, silny. Ale to na-
zwisko zostało wymazane po II wojnie świa-
towej razem z prawie całym żydowskim świa-
tem. W pierwszym tomie opisałem dzieciń-
stwo i młodość tego rodzeństwa w Tarno-
wie. W drugim ich dalsze losy – przyspieszone
wejście w dorosłość, które przypadło na czas
wojny i okupacji. W „Stramerach” starałem
się zbudować wiarygodny świat wojennych
niebezpieczeństw, okupacyjnego chamstwa,
cwaniactwa, ale też poczucia humoru. Uciec
od stereotypowego spojrzenia na tamte cza-
sy. Opisać codzienność. Bohaterowie „Stra-
merów” przed wojną pewnie sami by nie po-
dejrzywali, do czego są zdolni – dobrego i zle-
go. A wojna to zawsze wielkie „sprawdzam”.

Pierwszy raz zmierzylem się z tematami,
których dotąd mniej lub bardziej świadomie
unikalem. Wojna, stosunki między Polaka-
mi a Żydami w czasie okupacji. A po wojnie
zaangażowanie moich żydowskich bohate-
rów w tworzenie nowego ustroju.

**Stosunki między Polakami a Żydami
w czasie okupacji mogą uchodzić za
tematy ryzykowne. Dość wspomnieć
o napaści pisowskiego ministra edukacji
na prof. Barbarę Engelking.**

– Tak jak jesteśmy zalewani przez rządzących
nieprawdziwą wizją współczesnego świata, tak
samo serwuje się nam fałszywy obraz przeszło-
ści. Infantylną wizję, w której my, Polacy, za-
wsze byliśmy nieskazitelni. Zawsze najwięk-
si bohaterowie albo największe ofiary. A naj-
lepiej jedno i drugie. Czuję się już zaczadzony
martyrologią, zatruty tą pomnikową propagan-
dą historyczną. Pisanie „Stramerów” było dla
mnie odtrutką. I chciałbym, żeby ta powieść
tak zadziałała też na czytelników.

Przez ostatnie cztery lata czytałem o woj-
nie i okupacji, rozmawiałem z ludźmi, któ-
rzy przeżyli tamte czasy. Ale też chodziłem
po Warszawie i ciągle wyobrażałem sobie,
co by było, gdybym chodził po tych samych
ulicach 80 lat wcześniej. Kiedy moje życie
mogłoby zależeć od krzywego spojrzenia
przypadkowego przechodnia.

I?

– Udzieliło mi się napięcie ukrywających się.
To pomogło mi wczuć się w to, co przeżywa-
li moi bohaterowie.

**Może miałbyś szczęście i trafił wtedy na
kobietę w zielonej sukience?**

– W „Stramerach” kobieta w zielonej sukien-
ce ratuje z rąk szmalcownika Welę, czyli po-
stać inspirowaną siostrą mojego dziadka. To
ona wiele lat po wojnie powiedziała mi: „Nie
wolno mówić tego głośno w Polsce, ale my
w czasie okupacji w Warszawie bardziej ba-
liśmy się Polaków niż Niemców. Bo lepiej nas
rozpoznawali. Ale pamiętaj, że nigdy nie wol-
no generalizować. Mnie życie w okupowanej
Warszawie uratowała polska kurwa”. Przy pi-
saniu „Stramerów” też trzymałem się tej za-
sady: nie generalizować.

**Z kolei życie Róży ratuje Babunia, prze-
kupka z krakowskiego Kleparza, co robi
wbrew swoim córkom i sąsiadom.**

– W książce skupiam się oczywiście na poje-
dynczych losach, a nie na stosunkach między
całymi narodami. Ci konkretni ludzie są dla
mnie najważniejsi. Babunia to chyba najbli-
sza mi postać ze „Stramerów”. Przedwojenna

opiekunka Róży, która wyciąga dziewczynkę
z tarnowskiego getta i ukrywa w swojej kra-
kowskiej suterenie. To prosta kobieta ze wsi.
Pije wódkę, klnie i swoje wie. Jest po ludowe-
mu antyklerykalna i zdroworozsądkowa. Jak
mówi: „Polityka to zawsze kurwa-złodziej”. Czy
nie ma racji? I z tej wojny też chyba rozumie
więcej niż wszyscy inni.

Że zawsze ktoś jest kozłem ofiarnym?

– Żydzi się akurat świetnie do tego nadają.
W tym sensie byli, są i będą zawsze użyteczni
dla każdej autorytarnej władzy. Babunia mó-
wi to samo innymi słowami.

No tak, „dziś oni, jutro my”.

– W naszej rodzinie była podobna kobieta, któ-
ra po wojnie do śmierci mieszkała z dziew-
czynką, którą uratowała. Role powoli się od-
wracaly – później to młodsza opiekowała się
starszą. Prowadziły otwarty warszawski dom.
W latach 50. wpadali tam różni ludzie, poeci,
pisarze. Babunia piła wódkę z Markiem Hłaską.

Myślałeś, kim dziś są „oni”?

– Patrząc na haniebną nagonkę na Agnieszkę
Holland i jej „Zieloną granicę”, myślę, że dzi-
siejsi „oni” to teraz ciemnoskórzy uchodźcy
na granicy polsko-białoruskiej. Pojawiają się
tam ludzie, którzy żądają pieniędzy za to, że
nie zgłoszą Straży Granicznej ich miejsca poby-
tu. Ale są też Polacy, którzy przyjmują u siebie
uchodźców i się nimi opiekują, tak jak na przy-
kład rodzina Ulmów opiekowała się Żydami.

W „Stramerach” jest ratująca Różę Ba-
bunia, ale jest też Wacek, chłopak z NSZ,
dziś powiedzielibyśmy „wyklęty”, który po-
luje w Lasach Chojnowskich na ukrywają-
cych się „żydków z Piaseczna”. Zachęca na-
wet żyjącego na fałszywych papierach Nu-
ska Stramera, którego nie podejrzewa o ży-
dostwo, żeby do niego dołączył, bo to „łatwa
forsa”. Są partyzanci, bimbrownicy, kolabo-
ranci. Jest generałowa, która sypia z mieszk-
ającym w jej domu przystojnym Żydem,
a równocześnie oczekuje od Weli, wynajmu-
jącej pokój na parterze, dodatkowej „opłaty
za oddychanie”. Bo przecież kiedy Wela od-
dycha, „to psuje meble”.

Mikołaj, to już sobie wymyśliłeś.

– Niestety nie. Nie umiałbym tego wymyślić.
Oparłem się na świadectwach. W czasie oku-
pacji mówiło się, że pieniądze leżą na ulicy, bo
można zarobić na Żydach. Ci, którzy nie potra-
fili dorobić na szmuglu i handlu, często brali do
siebie Żydów, bo inaczej nie mieli z czego żyć.

**Natek uważa ich za nieudaczników, co
wydaje mi się opinią krzywdzącą.**

– Dziś to nie brzmi dobrze, ale wtedy tak się
mówiło. Nie da się dzisiejszymi kategoriami
moralnymi oceniać tamtych czasów. Ja sam
nie wiem, czy przyjąłbym ukrywające się dzie-
cko do domu, narażając życie własnej rodziny.

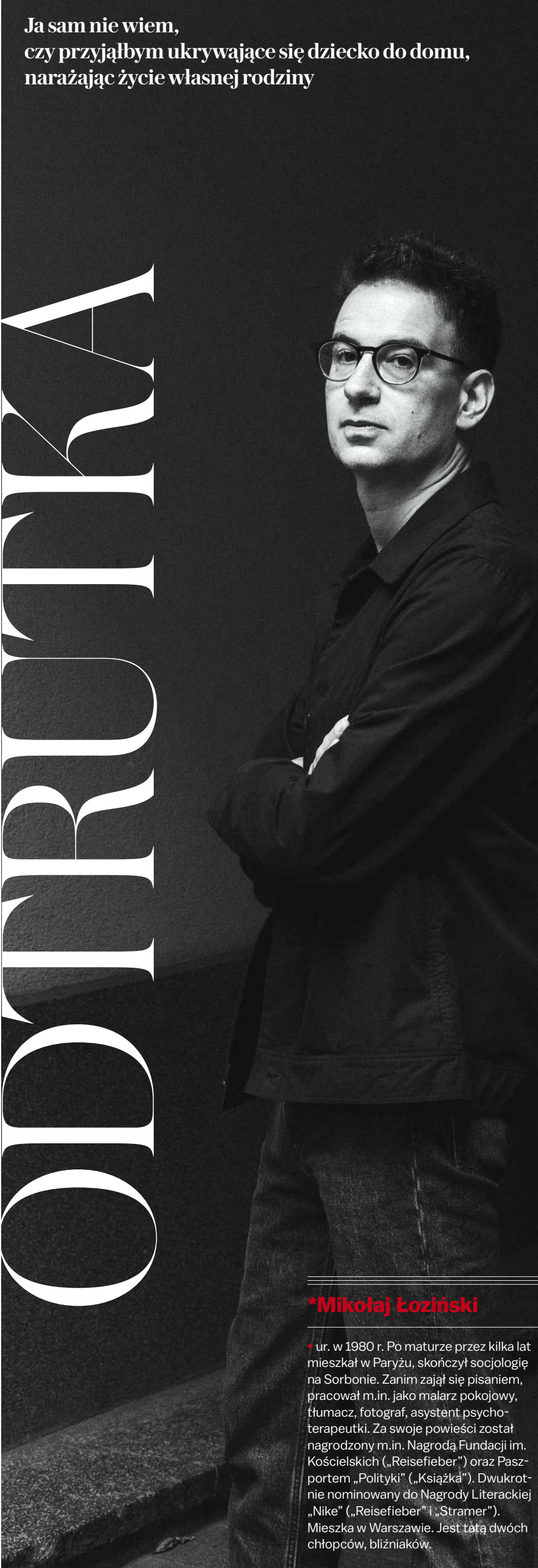
Moja powieść nie jest wyrównaniem ra-
chunków czy krzywd. Starałem się spojrzeć
na moich bohaterów nie z dzisiejszej per-
spektywy, ale tak jak oni patrzyli na siebie.
Nie wiedzieli przecież, czy ta wojna potrwa
jeszcze miesiąc czy dziesięć lat.

W czasie dokumentacji zaskoczyło mnie
wojenne chamstwo. Ci, którzy dziś zarzuca-
ją młodemu pokoleniu demoralizację, nie
mają chyba pojęcia, że o wiele bardziej wul-
garne i w sumie przerażające było wojenne
pokolenie ich dziadków czy pradziadków.

**Niektórzy twoi bohaterowie poddają się
temu prostactwu.**

– Jeden z moich bohaterów, Nusek, ucieka
z lwowskiego obozu janowskiego i dostaje się
do Warszawy w momencie, kiedy wybucha po-
wstanie w getcie, i ma je tak samo gdzieś jak
późniejsze powstanie warszawskie. On chce
jedynie przeżyć. W pewnej chwili zdaje sobie
sprawę, że w czasie wojny zapomniał, że moż-
na jeszcze czymś się zgorszyć.

Kiedy ukrywasz się jak on, musisz być
cały czas czujny. Uprzedzać myśli i reak-
cje innych ludzi. Masz wtedy lepszy do-
stęp do własnych pierwotnych instynktów,
też seksualnych. I chcesz wziąć jak najwię-
cej z życia, bo wiesz, że ono może się w każ-
dej chwili skończyć. To motyw, który często



*Mikołaj Łoziński

ur. w 1980 r. Po maturze przez kilka lat
mieszkał w Paryżu, skończył socjologię
na Sorbonie. Zanim zajął się pisaniem,
pracował m.in. jako malarz pokojowy,
tłumacz, fotograf, asystent psycho-
terapeutki. Za swoje powieści został
nagrodzony m.in. Nagrodą Fundacji im.
Kościelskich („Reisefieber”) oraz Pasz-
portem „Polityki” („Książka”). Dwukrot-
nie nominowany do Nagrody Literackiej
„Nike” („Reisefieber” i „Stramer”).
Mieszka w Warszawie. Jest tatą dwóch
chłopców, bliźniaków.

wraca w zebranych tuż po wojnie świadectwach, ale już rzadziej w napisanych po latach „ocenzurowanych” wspomnieniach.

W „Stramerach” nie cenzurowałem się – starałem się opisać te pierwotne instynkty, seks, przemoc. Ale jednocześnie nie chciałem epatować okrucieństwem. Opisuję codzienność ukrywających się w Warszawie młodych ludzi. Ich miłości, przygody, życie wewnętrzne. Moi bohaterowie pragną choć namiastki normalnego życia w świecie zwykłych ludzi.

Wojenna Warszawa to nie tylko akcja pod Arsenalem i nędza getta, ale też prosperująca ul. Marszałkowska, okupacyjna moda i wytworne restauracje, w których serwowano zupę żółwiową. W „Stramerach” jest przedsiębiorstwo Trasa i jego dyrektor Sienkiewicz, któremu dzięki interesom z Niemcami świetnie się powodzi.

Wielu ocalałych wspominało też, że w czasie okupacji „Warszawa dowiecipem stała”.

To kto: ty czy Salek, który mówi, że „od trzech tysięcy lat na każdy cios odpowiadamy dowiecipem”, dystansuje się od tego poczucia humoru?

– Nigdy nie dystansuję się od poczucia humoru, ale akurat przy pisaniu tej książki miałem takie myśli, że śmiech daje złudną przewagę nad sytuacją i przeciwnikiem.

Złudną przewagę?

– Salek Stramer, który walczył w wojnie hiszpańskiej, a potem trafił do francuskiego ruchu oporu, tak właśnie uważa, że w rzeczywistości taka „śmieszna broń” sprawia, że jesteśmy łatwiejszą ofiarą. Śmiech pozwala pogodzić się z klęskami i je ośwoić.

Dlaczego nie oswajać klęski?

– Może lepiej się zbuntować?

Rozumiem, że rozmawiamy nie tylko o powieści, ale też o twojej życiowej filozofii.

– Kiedy myślałem o Stramerach, to ciężar ich wojennych doświadczeń nie przygniatał mnie, ale raczej dodawał sił, żeby zmierzyć się z tą historią, nie uciekać od niej. Ale może właśnie dlatego, że wojenny los tego liczego roduństwa potoczył się inaczej niż los podobnych rodzin w ich sytuacji, był niespotykany na skalę nie tylko Polski.

Research jednak oparłeś nie tylko na rodzinnych legendach.

– Książki „Stramer” i „Stramerowie” są luźno inspirowane moją historią rodzinną. To są powieści, fikcja, ale to chyba moje najbardziej osobiste książki – tyle ze mnie i z moich najbliższych dałem Stramerom.

Akcja wydaje się wręcz filmowa, tyle się tam dzieje.

– Czas wojny to czas szybkich decyzji, od których zależy życie. Taka jest też forma „Stramerów”. Szybka, dynamiczna. To moja pierwsza książka, w której jest tyle akcji. To miejscami też powieść sensacyjna.

Tak, ale już z podklejaniem napletka to pojechałeś.

– Historie, które mogą się wydawać nieprawdopodobne, akurat zdarzyły się naprawdę. Tak było z plastyką napletka czy kolacją szasową w Konstancinie, do której siadają Żyd, Niemka i oficer Wehrmachtu. Nie starczyłoby mi wyobraźni, żeby to wymyślić.

Rozmawiałem z ludźmi, którzy przeżyli wojnę. Pamiętam spotkania z Józefem Henem. Bez patosu i martyrologii opowiedział mi o tym, jak było przed wojną, o wojnie i o początkach komunizmu w Polsce. To była pasjonująca opowieść, smutna, ale pełna życia i humoru. Wnikliwi czytelnicy znaleźli już postać Hena w „Stramerze”. Teraz znów pojawi się – w „Stramerach”. Chciałbym w ten sposób podziękować i złożyć hołd wybitnemu pisarzowi, który skończy w tym roku sto lat.

Pojawi się też słynny poeta Tadeusz Gajcy pod swoim konspiracyjnym pseudonimem.

Jest Drobner, pierwszy prezydent powojennego Wrocławia.

– W powieści nazywa się Brodner. Był ojcem pierwszej żony mojego dziadka. On – przedwojenny socjalista – naprawdę marzył, że urządzi we Wrocławiu „republikę drobnerowską”, gdzie pieniądze nie będą potrzebne, a ludzie w zamian za pracę będą mieli za darmo mieszkanie, jedzenie i ubrania.

Nie on jeden snił taki sen.

– Mój dziadek też wrócił do Polski, by budować „najlepszy z ustrojów”. Był ideowym komunistą, naprawdę w to wierzył. Dziś niewiele jest prób zrozumienia tego zjawiska. Łatwiej jest oceniać, hejtować.

Męczyło cię to rodzinnie?

– Próbowiałem zrozumieć, dlaczego przyzwodzi i inteligentni ludzie popierali ten system, mimo że wszelkie znaki na ziemi i niebie pokazywały, do czego on doprowadzi. Jak mówi Ewa ze „Stramerów”, łączniczka z powstania warszawskiego, która po wojnie staje po stronie nowej władzy: „Czy jest jakaś inna Polska do wyboru?”.

Wśród Stramerów byli idealisci i oportuniści, chociaż po prawdzie mam już dosyć oceniania.

– Próbowiałem jak najlepiej wczuć się w każdą z postaci – jej motywacje, spojrzenie na świat i sposób na przetrwanie. Nie oceniać ich, tylko właśnie spróbować zrozumieć. Ale jednocześnie starałem się, żeby ciepło i empatia w stosunku do bohaterów nie przesłoniły mi ostrości widzenia.

Stramerowie spotykają się po wojnie w mieszkaniu Salka. I kiedy odwiedzają w przedpokoju płaszcze, zastanawiam się za Welą, kim są ludzie, którzy wchodzą do salonu.

– To jest pytanie o to, kim się jest po takich doświadczeniach jak wojna czy okupacja. Na pewno czytelnik będzie wiedział lepiej niż oni. Bo Stramerowie nie wiedzą. Chcą żyć, iść do przodu, nadrobić stracony czas, nie oglądając się za siebie.

Jeszcze nie tak dawno robili wszystko, żeby nie rzucać się w oczy. A teraz chodzą w najlepszych płaszcach. Trudno nie patrzeć na nich przez pryzmat 1968 roku.

– Myślę, że jesteśmy mądrzejsi od poprzednich pokoleń tylko o tyle, że wiemy, co się z nimi stało. A oni nie znali swojej przyszłości, tak jak my dziś nie znamy naszej. Niestety mówi się, że historia uczy tylko tego, że ludzie się z niej niczego nie uczą.

Martwisz się w związku z tym?

– Wychowałem się w poczuciu, że wszystko zawsze idzie w dobrą stronę. Kiedy miałem dziewięć lat, skończył się komunizm, potem Polska weszła do NATO i Unii Europejskiej. Martwi mnie, że za świadomego życia moich dzieci jest odwrotnie. Jeszcze nie skończyły 12 lat, a już za nimi brexit, Trump, w Polsce – wiadomo, pandemia i wojna w Ukrainie.

Martwisz się też o ich żydowskie pochodzenie?

– Dziś Polska jest jednym z bezpieczniejszych miejsc dla Żydów. Przynajmniej tak pokazują wszelkie narzędzia do raportowania przypadków antysemityzmu. Od lat nie było tu fizycznej przemocy wobec kogoś, dlatego że jest Żydem. Ale z drugiej strony w Polsce prawie nie ma Żydów, a partia rządząca idzie do wyborów z człowiekiem, który wielokrotnie wyrażał się o Żydach jak naziści. Podobnie zachowywał się w stosunku do weteranek powstania warszawskiego. W wyborach bierze też udział partia, która wedle sondaży ma ok. 10 proc. poparcia, a mówi otwarcie, że chce Polski bez Żydów. Zobaczymy, ile zdobędzie głosów.

Przecież nacjonalistom Żydzi będą zawsze potrzebni. Nawet jak ich nie ma, to trzeba ich przywołać. Wróg jest konieczny, żeby mobilizować wyborców w imię walki z tymi, którzy są winni wszelkiemu złu. Ostatnio wrogami są uchodźcy.

Po wojnie Stramerowie nie wrócili do swojego nazwiska, ale ciebie nie kusił taki powrót?

– Przez kilka lat nazywałem się Mikołaj Stramer.

Jak to?

– Kiedy dostałem francuskie obywatelstwo, okazało się, że mój francuski paszport jest wystawiony na nazwisko Stramer. Bo takie nazwisko jest we francuskim akcie urodzenia mojego ojca. A ja tłumaczyłem urzędnicze w paryskim merostwie, że mój dziadek działał we francuskim ruchu oporu, musiał często zmieniać nazwisko i prawdopodobnie z tego powodu mają bałagan w papierach, ale ja nazywam się Łoziński. Na dowód pokazałem nawet mój polski paszport z tym nazwiskiem. Usłyszałem: „Niestety nic się nie da z tym zrobić, panie Stramer”. Kilka lat zajęło mi odkreślenie tej historii. Więc może i to nazwisko, które niespodziewanie wróciło po latach, było impulsem do napisania historii Stramerów?

Niejedynym, prawda? Po swoim debiucie opowiadałeś mi, że kiedy studiowałeś na Sorbonie, pracowałeś jako asystent u niewidomej psychoanalityczki, uczenicy Jacques’a Lacana, która przez kilka tygodni z rzędu pytała cię o to samo.

– W czasie studiów w Paryżu, żeby zarobić na życie, pracowałem co czwartek u tej niesamowitej kobiety. Byłem jej oczami. Pisałem za nią listy, czytałem na głos korespondencję, książki i gazety. Pierwszego dnia pracy spytała mnie o historię mojej rodziny. Opowiedziałem o moich żydowskich dziadkach, którzy byli komunistami, o tym, jak w czasie II wojny światowej byli w ruchu oporu we Francji, jak po wojnie wrócili do Polski, żeby budować „komunistyczny raj”, ale szybko się rozczarowali. O nagonce antysemickiej, która dotknęła ich w 1968 roku, o moich rodzicach, którzy działali w opozycji demokratycznej, o „Solidarności”, o stanie wojennym, który zaczął się w 1981 roku (miałem wtedy rok) i o upadku komunizmu w 1989. Kiedy przyszedłem w następny czwartek, znowu zapytała mnie o historię mojej rodziny, więc ja znowu opowiedziałem to samo. Powtarzała to identyczne pytanie przez następne trzy tygodnie i zacząłem myśleć, że ma problemy z pamięcią. Ale nie chciałem stracić pracy, cierpliwie wszystko opowiadałem. Za szóstym razem byłem świetnie przygotowany, ale pytanie nie padło. Od wtedy zacząłem zastanawiać się nad moim rodzinnym zagmatwaniem. Myślę, że tej mądrej kobiecie właśnie o to chodziło.

Czy „Książka”, „Stramer”, a w końcu „Stramerowie” są też twoją próbą poszukiwania tożsamości?

– Do siódmego roku życia nie wiedziałem, że mam żydowskie korzenie. Kiedyś przybiegłem do domu i mówię: „Mamo, wiesz, na podwórku jest jeden żyd!”. Mama spojrzała na mnie i powiedziała: „No, chyba dwóch...”. Złe to przyjąłem.

Dlaczego właściwie?

– Na podwórku graliśmy z kolegami w państwa miasta. Rysujesz nożem koło, dzielisz je na części – państwa, a potem rzucasz nożem, żeby przejąć państwo przeciwnika. Jeśli nóż się wbija w ziemię, to wygrywasz. Ale jeśli na przykład trafi na kamień i się odbije, to przegrałeś. Na ten kamień na podwórku mówiliśmy „żyd”. Dlatego, kiedy mama mi powiedziała o pochodzeniu, poczułem, że to nic dobrego. Ale potem rodzice mówili, że przecież tyłu zdolnych ludzi to Żydzi: Einstein, Rubinstein, Spielberg, to fantastyczne! Pamiętam, że pomyślałem wtedy: skoro to jest takie super, to czemu wcześniej się tym nie chwaliście?

Rodzice nie mogli ci nic więcej powiedzieć?

– Większość przodków polskich Żydów zerwała z tradycją, z językiem, z religią, nie przekazała tego dziedzictwa swoim dzieciom, więc ich dzieci, czyli nasi rodzice, nie mogli tego przekazać nam. Dostajesz więc samą informację i radź sobie z nią. Dziś traktuję żydowskość jako fajny dodatek do mojej polskości.

Dzięki temu, że zapisałeś te historie sobie i rodzinie?

– Nie myślę o powieściowych Stramerach jako rodzinie, bo to fikcja. Ale mój tata na premierze „Stramera” w Tarnowie powiedział coś, co dobrze zapamiętałem: „Zwykle jest tak, że kiedy człowiek się rodzi, to ma babcię i dziadka, którzy potem niestety umierają. W moim przypadku było odwrotnie. Kiedy się urodziłem, nie miałem już dziadków. Ale teraz, dzięki książce mojego syna, ich odzyskałem”.

Byłeś w Tarnowie na ulicy Goldhammera, gdzie mieszkali?

– Pierwszy raz byłem w Tarnowie, kiedy miałem 26 lat. Na spotkaniu autorskim z licealistami – z moim debiutem „Reisefieber”. Licealiści byli niewiele ode mnie młodszy. Zapropowowali, że pokażą mi miasto. Na rynku przypomniałem sobie, że przecież mój dziadek urodził się w Tarnowie. Podeszedłem do starszego pana i zapytałem, czy pamięta tarnowskich Żydów. Spojrzał na mnie i powiedział: „Panie, jak tu akcja szła w ‘42, to padał deszcz i krew płynęła wszystkimi uliczkami, co odchodzą z rynku”. Pięć lat później wróciłem do Tarnowa już z myślą, żeby napisać „Stramera”. Zadzwoiłem domofonem do kamienicy na Goldhammera 20. „Dzień dobry, Mikołaj Łoziński, mój dziadek się tu wychował. Czy mógłbym wejść na podwórko?”. „Nie”. „Proszę pani, przyjechałem specjalnie z Warszawy, tylko wejść i wyjść”. „Nie ma mowy”.

Czyli nie wszedłeś tam?

– Wszedłem przez sąsiednią bramę. Przeskoczyłem przez płot i zobaczyłem ubogie podwórko. Trzepak, komórka na węgiel i drewno. Zrobiłem kilka zdjęć.

Jak myślisz, skąd ta nieuprzejmość?

Ze strachu przed powrotem Żydów, którzy zabiorą to, co do nich przed wojną należało?

– Rodzina, którą inspirowałem się w „Stramerze”, była tak biedna, że ledwo było jej stać na czynsz. Wynajmowali pokój z kuchnią, w którym mieszkali w ósemkę, jeszcze z kotem i psem. Obawy tej pani były więc przesadzone.

Bardzo się cieszę, że teraz tarnowanie czytają „Stramera” jako książkę o swoim mieście i organizują spacery jej śladami. Dla nich Stramerowie byli przede wszystkim mieszkańcami Tarnowa.

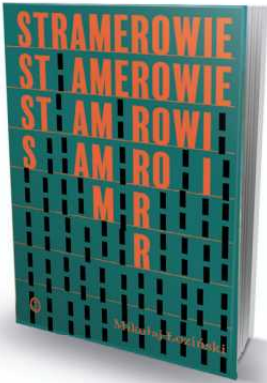
Rozwikłałeś tajemnicę, dlaczego ich losy okazały się wyjątkowe?

– Staram się to zrobić w „Stramerach”. Może wychowanie w bliskości i miłości, ale też bieda domu rodzinnego dała Stramerom determinację i wolę życia? Wiedzieli, że mogą liczyć tylko na siebie. To niedużo, ale dało im siłę. Mieli też sporo szczęścia. A może to był niezwykle przypadek?

Przed tobą, zdaje się, stoi konieczność dopisania im losu.

– Spędziłem ze Stramerami ostatnie 12 lat. Wczuwanie się w moich bohaterów, rozmowy ze świadkami, czytanie książek historycznych, świadectw wojennych i wreszcie pisanie „Stramerów” były trudne. Ale wiedziałem, że to wszystko jest konieczne, żeby prawdziwie i uczciwie opisać dalsze losy bohaterów „Stramera”. Teraz chciałbym chwilę pożyć normalnym życiem. ●

Powieść **„Stramerowie”** właśnie ukazała się w Wydawnictwie Literackim



FOT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



weekendówka
72

MIŁEGO DNIA I SMACZNEJ KAWUSI!

Autorką wielu haseł jest **Małgorzata Muraszko**

Jak doskonale wiecie, nasza „Weekendówka” najczęściej ma związek z jakimś wydarzeniem/świętem czy urodzinami, które przypadają w dniu ukazania się sobotniego magazynu „Gazety Wyborczej”. Bywa też tak, że jakaś data, która podsuwa nam temat do danej krzyżówki, jest bliska sobotniej, ale sytuacji, jaka ma miejsce dziś, chyba jeszcze nie przerabialiśmy.

Otóż wczoraj, 29 września, przypadał Światowy Dzień Kawy, który po raz pierwszy celebrowano w Japonii za sprawą tamtejszego All Japan Coffee Association. Stowarzyszenie powstało w 1980 roku, jego celem było m.in. zjednoczenie kawowego przemysłu w Japonii, promowanie wśród Japończyków picia kawy i generalnie dbanie o ich dietę, zaś Dzień Kawy pierwszy raz obchodzono w 1983 roku.

Ale święto spodobało się nie tylko Japończykom – bo kto nie lubi kawy?! – i po uzyskaniu popularności lokalnej przekroczyło granice Wysp Japońskich i dotarło do innych krajów świata, m.in. do Polski.

Jednak globalna organizacja zrzeszająca kraje zarówno eksportujące, jak i importujące kawę (w 2022 roku państw członkowskich było 49) i parająca się w zasadzie wszelkimi aktywnościami związanymi z kawą, czyli Międzynarodowa Organizacja Kawy, uznała, że trzeba świętować w innym dniu. Szacowna instytucja, starsza niż ta japońska, bo ustanowiona w 1963 roku, Międzynarodowym Dniem Kawy ogłosiła 1 października, po raz pierwszy czyniąc to całkiem niedawno, bo osiem lat temu.

Tak się więc składa, że dziś jesteśmy dokładnie między dwoma świętami kawy, niczym między jedną filiżanką espresso a drugą (albo latte, albo flat white, albo americano, albo cappuccino, albo bo kto lubi).

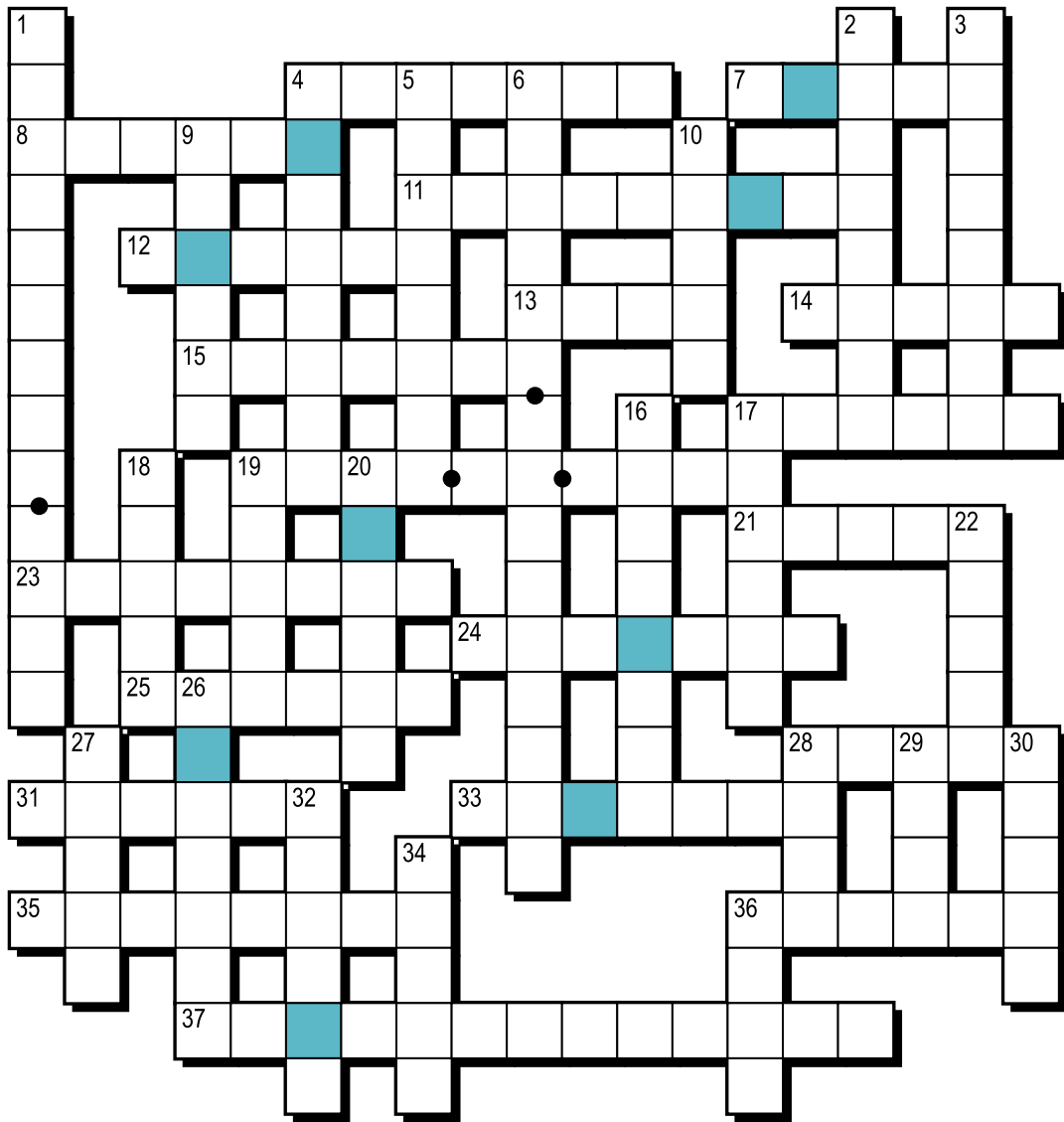
Kto odkrył kawę? Wersje są dwie, obie legendarne. Sprawę wykrył w IX w. etiopski pasterz Kaldi, który zaobserwował, jak po zjedzeniu pewnych ziaren rażno brykają sobie kozy, albo szejk Omar, który wygnany z portu Mokha (zbieżność nazw nieprzypadkowa...), wyczerpany znalazł nasiona kawy: próbował je żuć, potem piec, wreszcie ugotował, a efekt przerósł jego najśmielsze oczekiwania.

Jak było – nie wiadomo. Wiadomo za to, że obecnie na świecie konsumuje się ok. 400 mld filiżanek kawy rocznie. I że bez kawy jakoś ciężko jest podjąć się trudu dnia codziennego.

Celebrując więc dziś oba święta kawy, rzecz jasna nie zapominając o toaście wzniesionym tym przeżacnym napojem, zapraszamy do „Weekendówki” kawowej. A o pomoc w ułożeniu haseł poprosiliśmy Małgorzatę Muraszko, dziennikarkę „Gazety Wyborczej”. Pierwszym wyborem Małgorzaty jest wprowadzenie kultury – obecnie jest dziennikarką i redaktorką działu kultury „GW”, swego czasu szefowała działowi kultury „Wyborczej” w Trójmieście – ale drugą pasją: kulinaria. Prowadzi w dziale miejskim Miejscówkę; odwiedza trójmiejskie restauracje, knajpki i kafeterie, testując je dla czytelników. Na kawie zna się wybornie, więc wybór był absolutnie oczywisty.

Smacznej kawusi Państwu i sobie życzę! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 71 z 23.09:

Poziomo:

- 2) pory roku
7) szwagier
10) Dominika
11) Cichopek
13) wakacje 15) sława
16) gazeta 19) nestor
20) szczęście
21) tasiecmce
24) kryzys 26) Anna
28) scenografia
29) wyniki 30) ogony
31) Celińska
34) Eleonora 35) Irka
36) Klan
37) Sandomierz

Pionowo:

- 1) Paschalska
2) przerwa 3) ród
4) ramówka 5) ulica
6) stacja 8) Zacisza
9) Ilona 12) Wiesiek
14) Krawczyk 16) Grześ
17) odcinki 18) Plebania
20) sny 21) telenowela
22) sezony
23) Mostowiak
25) realia 27) Ranczo
29) wiara 32) Serce
33) Ross

HASŁO:
WIERNI WIDZOWIE

KAWA SIĘ NADAWA

Hasła Małgorzaty Muraszko oznaczono inicjałami (M.M.). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** „...o kawie” Jana Sebastiana Bacha
7) kawa czarna jak...
8) potocznie o fusiastej kawie parzonej w szklance
11) sieć kawiarni, która słynie z Pumpkin Spice Latte (M.M.)
12) marka kawy
13) popularna zbożówka
14) imię piosenkarki, która w utworze „Małe jasne słońce” śpiewa: „Mała czarna to jest kawa, Duża czarna to jest noc”
15) zna się na kawie i ją profesjonalnie zaparzy w kawiarni (M.M.)

- 17)** mocna czarna kawa; nie anielica (M.M.)
19) polecenie, by wszystko powiedzieć jasno, bez ogródek
21) Bob, śpiewa „One More Cup of Coffee”
23) kofeina
24) pochłonięcie filiżanki kawy (M.M.)
25) kontynent znany z kawy w tytule hitu zespołu Toto (M.M.)
28) w piosence „Ale jazz!” śpiewa: „Kawka na wynos dzisiaj towarzyszy mi”
31) ...kawy, goździk i rajstopy (peerelowski „zestaw obowiązkowy” z okazji Dnia Kobiet)
33) Beata Kawka
35) ...jazzowy, np. utwór „Black Coffee”
36) ze spienionego mleka na café latte (M.M.)
37) głębia zapachu kawy

Pionowo:

- 1)** ...Trzy, zespół muzyczny („Byłś dla mnie wszystkim”)
2) „Kawa to... inspiracji” (w wierszu Gałczyńskiego)
3) tam wypala się ziarna kawy (M.M.)
4) tańsza niż ekspres
5) Kasia śpiewająca: „Kawa i ja. Papierosy, kawa, ja”
6) kraj na Bliskim Wschodzie, gdzie ugłaszczą nas kawą po arabsku
9) marka kawy
10) kopi..., nazywana najdroższą kawą świata
16) „Bo na imię mam Młynek, a ...Kawowy” (Janusz Grzywacz)
17) bohater „Pana Tadeusza” tolerujący kawę przy śniadaniu („Takiej kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju”)

- 18)** składa się z espresso, spienionego mleka i ciemnej lub mlecznej czekolady (M.M.)
19) jasnobrązowy, czyli... kawy z mlekiem
20) składnik kawy po irlandzku
22) potocznie: kawa sproszkowana, rozpuszczalna w wodzie
26) plantacja kawy w Brazylii
27) po włosku oznacza spienione mleko, ale popularnie mówi się tak na bardzo mleczną kawę (M.M.)
28) marka kawy (anagram: sita)
29) świecący szylid nad wejściem do kawiarni (M.M.)
30) płynny..., poetyckie określenie kawy z wiersza Antoniego Langego (drewno)
32) zbożówkowe imię
34) taka kawa, że mucha nie siada!
36) to, co zebrano na plantacji kawy

Leszek Rydz

OGŁOSZENIA

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34225722